

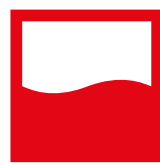
POLSKI GROCH Z KAPUSTĄ

Banach, Bargiel, Florek, Kajzer, Korzeniowski, Person, Pieprzyc, Rydzewska, Skłodowski, Talarczyk, Wagner

MAGAZYN

nr 2(36), 2021

# Teraz Polska



TERAZ POLSKA



ISSN 2299-1395

N

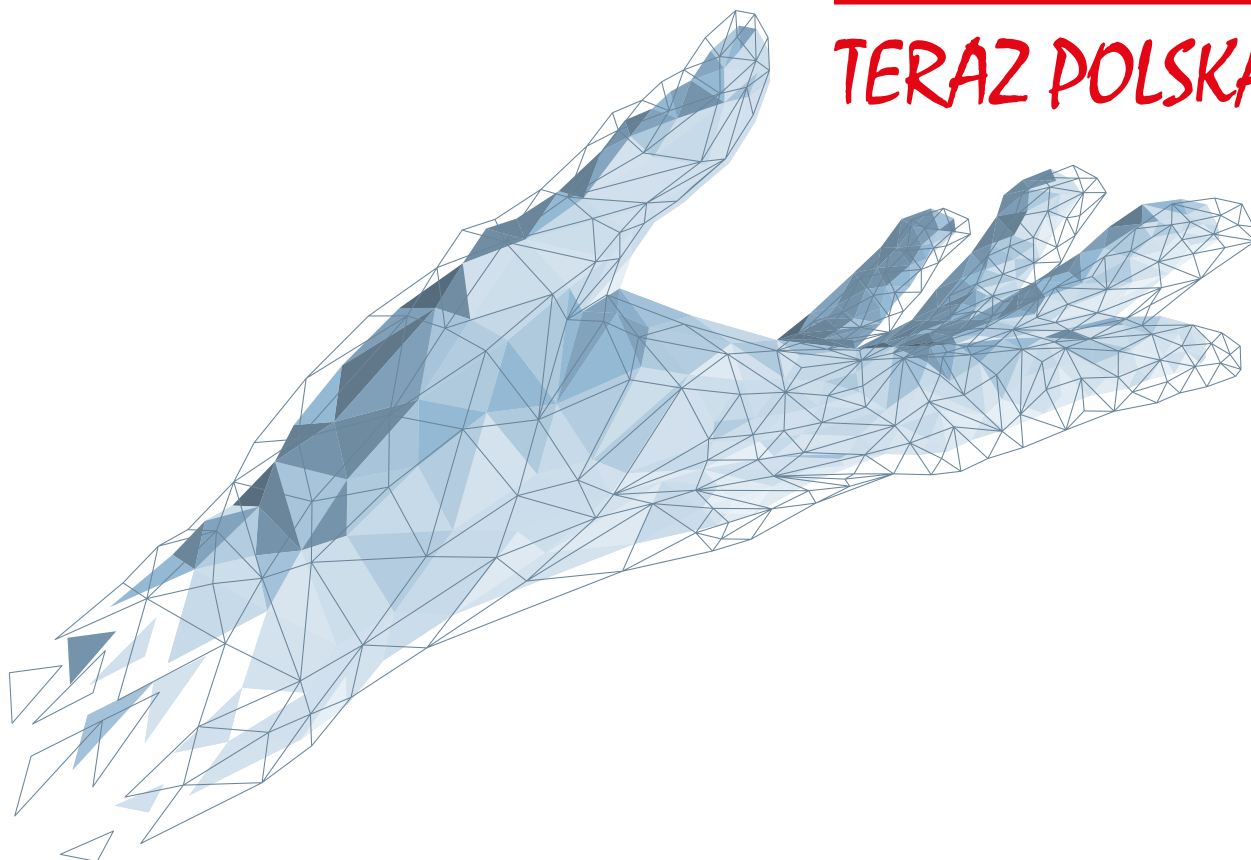
E

W

S



TERAZ POLSKA



**32** EDYCJA  
**KONKURSU**  
**TERAZ POLSKA**

NA NAJLEPSZE

**PRODUKTY**  
**i USŁUGI**



[www.terazpolska.pl](http://www.terazpolska.pl)



© KAMIL BROSZKO

## Potrzebujemy prawdy

**N**a naszej okładce plakat pt. „News” autorstwa znakomitego grafika Ryszarda Kajzera. News dzieli flagę, czyli naszą Polskę, na dwie części. Jeszcze nie całkowicie, ale już znacząco dzieli. Czy ten podział jest coraz wyraźniejszy? Tak niestety sędzę, bo dochodzą jego nowe płaszczyzny. Podział klasyczny i obecny w większości społeczeństw demokratycznych to podział na lewicę i prawicę. W wydaniu krajowym mamy jeszcze wiele innych podziałów. Przede wszystkim dzielimy siebie na zwolenników rządzących i całą resztę. Gdy się wydawało, że jesteśmy tak podzieleni, że bardziej się nie da, okazało się, że... jednak się da. Część z nas uznała, że nauka dokonała wielkiego przełomu, ratując ludzkość przed koronawirusem, a pozostali, że przyjęcie szczepionki to zaprzędanie duszy diabłu i przyklaskiwanie wrogowi publicznemu numer jeden – branży *big pharma*. Ostatnio podzielił się na zwolenników siłowej obrony granic przed wojną hybrydową i szlachetnych obrońców praw człowieka, walczących o godne traktowanie wszystkich imigrantów. Przed nami rysują się zapewne nowe podziały, jeśli inflacja się pogłębi, a nasilenie pandemii doprowadzi do globalnych zawirowań gospodarczych. Nasuwa się pytanie: jak żyć? Bo takie życie pomiędzy podziałami jest coraz trudniejsze.

Co z tym zrobić? Starać się znaleźć przyczynę. Moim zdaniem w znacznej mierze wynika ona z działalności wielu współczesnych mass mediów. Powinienem może, pełniąc funkcję redaktora naczelnego „Magazynu Teraz Polska”, wykaazać się większą branżową solidarnością. Uważam jednak, że zdrowe wewnętrzne dyskusje bywają odświeżające dla

każdego środowiska. Jeżeli mass media nie wymyślą – a nie jest to proste, być może wymaga prawdziwego przewrotu kopernikańskiego w modelach biznesowych – jak odejść od bezsensownego epatowania lękiem, od chwytliwości za wszelką cenę i drenowania wszystkich tych wątków, które są osią wspomnianych podziałów, wtedy nie będziemy umieli spokojnie spojrzeć na otaczającą nas rzeczywistość i przede wszystkim – w szerszym gronie porozmawiać o rozwiązaniu problemu. Nie przyjmujemy również do wiadomości, że niektórych problemów nie da się rozwiązać w wyniku prostej reakcji czy arbitralnej decyzji. Mój przyjaciel prof. Janusz Bujnicki powiedział mi kiedyś o złośliwych problemach w nauce – zaczynają się one zmieniać w miarę rozwiązywania, ujawniają trudności, o których nie wiedzieliśmy, lub generują nowe. Gdyby tak spojrzeć na otaczający nas świat, to wydaje się, że większość najważniejszych i aktualnych problemów, z którymi się mierzymy, ma właśnie taki charakter. Krótkie wzmianki, chwytliwe tytuły, za którymi nic nie stoi, pogoń za kliknięciem i dolewanie paliwa do wszelkich konfrontacji – to jest właśnie dzisiejszy news. Dziś potrzebujemy obiektywnej informacji i prawdy, a jesteśmy bombardowani alarmistyczną sentencją i naprędce skleconym zlepkiem zdań, tworzonym już nie dla nas, a dla robotów, wyżej pozycjonujących artykuły sformułowane według pewnego klucza.

Zachęcam Państwa do lektury naszego pisma, przygotowanego według staroświeckiej reguły. A z okazji nadchodzących Świąt i Nowego Roku życzę Czytelnikom „Magazynu Teraz Polska” przede wszystkim PRAWDY. I oczywiście ZDROWIA!

Krzysztof Przybył

Redaktor naczelny  
Prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego  
„Teraz Polska”

## Polacy

- 6 W życiu Beksińskiego, pełnym lęków, musiał się znaleźć ktoś, komu mógł  
zaufać. To byłem ja. Z **Wiesławem Banachem** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 16 Film mnie ukąsił i już z nim zostałem. Z **Maciejem Pieprzycą**  
rozmawia *Kamil Broszko*.
- 21 Ciągłe szukam ciekawych wyzwań, ale dobieram trudności  
w ramach rozsądku, świadomy swoich możliwości i limitów.  
Z **Andrzejem Bargielem** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 27 Nie trzeba iść w klapkach, żeby ulec wypadkowi,  
większość ratowanych ma bardzo dobre buty.  
Z **Janem Krzysztofem** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 32 Zostałem grafikiem właśnie dzięki plakatowi. Zafrapował mnie ten  
skondensowany sposób komunikacji.  
Z **Ryszardem Kajzerem** rozmawia *Marzena Tataj*.

## Gospodarka

- 36 Innowacjami zdobywamy klientów od 30 lat. Z **Januszem Komurkiewiczem**  
rozmawia *Marzena Tataj*.
- 40 Innowacyjność, przemysł i racjonalna transformacja kluczowych sektorów,  
czyli o nowych szansach dla Polski. *Marzena Tataj*
- 43 Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska” partnerem  
6. edycji Kongresu 590. *Marzena Tataj*
- 46 Racjonalny konsument, patriota.  
Wyniki sondażu Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego
- 50 Zainaugurowaliśmy 32. edycję Konkursu „Teraz Polska”. *Krzysztof Przybył*
- 51 Godło „Teraz Polska” to wyjątkowe narzędzie marketingowe. *Michał Lipiński*

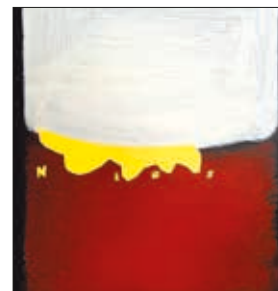
## Idee

- 52 Jelita a sprawa zdrowia. Z prof. **Grażyną Rydzewską** rozmawia *Marzena Tataj*.
- 56 Przełom technologiczny w onkologii spowodował wyzwolenie dyscypliny  
z zakłętą kręgą niedoceniań, a nawet pogardy.  
Z prof. **Krzysztofem Skłodowskim** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 60 Aby liczyć się w europejskiej i światowej nauce, trzeba postawić na młodych  
ludzi. Z **Marcinem Porębą** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 64 Zaslugujemy na życie dobrej jakości. Twórzmy innowacje w medycynie!  
*Marzena Tataj*
- 67 Sport jest piękny, bo przynosi wiele niespodzianek.  
Z **Renatą Kałużą** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 70 Teraz Polska sportowa. Debata o roli sportu na 100 dni przed  
igrzyskami w Pekinie. *Marzena Tataj*

## Regiony

- 73 Kiedy chciano w Kaszubów uderzyć, wyciągano trzy „strachy”:  
separatyzm, katolicyzm i filogermanizm.  
Z **Cezarym Obrachtem-Prondzyńskim** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 81 Teatr mój widzę śląski. Z **Robertem Talarczykiem** rozmawia *Kamil Broszko*.
- 88 Prawdziwymi wartościami architektury są trwałość, nieprzemijalność  
oraz służenie ludziom. Z **Adamem Wagnerem** rozmawia *Marzena Tataj*.
- 92 Jak sięgać po sukces na rynku globalnym. *Ryszard Florek*
- 93 Ekonomiczny analfabetyzm. *Marcin Rosołowski*
- 94 Wspaniali promotorzy. Fotoreportaż

nr 2 (36), 2021



MAGAZYN  
FUNDACJI  
POLSKIEGO GODŁA  
PROMOCYJNEGO

[www.terazpolska.pl](http://www.terazpolska.pl)

Magazyn  
**TERAZ POLSKA**

Redaktor naczelny:  
Krzysztof Przybył  
Redaktor prowadzący:  
Marzena Tataj  
Redakcja:  
Kamil Broszko  
Okładka:  
Ryszard Kajzer

Adres redakcji:  
ul. Górskiego 1,  
00-033 Warszawa  
tel. 22 201 26 90  
e-mail:  
[m.tataj@terazpolska.pl](mailto:m.tataj@terazpolska.pl)  
[www.terazpolska.pl](http://www.terazpolska.pl)

Wydawca:  
Fundacja Best Place  
– Europejski Instytut  
Marketingu Miejsc  
na zlecenie  
Fundacji Polskiego  
Godła Promocyjnego  
„Teraz Polska”  
[www.bestplaceinstitute.org](http://www.bestplaceinstitute.org)

Projekt graficzny  
i skład:  
Tamburyn, [www.tamburyn.eu](http://www.tamburyn.eu)

Korekta:  
Teksty.biz

Druk:  
KRM Druk Sp. z o.o. Sp. k.



POLSKIE LINIE LOTNICZE



A STAR ALLIANCE MEMBER 



**Bądź naszym  
gościem!**

Zapraszamy  
na nasze pokłady.



**lot.com**

# W życiu **Beksińskiego**, pełnym lęków, musiał się znaleźć ktoś, komu mógł zaufać. **To byłem ja**

- Moja praca zawsze polegała na tym, żeby pomóc ludziom dotrzeć do malarstwa Zdzisława Beksińskiego.

- Nie tylko to, jak artysta malował, było przez ludzi lubiane, ale też – jak swoje obrazy sprzedawał. Przede wszystkim były dość tanie. Co więcej, można je było kupić na raty.

- Jego sztuka, w przeciwieństwie do sztuki innych mu współczesnych, przywraca zwykłego odbiorcę.

- Beksińscy, kiedy się już przenieśli do Warszawy i tak wielu ludzi mieli blisko, niemal na wyciągnięcie ręki – poczuli się samotni.

- Kiedyś odbyliśmy smutną rozmowę. Artysta stwierdził, że jest sam i w każdej chwili może umrzeć, więc postanowił przekazać mi wszystko, co po nim pozostanie.

- W ostatnim okresie twórczości Beksiński zostawia za sobą całą niesamowitą rekwizytornię okresu fantastycznego, a skupia się już tylko na formie. I jest ona w najwyższym stopniu bolesna.

Z **Wiesławem Banachem** rozmawia Kamil Broszko.

**Kamil Broszko:** Przez wiele lat pracował pan jako dyrektor Muzeum Historycznego w Sanoku, z którym był pan związany przez cały okres aktywności zawodowej. Właściwie każde muzeum jest w pewnym sensie historyczne, nawet jeżeli opowiada o historii najnowszej. Czy jednak w przypadku sanockiej placówki nazwa jest szczególnie uzasadniona?

**Wiesław Banach:** Muzeum w Sanoku jest niewątpliwie wyjątkowe, natomiast przyznaję, że nazwa Muzeum Historyczne trochę wprowadza w błąd. Gdyby bowiem miała odzwierciedlać specyfikę, powinna pewnie brzmieć Muzeum Sztuki. Lecz na to ja już nie miałem wpływu. Gdy tworzone placówkę przed wojną, nadano jej nazwę Muzeum Ziemi Sanockiej. Lecz w PRL owa „ziemia sanocka” nie pasowała. Trudno było użyć określenia „muzeum powiatowe”, więc na jakimś etapie wymyślono „muzeum historyczne”, wychodząc z założenia, że przynajmniej jeden element jest tu z pewnością historyczny – mianowicie muzeum mieści się w zamku. Co więcej, w budowli renesansowej, w straszliwy sposób przebudowanej przez Austriaków.

Gdy pierwszy raz przyjechałem do Sanoka z Wielkopolski, skąd pochodzę, zdumiało mnie, jak ktoś może mówić, że ta budowla pochodzi z renesansu! Tak dalece elementy wystroju renesansowego zostały zakłócone przez XIX-wieczną austriacką modernizację. A w środku znajdowało się muzeum, które bardziej przypominało izbę pamięci. Jakieś trzy sale, długi korytarz... Lecz w tych salach znalazłem coś, co absolutnie zdumiewało i zaskakiwało: kolekcję ikon. Takich, jakich nie było nigdzie indziej w Polsce. W dość brzydkim, powiedziałbym, budynku ze skromną ekspozycją trafiało się do dwóch sal z ikonami z XV, XVI i XVII w. A w wąskich korytarzach wygospodarowano miejsce na sztukę współczesną. Wisiały tam ze trzy obrazy niejakiego Zdzisława Beksińskiego, ale też innych artystów, choćby znakomitego malarza i rzeźbiarza Mariana Kruczkę, pochodzącego z okolic Sanoka profesora krakowskiej ASP.

**KB:** Jak pan trafił do Sanoka i do Muzeum Historycznego? Z Wielkopolski to kawałek...

**WB:** Pierwszy raz odwiedziłem miasto i muzeum w wakacje po pierwszym roku historii sztuki. Studiowałem w Lublinie, na KUL-u,

i tam poznałem dziewczynę z Sanoka. Tak trafiłem do miasta. Kiedy kończyliśmy studia w 1977 r., trzeba było sobie odpowiedzieć, gdzie chcemy mieszkać. I co robić po tych naszych studiach. Moja żona – bo byliśmy już małżeństwem – bardzo chciała wrócić do rodzinnego domu. No i tak się stało. Przyjechaliliśmy tutaj, do Sanoka, i – o dziwo – udało się znaleźć pracę, właśnie w muzeum. Rozpocząłem ją 1 sierpnia 1977 r.

**KB:** Jakie było pana pierwsze zadanie?

**WB:** Przyszedł dyrektor i powiedział, że bym się udał do Beksińskich, którzy pakują się właśnie przed wyjazdem do Warszawy, ale ponieważ muzeum kupiło od artysty jeszcze jeden obraz, trzeba go odebrać. I przyniosłem ten obraz do muzeum pod pachą. Jednak

**Wiesław Banach** (ur. 1953 r.

w Kościanie) w latach 1972–1977 studiował historię sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. W 1977 r. rozpoczął pracę w Muzeum Historycznym w Sanoku, od 1990 do 2020 r. był dyrektorem placówki. Organizator kilkudziesięciu wystaw, autor artykułów, katalogów i książek o sztuce XX w. – zwłaszcza o twórczości Zdzisława Beksiańskiego, z którym był zaprzyjaźniony – a także kilku stałych ekspozycji muzealnych. Od 1 lutego 2020 r. jest emerytem, nadal jednak współpracuje z Muzeum Historycznym w Sanoku.



Zdzisław Beksiański  
z Wiesławem Banachem



główne wspomnienie z początków mojej pracy to rozgoryczenie, że trafiłem, trochę wbrew marzeniom, na daleką prowincję. Wychowywałem się w Wielkopolsce. Do Poznania miałem niedaleko, a tam było „moje” Muzeum Narodowe, do którego chodziłem na wystawy od czasów liceum. Później, jako student historii sztuki, w ogóle bym nie pomyślał, że mogę zamieszkać w mieście pozbawionym właściwie zabytkowej architektury. Dawny Sanok był głównie drewniany, więc płonął przy każdej możliwej okazji, z wyjątkiem zamku, który się zachował, bo był oddzielony od miasta.

Te braki rekompensowało mi oczywiście piękno natury, tu-tejsze cudowne krajobrazy. Dolina Sanu, zamek na wzgórzu, przepiękny widok na góry po drugiej stronie rzeki – to bardzo zachęcało do życia w Sanoku. Ponadto – i to się z czasem coraz silniej potwierdzało – spotkałem tu fantastycznych ludzi. Oczywiście zapłaciłem za to pewną cenę. Miasto znajdowało się kiedyś naprawdę z dala od głównych szlaków komunikacyjnych. Dziś inaczej postrzegamy odległości, ale każdy, kto podróżował po Polsce w okresie komunizmu przeładowanymi lub spóźnionymi wiele godzin pociągami czy też samochodem po ówczesnych dziurawych drogach, wie, jak trudne były to doświadczenia. Nie można było sobie wyskoczyć na kilka godzin na wystawę, jak wtedy, gdy mieszkalem w Kościanie. Byłem jednak na tyle elastyczny, że pozwoliłem odejść w niebyt jakimś wydumany nadziejom na duże miasta i duże środowiska.

A dziś, patrząc z perspektywy całego swojego życia zawodowego, jestem bardzo wdzięczny żonie, że miała taki, a nie inny wpływ na moją decyzję. Pracą w Sanoku zająłem się tym chętniej, że nastawiałem się na działalność w prowincjonalnym muzeum, a bardzo szybko okazało się, że są w nim niesłychanie ciekawe, nieprowincjonalne zbiory.

**KB:** Co jeszcze pan w nich odnalazł, prócz wspomnianych ikon?

**WB:** Dowiedziałem się, że w muzeum znajduje się kolekcja ofiarowana rodzinnemu miastu przez niejakiego Franciszka Prochaskę, sanoczanina, artystę, żołnierza Legionów Polskich, potem pracującego w Paryżu na misji dyplomatycznej, a co dla nas najważniejsze – kolekcjonera sztuki. Jego przyjacielem był Józef Pankiewicz i właśnie z tego kręgu artystów pochodziła kolekcja Prochaski. Po paru latach okazało się, że z Aix-en-Provence, gdzie kolekcjoner zmarł, jest jeszcze sporo rzeczy do przewiezienia do Sanoka – także obrazy innych artystów polskich działających we Francji.

Prochaska był w okresie międzywojennym na placówce dyplomatycznej, więc miał stałą pensję. Można powiedzieć, że powodziło mu się bardzo dobrze w porównaniu do biednych artystów, którzy tam przyjeżdżali, żeby zrobić karierę, i z których prawie nikomu się to nie udało. A u Prochasków można było zjeść obiad, można też było czasami, pewnie za niewielkie pieniądze, coś sprzedać. I dzięki temu odbłask polskiej działalności artystycznej we Francji w okresie międzywojennym i powojennym trafił do Sanoka.

**KB:** Jak odkrycia w magazynach muzeum i poznawanie lokalnej specyfiki wpłynęły na pańskie dalsze plany?

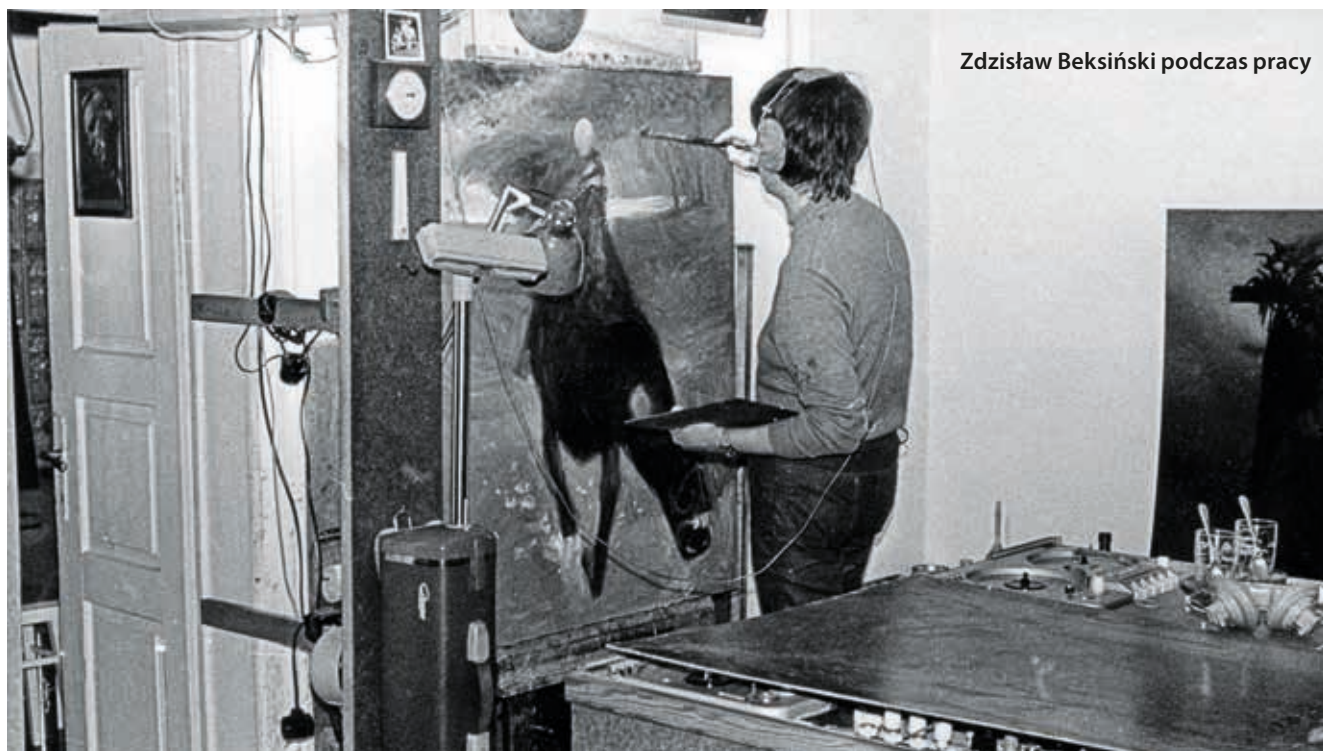
**WB:** Zacząłem się interesować sztuką współczesną. Dział ikon prowadził mój starszy kolega, wybitny znawca sztuki cerkiewnej Romuald Biskupski, natomiast ja się zwróciłem ku temu, co bardziej aktualne. Zacieśniłem kontakty z Beksińskim, które później – gdy stracił żonę i syna – były już bardzo bliskie. Równocześnie dbałem, by rozrastała się kolekcja wynikająca z działalności polskich artystów tworzących we Francji. Mimo niewielkich środków, mimo że nie miałem szans na paszport, jakoś udawało się działać i rozwijać. W międzyczasie przyszyły ponure lata 80., wielka radość z Solidarności, potem stan wojenny i dalsze perypetie, które na swój sposób również w Sanoku przeżywalismy.

W roku 1990 nastąpiła zmiana warty i wtedy pracownicy muzeum zapytali mnie, czy zostanę dyrektorem. Zupełnie mi to nie odpowiadało, bo czułem się wolnym człowiekiem, historykiem sztuki, a dyrektorowanie to obowiązki związane z dokumentami, załatwianie, garnitury, krawaty... W końcu, po paru nieprzespanych nocach, podjąłem decyzję, że trzeba tym dyrektorem zostać. Trochę to wynikało z etosu tamtych czasów. Mówiło się, że teraz należy brać sprawy w swoje ręce. Gdy już objąłem funkcję i zająłem do papierów, okazało się, że sytuacja jest dramatyczna. Formalnie byliśmy muzeum miejskim. Na dodatek tuż przed upadkiem komunizmu poprzednicy wybudowali kuriozalne Muzeum Karola Świerczewskiego w Jabłonkach, które stało się naszym oddziałem. Kuriozalne, bo – nie wspominając nawet o wątpliwym bohaterstwie tego pana – nie było tam ani jednego prawdziwego przedmiotu, który by się łączył z generałem lub jego śmiercią.

**KB:** Dziś już wiemy, że udało się panu wybrnąć z zastanego bałaganu.

**WB:** Ale najpierw stanąłem wobec takich dylematów, jakich nigdy wcześniej w życiu nie miałem. Dach zamku w każdej chwili groził zawaleniem. Cały obiekt dosłownie rozjeżdżał się w posadach – Austriacy niefachowo go modernizowali, czego skrajnym przykładem były nieprofesjonalnie dobudowane skrzydła, które natychmiast zaczęły pękać. Gdy obejmowałem funkcję, z województwa przyznane już były środki na stopniowe kontynuowanie remontu. Ale jak zobaczyłem dokumentację, to włosy stanęły mi dęba. Choć projekty przygotowały ówczesne pekazety, czyli jednostki konserwatorskie, całkowicie zlekceważono wiele detali renesansowych. Zaprojektowano szerokie klatki schodowe, więc na ekspozycje, które już sobie w głowie planowałem, zabrakłoby miejsca. Opieczętowana i podpisana dokumentacja, która miała być podstawą remontu, nadawała się do kosza. Lecz gdybyśmy odstąpili od projektu, to pieniądze przeznaczone na rozbudowę placówki by przepadły. W końcu z konserwatorem zabytków doszliśmy do wniosku, że oficjalnie będziemy podążać za dokumentacją, ale w praktyce – działać zdroworozsądkowo i dokonywać zmian na bieżąco. W rezultacie dziś, gdy na dziedzińcu muzeum znajdzie się osoba zorientowana w hi-





storycznej architekturze, bez wątplenia stwierdzi, że ma do czynienia z pałacem renesansowym. Wszystkie te prace były możliwe głównie dzięki temu, że otaczali mnie sensowni i rzeczowi ludzie, na czele z konserwatorem zabytków Alojzym Cabałą.

Remont był oczywiście ważny, ale gdy nie ma ekspozycji, muzeum umiera, a zatem równolegle zaczęliśmy pokazywać kolekcję ikon. Później na świeżo wyremontowanym poddaszu, z którego uczyniliśmy miejsce ekspozycji, pokazaliśmy dużą wystawę Beksińskiego. Wernisaż był momentem nie tylko prezentacji jego prac, ale także fantastycznego, historycznego spotkania z mieszkańcami Sanoka.

**KB:** Ludzie trochę zainteresowani sztuką znają zazwyczaj kilku najpopularniejszych artystów. Historycy czy pasjonaci – również twórców bardziej niszowych. Ale Zdzisława Beksińskiego zna chyba każdy. To artysta, który jak żaden inny w Polsce wpisuje się w powszechną świadomość. Nie tylko dzięki ostatnim książkom i filmom na jego temat, bo już dużo wcześniej był bodaj najbardziej znanym artystą sztuk plastycznych. Jak pan widzi fenomen mistrza Beksińskiego z perspektywy waszych osobistych relacji?

**WB:** Beksińskiego zobaczyłem pierwszy raz, gdy przyjechałem ze studiów na przerwę świąteczną do domu. Poszedłem do Muzeum Narodowego na wystawę sztuki współczesnej, którą podzielono na szkoły. I był tam obraz eksponowany niejako zupełnie osobno, podpisany „Zdzisław Beksiński, Sanok”. Po świątach wróciłem na studia i pytam dziewczynę, czy zna Beksińskiego z Sanoka. Potwierdziła i zapewniła mnie, że pójdziemy do niego w odwiedziny przy okazji pobytu u niej w mieście. Jej rodzice, również artyści, byli nieco starsi od Zdzisława, ale mieli z nim wspólne tematy, nieraz dzielili się jakąś radą, gdy był na początku drogi twórczej, i do końca swojego życia pozostali z nim w przyjacielskiej relacji.

Kiedy zatem w 1973 r. przyjechałem do Sanoka po raz pierwszy, oczywiście poszliśmy rodzinnie do Beksińskich. Moja pamięć tak zarejestrowała tę wizytę, że mógłbym ją odtworzyć minuta po minucie. I wtedy zaczęła się moja relacja z artystą, która trwała do końca jego życia. Jednak daleki byłbym od stwierdzenia, że początek znajomości polegał w moim przypadku na fascynacji. Pierwszy obraz Beksińskiego, który widziałem na wystawie w Poznaniu, nie podobał mi się. Z satysfakcją czytałem później w jego listach, że był niezadowolony, iż właśnie to dzieło znalazło się w albumie wydanym w 1972 r. Narzekał, że wybrano obraz, którego on się wstydzi.

W relacjach osobistych od początku naszej znajomości był uroczy, wychodzić się od niego nie chciało. Natomiast jego malarstwo, zwłaszcza w okresie fantastycznym, było jakieś nie moje. Doskonale rozumiałem krytyków, którzy zachwycali się jego fotografią artystyczną, zachwycali się jego rzeźbą, jego reliefami, ale nie malarstwem.

A jakiegokolwiek dziedziny Beksiński się dotknął, zostawił w niej swój ślad. Czy to była fotografia, czy wszedł w nurt abstrakcji – zawsze tworzył coś własnego. Ten pełen napięcia, ponury świat, który w sobie nosił, jest odczytywany we wszystkich okresach jego twórczości. Największy sukces i popularność przyniósł mu okres fantastyczny, który trwał od końca lat 60. do połowy lat 80. Te obrazy sprzedawał, dzięki nim wyjechał z Sanoka i mógł kupić mieszkanie w Warszawie. Ja nie byłem początkowo miłośnikiem Beksińskiego – malarza, za to wielkim i żarliwym obrońcą jego twórczości, z którym się przez długi czas ścierałem, był zawsze mój teść.

**KB:** Czy artysta wiedział, jaki właściwie ma pan stosunek do jego malarstwa?

**WB:** Myślę, że nie. Natomiast muszę zupełnie otwarcie powiedzieć, że prawdziwie głęboko poruszyło mnie jego późne malarstwo, z po-

łowy lat 90. Gdy Beksiński zaczął robić swoje surrealistyczne, fantastyczne pejzaże, krytycy przestali go akceptować. Mówiono o nim wręcz, że tworzy kicz. Koledzy z muzeów w Polsce mawiali, że Beksińskiego to nawet nie pójść oglądać, bo nie warto. Moja osobista teoria jest następująca: wynikało to z wielkiego niezrozumienia. Krytycy nie pojmowali, że to, co robi Beksiński, jest bardzo często prowokacją. Jemu nie chodziło o epatowanie naiwnym symbolizmem, tylko o podważenie zbyt wyszukanych jego zdaniem gustów plastycznych. Nie godził się również z paradygmatem sztuki XX-wiecznej, polegającym na całkowitym nastawieniu się na awangardę, na nowość: nie da się już powiedzieć niczego nowego w aspekcie treści, więc trzeba się wysilać, aby wymyślić nową formę. Gdy Beksiński był w awangardzie, w początkowym okresie swojej twórczości, był chwalony. Ale gdy zaczął tworzyć malarstwo z elementami XIX-wiecznymi, symbolicznymi, nasyczone surrealizmem, który nie był w modzie – okazał się niechcianym dzieckiem polskiej sztuki i właściwie wszystkie duże muzea się na niego zamknęły. W rezultacie w krajowych muzeach Beksińskiego prawie nie ma. A znajdują się w nich całe kolekcje artystów, o których już dawno nikt nie pamięta.

**KB:** Ale ludziom to zupełnie nie przeszkadzało, oni właśnie uwielbiali okres fantastyczny.

**WB:** To prawda. Zresztą nie tylko to, jak Beksiński malował, było przez nich lubiane, ale też – jak swoje obrazy sprzedawał. Przede wszystkim były one dość tanie. Co więcej, dało się je kupić na raty. Nawet jeżeli ktoś zarabiał niespecjalnie dużo, przykładowo 2 tys. zł miesięcznie, mógł kupić dzieło Beksińskiego za 4 tys. i zapłacić mu w iluś tam ratach. Dzięki temu Zdzisław, który po powrocie do Sanoka pracował w fabryce autobusów Autosan, gdy już został z niej wyrzucony – powiedzmy: zredukowany – mógł się utrzymać ze swojej pracy artystycznej. Dla wielu ówczesnych artystów czymś niegodnym było sprzedawać obrazy zaledwie za średnią krajową, zwłaszcza na raty, z ryzykiem, że trzeba będzie się upomnieć, gdy ktoś ich nie będzie spłacał. Beksiński zaś cieszył się, że dzięki temu może żyć i cały swój czas poświęcić sztuce.

Na początku rodzina Beksińskich klepała biedę w tym Sanoku. On pracował na pół etatu w fabryce autobusów, ona – w sekretariacie szkoły. A sztuka kosztowała. Szczególnie gdy Beksiński jeszcze robił swoje reliefy: lutował, potrzebował blachy, cyny. Nie było mu łatwo. Z czasem jednak zaczął sprzedawać coraz więcej obrazów, znaleźli się kupcy z zagranicy, co miało dla niego kolosalne znaczenie. Nagle okazało się, że zainteresowanie jego sztuką rośnie. Po wystawie w Warszawie w 1972 r. wszystko to, co nie było oznaczone jako własność prywatna, zostało sprzedane. To niezwykle sukces, który rzadko kiedy zdarza się artyście. Ale znów – było to możliwe, bo ceny były przystępne. Nawet ówczesny student miał szansę ściągać pieniądze i kupić obraz Beksińskiego.

**KB:** A jak świat dowiedział się o jego sztuce?

**WB:** Trudno to jednoznacznie stwierdzić. Pamiętam, jak pewnego dnia przyjechała do muzeum w Sanoku ekipa filmowa z Francji. Mieli kręcić materiał o ikonach. To było jeszcze w latach 80. Pokazuję im obrazy Beksińskiego z naszego muzeum, a reżyser mówi mi, że on ma u siebie, w swoim zamku, siedem jego prac. W ekspansji zagranicznej Beksińskiemu pomagał barter.



↑ Zdzisław Beksiński w swoim warszawskim mieszkaniu.







© ARCHIWUM WIESŁAWA BANACHA

Wiesław Banach prowadzi  
wernisaż Zdzisława Beksińskiego. ↓



© ARCHIWUM WIESŁAWA BANACHA

Artysta był zakochany w muzyce i często sprzedawał swoje obrazy klientom zagranicznym w zamian za zestaw płyt.

**KB:** Gdy pan przyjechał do Sanoka po studiach i rozpoczął pracę w muzeum, rodzina Beksińskich pakowała się przed przeprowadzką do Warszawy. Swoisty paradoks: można powiedzieć, że minęliście się panowie, ale wasza relacja przetrwała do końca, do śmierci artysty.

**WB:** Rozminęliśmy się, miasto utraciło Beksińskiego. Oczywiście relacje między nami trwały cały czas i Beksińscy do nas przyjeżdżali, zarówno prywatnie, jak i do muzeum. Tu zresztą miasto również odgrywało pewną rolę, bo Beksiński w pewnym sensie przetaił szlak i za nim przyjeżdżali inni artyści. Każdy się w Sanoku zakochał i od razu zostawiał w muzeum jakieś swoje prace, więc kolekcja rosła nieustająco. To była olbrzymia satysfakcja, że nie byliśmy tutaj sami. Beksińscy zaś, kiedy się już przenieśli do Warszawy i tak wielu ludzi mieli blisko, niemal na wyciągnięcie ręki – poczuł się samotni. Kiedy mieszkali w Sanoku, do ich domu nieustannie ktoś przyjeżdżał, nieraz zostawał tydzień albo i dwa. Mieli tu wielu przyjaciół. Było wesoło, były rozmowy, jakieś podróże po okolicy, nawet wygłupy... A w Warszawie przyjaciele nie mieli czasu. Ktoś wpadł na pięć minut i od razu musiał lecieć dalej. To jest zupełnie inne życie. Oni zamieszkanie w wielkim mieście odczuli jako pewnego rodzaju odosobnienie.

**KB:** Jak ewoluowała pańska relacja z mistrzem?

**WB:** Nasze relacje były pełne zaufania, prawie rodzinne. Nigdy nie miałem żadnego obrazu Beksińskiego i nigdy nie chciałem na nim zarobić. On to chyba widział i doceniał, bo większość ludzi, którzy się koło niego kręcili, miała właśnie cel finansowy, zwłaszcza gdy popularność artysty rosła i siłą rzeczy zaczęły rosnąć też ceny. Natomiast zawsze w miarę możliwości kupowałem jego obrazy do muzeum. A gdy robiłem dla niego wystawę, to z miłości do jego sztuki. Wystaw, które zrobiłem za życia Zdzisława, były dziesiątki. On narzekał, miał wewnętrzne przekonanie, że jak się go będzie za często pokazywać, to się ludziom znudzi. Ale ja uważałem, że trzeba go pokazywać i trzeba zapraszać na wystawy media, bo inaczej ludzie o nim zapomną. Wystawy zagraniczne trudniej było zrobić w owych czasach, ale śmiało mogę powiedzieć, że Beksiński zjeździł ze mną całą Polskę. I gdziekolwiek pojechaliliśmy, padały rekordy frekwencji. Przychodzili ludzie, ale przychodziły też media, które – jak wiadomo – na wystawy muzealne się nie spieszą.

**KB:** Czy artysta lubił te wyjazdy i bycie w centrum uwagi?

**WB:** Właściwie tego nie cierpiał, nie tylko z racji unikania dużych grup ludzi. Zawsze się denerwował, że obrazy zostaną uszkodzone. Ale po latach ufał nam pod tym względem bezgranicznie. Nieraz obserwował, w jaki sposób się pakujemy, jak obchodzimy się z jego dziełem, i po prostu nabrał pewności. To go bardzo uspokajało. Zawsze uważałem, że miałem wielkie szczęście, trafiając na Beksińskiego, ale – powiem nieskromnie – usłyszałem też kiedyś od jednej z jego koleżanek, że on również miał szczęście, trafiając na mnie. Myślę, że to, co zrobiliśmy dla niego jako muzeum, czyli stworzenie galerii w Sanoku i zorganizowanie niezliczonej ilości wystaw, było godnym uznaniem jego talentu. Przez jego stałą wystawę przewi-



jają się setki tysięcy ludzi. W takiej formie Beksiński nadal żyje. Ilu współczesnych artystów ma swoją galerię, w której znajduje się kilkaset prac? Chyba nie ma takiego drugiego.

**KB:** Jak pan wspomina ostatni etap życia artysty, po śmierci żony i syna?

**WB:** Cóż mogę powiedzieć... Nasze kontakty stały się wówczas jeszcze cieplejsze. Pewnego dnia Beksiński zadzwonił i zapytał, czy mógłbym przyjechać. Odwiedziłem go nazajutrz. Odbiliśmy wtedy smutną rozmowę. On stwierdził, że ma już przecież swoje lata, jest sam, w każdej chwili może umrzeć, więc postanowił przekazać mi wszystko, co po nim pozostanie. Odpowiedziałem, że to absolutnie nie wchodzi w rachubę, a jedyna ewentualność to przekazanie majątku muzeum w Sanoku, co jest na pewno sensowną decyzją. Na to Beksiński odparował, że ja szanuję jego twórczość, ale przecież jutro może się zmienić dyrektor. A ktoś inny wstawi jego obrazy do piwnicy, tam spleśnieją i za jakiś czas świat o nich zapomni. Odpowiedziałem, że to jest możliwe wszędzie, ale nie w Sanoku, bo dla tego miasta Beksiński jest najcenniejszą wizytówką. Przekonałem go również, że młodych pracowników, swoich przyszłych następców, przygotowuję tak, by zawsze z szacunkiem odnosili się do jego artystycznej spuścizny. Te dwa argumenty przeważyły i mnie posłuchał. Poprosił, żebym wraz z prawnikiem napisał treść testamentu. On go przepisał ręcznie, włożył do koperty z napisem „testament” i przykleił do półki w swojej pracowni. Wszystko, co po nim pozostało, nie tylko dzieła, ale i mieszkanie, i konta bankowe, i prawa do całej twórczości, przepisał Muzeum Historycznemu w Sanoku. Czy byłoby to możliwe, gdyby nasze relacje nie były osobiste, prawdziwe, szczere? Na pewno nie. Beksiński zawsze miał przeróżne skrupuły, wątpliwości, lęki, więc musiał się znaleźć w jego życiu ktoś, komu rzeczywiście mógł zaufać. I tak się akurat stało, że byłem to ja.

Nasza ostatnia rozmowa telefoniczna, niespełna miesiąc przed śmiercią Zdzisława, dotyczyła Dmochowskiego, jego marszanda z Paryża. Ów wpadł na pomysł, że robi muzeum z eksponatami ze swojej kolekcji w Częstochowie. Miasto miało na to wydać dużą kwotę. Beksiński tego nie chciał, bo uważał, że Częstochowa ma swoich artystów, a on nie ma z miastem nic wspólnego. Ja go uspokajałem, mówiąc, że jeżeli ktokolwiek robi mu stałą wystawę, to należy się raczej cieszyć, a nie rozpaczać. Wtedy też zapowiedziałem mu, że przygotowuję dokumentację pod budowę skrzydła zamku w Sanoku i całe będzie poświęcone jego twórczości. On natychmiast uznał, że w Sanoku ma to głęboki sens. Moje słowa były więc rekompensatą za Częstochowę. Niestety artysta nie dożył otwarcia swojej własnej galerii.

**KB:** Odszedł człowiek, ale sztuka wciąż żyje.

**WB:** Ta śmierć, tak tragiczna, dotknęła nas wszystkich. Trudne było także to, co nastąpiło zaraz po niej, bo przecież musieliśmy błyskawicznie zrobić akcję przewiezienia i zabezpieczenia wszyst-

kich prac z mieszkania, w którym doszło do morderstwa, w którym trwała akcja policji i prokuratury. Plomby na drzwiach nie uchroniłyby przed włamywaczem. Musieliśmy więc – pod nadzorem służb – dokonać inwentaryzacji i przewieźć dzieła do Sanoka.

Rok później zrobiliśmy największą wystawę, jakiej pewnie już nigdy się nie robi, bo stałe ekspozycje na to nie pozwalają. A wtedy jeszcze nie było galerii, bośmy ją dopiero budowali. I tak 21 lutego 2006 r., czyli dokładnie w rok po śmierci Zdzisława, otworzyliśmy wystawę w pałacu Opatów – Oddziale Sztuki Nowoczesnej Muzeum Narodowego w Gdańsku. Była to jedyna placówka muzealna, która się do nas zwróciła po śmierci wybitnego artysty, żeby pokazać jego twórczość. I wtedy postanowiłem, że przedstawimy ją tak, jak jeszcze nigdy nie była przedstawiana. Wystawa objęła prace od okresu dziecięcego, przez cały trzon twórczości, po grafikę komputerową i fotografię, a nawet rzeczy, których artysta na oczy nie widział, bo oprócz odbitek zostawił nam niewywołane negatywy. To była gigantyczna wystawa, która cieszyła się nieprawdopodobnym zainteresowaniem, pobiła wszelkie rekordy frekwencyjne. Był to hołd złożony artyście w rocznicę śmierci.

**KB:** Hołd złożyli mu ludzie zafascynowani jego sztuką, złożyła mu go popkultura. A czy dołączyli znawcy sztuki, ci, którzy wcześniej nieraz Beksińskim gardzili?

**WB:** Warto wspomnieć, że on wszedł do popkultury nie tylko za sprawą ogromnego zainteresowania jego malarstwem, ale też poprzez liczne nawiązania innych artystów do jego dzieł. Nieprawdopodobnie zainteresowani są jego sztuką muzycy, i chodzi tu zarówno o twórców muzyki poważnej, jak i rockowej. Beksiński ma miliony fanów na całym świecie, ale nie sądzę, że to jest etykieta wyznaczająca rangę artysty – owa popularność, którą twórcom rzadko kiedy udaje się osiągnąć.

Natomiast niechęć zawodowych odbiorców sztuki wynikała moim zdaniem z niezrozumienia. Jeżeli podchodzili do sztuki z pewnym schematem wartościowania, to coś, co wykraczało poza ów schemat, było poddawane wartościowaniu negatywnemu. Skoro świat sztuki w poprzednim wieku był nastawiony na nowoczesność i nie dostrzegał jej w malarstwie, to jasne, że ono się dewaluowało. Ale wielu krytyków nawet nie próbowało się zastanowić, dlaczego artysta wycofuje się z wcześniejszego nurtu, mając zagwarantowaną pozycję. Dlaczego robi krok w inną stronę? O co mu chodzi? Co takiego ważnego ma do przekazania?

Wydaje mi się, że geniusz Beksińskiego polega na tym, iż jego sztuka, w przeciwieństwie do sztuki innych mu współczesnych, przywraca zwykłego odbiorcę. A przecież sztuka od zawsze była społecznie osadzona. Ludzie przychodzili do kościoła i zachwycali się polichromią i ołtarzami. Nie musieli rozumieć skomplikowanych wątków teologicznych, ale widzieli piękno. Tymczasem w drugiej połowie XX w. pojęcie piękna zaczęło tracić w ogóle rację bytu. Liczyła się raczej brzydota albo zamierzona antyestetyka. Deklaracja, że chce się namalować piękny obraz, była niedopuszczalna.

Wiesław Banach  
pakuje prace  
Zdzisława  
Beksińskiego  
przed kolejną  
wystawą.

© ARCHIWUM WIESŁAWA BANACHA



A Beksiński z uporem oświadczał, że jemu chodzi o to, żeby obraz był piękny. Dziś jest już inaczej, ale jeszcze przed kilku laty widz miał prawo czuć, że jest obok oglądanej sztuki, miał prawo jej nie rozumieć. Mógł sobie pomyśleć, że artysta nim gardzi, skoro nie szuka środków porozumienia. I nagle zjawia się ktoś, kto wciąga odbiorcę w swój świat za pomocą tradycyjnego warsztatu. Ów świat jest, co prawda, dziwny i niezrozumiały, ale pełen wyrazu. Widz znajduje tu jakąś wspólnotę z twórcą, nosi w sobie podobne lęki. Taki powrót do malarstwa figuratywnego, malarstwa przedstawieniowego staje się łącznikiem artysty z widzem. I nie jest to wcale schlebianie widzowi, chęć przypodobania się, ale raczej potrzeba wypowiedzania się z własnych emocji – i to nie odbiorcy, lecz samemu sobie. Ta sztuka jest autentyczna i widz to rozumie.

**KB:** A pańska rola? Był pan i nadal jest łącznikiem Zdzisława Beksińskiego ze światem?

**WB:** Moja praca zawsze polegała na tym, żeby pomóc ludziom dotrzeć do malarstwa Beksińskiego. Oni często oczekują wyjaśnienia symboli, upatrują w wątkach jego twórczości jakiegoś tajemniczego tropu. Nic podobnego. To jest malarstwo intymnej rozmowy, malarstwo nastroju, przeżycia, emocji. One i tak są w pewnym momencie zatrzymane, wyhamowane. Bo Beksiński zawsze się obawiał, że powie za dużo, że jego wypowiedź zostanie uznana za przesadzoną. Świat go oskarżał o tani symbolizm, a on robił celową prowokację. Grał ze światem kultury, ale nie ze zwykłym widzem.

Beksiński jest artystą, który najgłębiej sportretował człowieka drugiej połowy XX w. Człowieka z jednej strony bardzo racjonalnego, a z drugiej – pełnego lęku i wątpliwości. Z jednej strony zadufanego w sobie, a z drugiej – przekonanego, że to wszystko jest i tak na marne. Człowieka, który z jednej strony mówi: „Nie ma Boga”, a z drugiej nie wie, jak żyć bez nadziei, którą daje wiara. Beksiński jest człowiekiem drugiej połowy XX w. i swoje emocje, przeżycia zostawia w obrazach. I oczywiście są wśród jego prac obrazy – jak ja to mówię – słabe, średnie i bardzo dobre. W pewnym momencie artysta zostawia za sobą całą niesamowitą rekwizytornię okresu fantastycznego, która była tak szeroko rozpoznawana, a skupia się właściwie już tylko na formie. I jest ona w najwyższym stopniu bolesna. Obrazy z lat 90., które najbardziej kocham, to dzieła często wstrząsające – będą opowiadać o nas przyszłym pokoleniom.

I to malarstwo ukazuje nam na nowo artystę – jako człowieka tragicznego, pełnego lęku, myślącego o przemijaniu. Jego dzieła stają się dla nas lustrem. Odnajdujemy w nim obraz przemijania. Język, którym posługuje się Beksiński, jest względnie zrozumiały, możemy z nim obcować. Beksiński nie wymaga od nas wyrafinowanych teorii zaszyfrowanych specjalistyczną nowomową. Staje się artystą takim jak jego poprzednicy w renesansie, w średniowieczu, w baroku. Mówiąc do siebie – bo zawsze uważał, że maluje dla siebie samego, i zdumiewało go szerokie zainteresowanie widzów – mówi zarazem do ludzi, do zwykłego człowieka.



# BLACHY PRUSZYŃSKI




RAZEM  
BUDUJEMY POLSKĘ


[www.pruszynski.com.pl](http://www.pruszynski.com.pl)

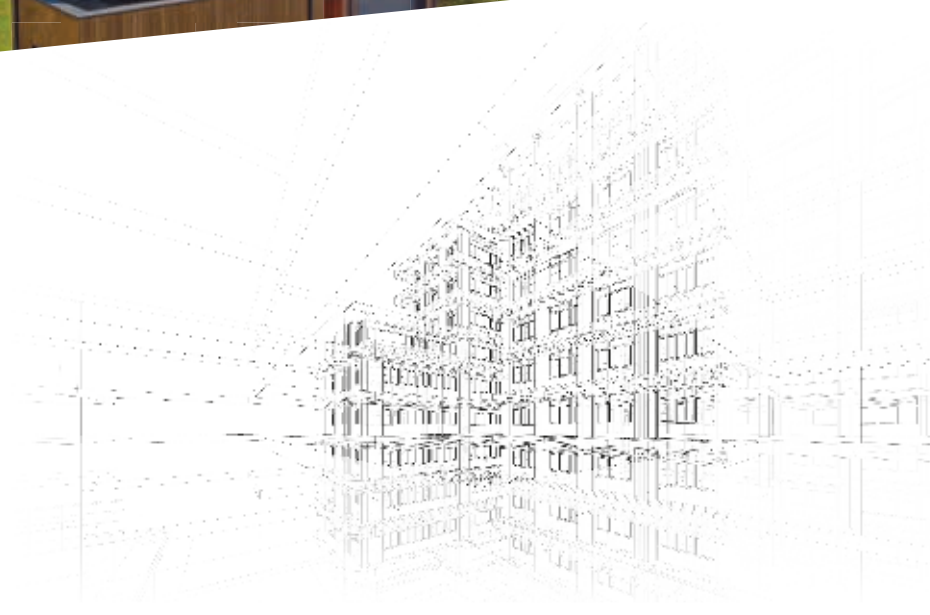




SKONTAKTUJ SIĘ Z NASZYM  
DZIAŁEM TECHNICZNYM

 22 738 60 00

 [pruszynski@pruszynski.com.pl](mailto:pruszynski@pruszynski.com.pl)



# Film mnie ukąsił i już z nim zostałem

- Myślałem, że będę pisał. Chciałem się specjalizować w reportażu, ale podczas studiów na dziennikarstwie dowiedziałem się o Studium Scenariuszowym przy Szkole Filmowej w Łodzi.
- Obecnie, w czasie pandemii, producenci wolą pracować dla platform streamingowych, bo dostają bardzo dobre budżety i mają pewność ciągłości swojej pracy.
- Zawód reżysera można wykonywać w różny sposób – robić reklamy, teledyski, programy w telewizji, reportaże, filmy dokumentalne. Jednak elitą są ci, którzy robią filmy kinowe.
- Myślę, że dziś seriale są bardziej oryginalne niż filmy. Dają więcej przestrzeni, można zrobić coś dużo bardziej nietuzinkowego.
- Reżyser to zawód typowo praktyczny. Można czytać mądre książki, ale tak naprawdę tylko praktyka się liczy.
- Często reżyserzy debiutują późno. Mój debiut fabularny, pełnometrażowy – bo wcześniej robiłem filmy telewizyjne – odbył się, gdy byłem już po czterdziestce.

Z **Maciejem Pieprzycą** rozmawia Kamil Broszko.

**Kamil Broszko:** Czuje się pan śląskim reżyserem?

**Maciej Pieprzyca:** Przyznaję, że nie lubię, kiedy twórcom przypisuje się etykiety, a często się z tym spotykam. Piszą o mnie jako o śląskim reżyserze. Urodziłem się i wychowałem na Śląsku. Zrobiłem tam kilka filmów oraz spektakli i z przyjemnością wracam na Śląsk z kamerą, ale nie zgadzam się z takim szufladkowaniem. Nie ma czegoś takiego jak reżyser poznański, krakowski, śląski czy warszawski. Opowiadam różne historie. Jeżeli mam pomysł na taką, która się rozgrywa na Śląsku, to z przyjemnością tam przyjeżdżam i lubię pracować. Ale nie uważam się za śląskiego reżysera.

**KB:** Jednak jakąś etykietę trzeba przyjąć. Czy może to być etykieta twórcy?

**MP:** To nie jest dla mnie etykieta, tylko po prostu nazwa. Ktoś coś tworzy, wymyśla, kreuje. Uważam, że przypisanie etykiety następuje wtedy, kiedy mówi się o kimś, że robi filmy tylko w jednej tematyce. To jest nieco krzywdzące. Czasami tak mówią dziennikarze. Nie chcę tutaj mieć do nikogo pretensji, ale mam wrażenie, że szufladkowanie twórców często jest ułatwieniem – skoro ktoś zrobił coś w danej tematyce i mu w miarę wyszło, to już musi tak pozostać.

**KB:** Przed reżyserią studiował pan dziennikarstwo.

**MP:** Tak. Najpierw studiowałem dziennikarstwo na Uniwersytecie Śląskim i ukończyłem te studia. Ale ludzie trafiają do filmu z różnych sfer, np. z amatorskich klubów filmowych, z dyscyplin plastycznych i ze specjalności związanych ze słowem. Myślałem, że będę pisał. Chciałem się specjalizować w reportażu, ale tak się złożyło, że podczas studiów na dziennikarstwie dowiedziałem się o Studium Scenariuszowym przy Szkole Filmowej w Łodzi – a wtedy to była dosyć młoda instytucja. Będąc jeszcze studentem dziennikarstwa, postanowiłem, że spróbuję tam zdawać. Wysłałem swoje prace literackie i zakwalifikowano mnie do egzaminu, który następnie zdałem. To był mój pierwszy profesjonalny kontakt z filmem. I film mnie ukąsił, już z nim zostałem. Kończąc studia dziennikarskie – a specjalizowałem się w pisaniu – postanowiłem jednak nie ubiegać się o pracę w gazecie. Zdecydowałem się zdawać do szkoły filmowej zaraz po obronieniu się na dziennikarstwie, a równolegle kończyłem też Studium Scenariuszowe.

**KB:** Czy to, że tak mocno osadził się pan w tekście, miało późniejszy wpływ na pracę reżysera? Nie chodzi mi nawet tylko o to, że do większości swoich filmów stworzył pan scenariusze.





**Maciej Pieprzycza** – reżyser, scenarzysta filmowy, a także pisarz i nauczyciel akademicki. Urodzony w Katowicach.

Wyreżyserował m.in. nagradzane na międzynarodowych i krajowych festiwalach filmy fabularne: „Drzazgi”, „Chce się żyć”, „Jestem mordercą”, „Ikar. Legenda Mietka Kosza”, jak też filmy dokumentalne („Przez nokaut”, „Inna”), spektakle Teatru Telewizji („Fryzjer”, „Padnij”, „Rodzinny Show”, „Komu wierzyć”) oraz seriale „Kruk” i „Prokurator”. Jest autorem dwóch bardzo dobrze przyjętych powieści: „Chce się żyć” i „Ikar”.

Maciej Pieprzycza na planie filmu „Ikar. Legenda Mietka Kosza”.  
Z prawej: odgrywający główną rolę Dawid Ogrodnik.

© LUKASZ BAJRE STUDIO/NEXT FILM

**MP:** Tak, myślę, że to cały czas ma na mnie wpływ. Najpierw pisałem opowiadania, reportaże, potem zacząłem pisać scenariusze i byłem scenarzystą. Później zostałem reżyserem. Reżyserzy nie zawsze piszą dla siebie scenariusze i nie muszą tego robić. Kiedyś chyba Roman Polański powiedział, że reżyser nie musi umieć pisać, ale musi umieć czytać. Bardzo mądre zdanie. Trzeba umieć przeczytać scenariusz, żeby wiedzieć, że jest dobry. Trzeba wiedzieć, kiedy warto go poprawić, ale niekoniecznie trzeba pisać. Ja nie reżyserowałem wyłącznie swoich tekstów. Dostaję też propozycje scenariuszy – głównie w przypadku seriali. Charakteryzuje mnie jednak to, że trafiłem do zawodu reżysera ze sfery literackiej.

**KB:** Czy można powiedzieć, że film przeniósł się z wielkiego ekranu na platformy streamingowe?

**MP:** To się faktycznie dzieje. Ten rynek bardzo się zmienił głównie przez pandemię, w związku z faktem, że kina były tak długo zamknięte. Teraz już są otwarte, ale jeżeli przed pandemią na film poszło około 100 tys. widzów, to taki wynik uważano za słaby. Dziś ocenia się go jako wielki sukces. Myślę, że powrót do poziomu sprzed pandemii, jeżeli chodzi o liczbę widzów w kinach, to będzie długi proces. Ja sytuuję siebie bardziej po stronie kina artystycznego niż komercyjnego. Rynek festiwalowy, który też był bardzo znaczący, również się skurczył. Większość festiwali przez pande-



mię się nie odbyła lub odbyła się online, przez co straciły trochę na znaczeniu. Równolegle w tym czasie urosły w siłę platformy streamingowe, np. Netflix, HBO, Player. I już wchodzi kolejne. Co ciekawe, platformy dużo produkują również na rynek polski. To jest dobre dla ludzi filmu, w tym również dla reżyserów, bo mamy pracę, i to w świetnych warunkach. Platformy streamingowe stanowią też konkurencję dla Telewizji Polskiej. Dziś Netflixa ma prawie każdy. A przed pandemią było zupełnie inaczej. Wtedy Netflix nie produkował niemal nic na rynek polski. Warto przypomnieć, że platforma nie robi tylko seriali, ale również filmy fabularne, np. „Romę” – film, który dostał trzy Oscary. Choć oczywiście każdy z serwisów stawia przede wszystkim na seriale.

**KB:** Czy praca nad filmem i serialem z perspektywy reżysera wygląda tak samo?

**MP:** Tak, oczywiście, natomiast konsekwencje tej pracy są różne. Kino traci na znaczeniu. Robiłem seriale wcześniej, przed pandemią, ale to był jedynie pewien margines mojej działalności. Koncentrowałem się na filmie kinowym. Ten zawód można wykonywać w różny sposób – robić reklamy, teledyski, programy w telewizji, reportaże, filmy dokumentalne. Jednak elita są ci, którzy robią filmy kinowe, bo tym zajmuje się niewielu. Zaobserwowałem jednak, że obecnie, w czasie pandemii, producenci wolą pracować dla platform streamingowych, bo dostają bardzo dobre budżety i mają pewność ciągłości swojej pracy. W przypadku filmu kinowego producent zawsze ryzykuje, bo taki film ma zarobić na sprzedaży biletów, a nie zarobi, jeśli kina zostaną zamknięte albo liczba widzów na sali będzie ograniczona. Na platformie streamingowej film zarabia i funkcjonuje inaczej.

**KB:** Oceniamy seriale – z racji ich pełnej dostępności – używając kryteriów globalnych, a poprzeczka jest umieszczona bardzo wysoko za sprawą znakomitych produkcji amerykańskich, skandynawskich. Tym bardziej cieszysz się, że pana „Kruk” ma na Filmwebie ocenę 8/10!

**MP:** Ta ocena też w pewnym sensie jest symbolem zmian. Około 10 lat temu pojawiły się tzw. seriale premium. Trudno je porównać z serialami familijnymi z wcześniejszych lat, które dominowały w Telewizji Polskiej, jak choćby z „Na dobre i na złe”. Produkcje premium to elita seriali. To są produkcje zamknięte, jak „Kruk”, który ma trzy sezony, po sześć epizodów, i więcej nie będzie. Drugi sezon skończyłem w tym roku. Serial premium jest trochę bliski kinu, a dodatkowo ma tę zaletę, że można temat pogłębić. Jest jak film, tylko zamiast dwóch godzin trwa sześć i pół. Badania pokazały, że widzowie często czekają, aż będzie dostępna cała seria, i oglądają odcinek po odcinku, zazwyczaj po kilka naraz. Taki sposób odbioru dzieła może też przywołać na myśl oglądanie filmu w kinie. I ja w ten sposób oglądam seriale, stoją się one dla mnie takim dłuższym filmem fabularnym, bardziej rozbudowanym. Film zazwyczaj trwa maksymalnie dwie godziny, więc siłą rzeczy musi

się koncentrować na jednym głównym wątku. Natomiast mając do dyspozycji pięć godzin, można to wszystko rozbudować o różne wątki poboczne. Myślę, że taki serial to dobra rzecz dla reżyserów. Choć dla wielu może być namiastką robienia kina w czasach, gdy nie można go robić.

**KB:** Zapytałem o wysoką ocenę „Kruka”, a pan mówi o serialach premium. Rozumiem skromność, ale myślę, że widzowie doceniają pana koncepcję i sposób, w jaki pokierował pan opowiadaniem tej historii. Czy zna pan już receptę na udany serial i jaka w tym wszystkim rola intuicji?

**MP:** Praca filmowa – czy to jest kino, czy serial – to praca zespołowa. Ja oczywiście jestem głównodowodzącym i podejmuję najważniejsze decyzje artystyczne, ale są też aktorzy, scenariusz i wiele innych czynników, które mają wpływ na ostateczny kształt filmu. Nie może być zatem jednego patentu na zrobienie serialu, który każdemu przypadnie do gustu. Tym bardziej że wszystko się zmienia – również na rynku serialowym. Pewne rzeczy, które podobały się kilka lat temu, teraz podobają się mniej. Z tego, co obserwuję, seriale są często bardziej odważne obyczajowo niż kino, ale są też ciekawsze ze względów formalnych. W serialach widzę różne narracje – ciekawe, inne, zmienne. Kino jest jednak ograniczone do spektaklu dwugodzinnego i przez to dominuje w nim bardziej klasyczna narracja, która w takim przypadku lepiej się sprawdza. Seriale są przeróżne, dają więcej przestrzeni, można zrobić coś dużo bardziej nietuzinkowego. Myślę, że dziś seriale są bardziej oryginalne niż filmy.

**KB:** Inny reżyserowany przez pana serial pt. „Prokurator” też ma bardzo wysokie oceny, a również porusza się w tematyce ciemnych stron ludzkiej duszy. Każdy lubi kryminały, ale czy reżyser powinien lubić je bardzo, żeby mu dobrze wychodziły?

**MP:** Myślę, że kryminał zawsze mnie interesował, tak samo jak aspekt psychologiczny. „Kruk” jest bardziej kryminałem psychologicznym – z naciskiem właśnie na słowo „psychologiczny”. Co przez to rozumiem? Sama zagadka kryminalna nie znajduje się na pierwszym planie, lecz serial jest pretekstem do tego, żeby się przyjrzeć ludziom w takiej, a nie innej sytuacji, np. jakiejś ekstremalnej. Co z ludzi wtedy wychodzi? Dobro czy zło? Jak się zachowują? Sama zagadka to dla mnie za mało. Strona psychologiczna jest bardzo ważna – interesuje mnie przyglądanie się człowiekowi, wchodzenie w jego głowę. Myślę, że bohaterowie wymienionych seriali, i również moich filmów, mają dosyć złożone osobowości. Uważam, że człowiek nie jest absolutem, ma w sobie i dobro, i zło, zaś w zależności od zaistniałych sytuacji te dwie sfery walczą ze sobą. O tym jest „Kruk”. O walce dobra ze złem w ludziach. Nie tylko w głównym bohaterze, lecz także w innych postaciach tej historii. Już mam trochę lat, parę rzeczy zrobiłem. Wybieram takie propozycje, które są dla mnie najciekawsze.



Kadr z filmu  
„Chce się żyć”  
z Dawidem  
Ogrodnikiem

© KINO ŚWIAT

**KB:** Naucza pan przyszłych twórców filmów na Wydziale Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego. Czy lubi pan pracę z młodymi?

**MP:** Tak. Myślę, że kontakt z młodymi ludźmi, z ich wrażliwością, z ich wyobraźnią, jest odświeżający dla reżysera. To jest zawód typowo praktyczny. Można czytać mądre książki – dobrze, że są, bo to wiedza teoretyczna – ale tak naprawdę tylko praktyka się liczy. Ileś błędów trzeba popełnić, żeby wyciągnąć wnioski, a później – iść dalej. Ze studentami dzielę się wiedzą praktyczną, którą zdobyłem podczas 20 lat pracy. Nawet jeżeli mówię o teorii, to jest ona ściśle powiązana z praktyką. Nie uczę historii filmu, ale z pewnością reżyser też powinien ją znać. Uczę praktyki, czyli dramaturgii pisania scenariusza, podstaw filmowej inscenizacji czy pracy z aktorem. Uważam, że nie tylko ja coś daję studentom, dzieląc się swoimi doświadczeniami, ale również biorę od nich energię, która jest potrzebna do wykonywania tego zawodu.

**KB:** Świat mocno przyspieszył i pewnie dalej będzie przyspieszał. Trudno przewidzieć, co się będzie działo w ciągu najbliższych lat. Czy to stawia nauczyciela w trudniejszej sytuacji?

**MP:** Ja tego tak nie odczuwam. Pandemia mocno zweryfikowała założenia szkoły, ponieważ była ona przez rok pozbawiona możliwości faktycznego przekazywania wiedzy praktycznej. Równocześnie świat filmu cechuje się tym, że tutaj strona techniczna zmienia się w galopującym tempie. Ja też nie nadążam za wszystkimi zmianami, ale tym zajmują się inni, bo przy każdym filmie pracuje grono specjalistów. Natomiast zawsze w filmie podstawą było i będzie opowiadanie historii. Film jest swego rodzaju gawędziarstwem. Czy to będzie film science fiction, czy kryminał, czy kameralny dramat psychologiczny, czy to będzie „Nomadland”,

czy „Batman” – za każdym razem opowiadana jest pewna historia. Ich podstawa jest taka sama, chociaż filmy te są skrajnie różne. Budowanie tej historii, opowiadanie jej potem przy pomocy kamery – to jest pewnego rodzaju warsztat. I to jest stały paradygmat w tej dziedzinie, jaką jest film. Opowiadanie historii jest pewną stałą, jest podstawą. Trzeba je opowiedzieć tak, żeby poruszały. Najciekawsze są te, które wzbudzają emocje widzów.

**KB:** Czy zajmują pana dyskusje na temat filmu w kontekście politycznym albo ideologicznym? A może postawienie idei opowiadania historii w centrum artystycznych założeń broni przed zajmowaniem się takimi tematami?

**MP:** Wychowałem się i wyedukowałem w poprzednim systemie ustrojowym w Polsce, a zacząłem pracować już w nowym. Szkołę filmową rozpocząłem na początku lat 90., kiedy w kraju zaczęła się przemiana ustrojowa, czyli nie robiłem kina, które miało by cenzura, jak było kiedyś. Oczywiście w naszych czasach też istnieją różne mechanizmy, które mogą się kojarzyć z cenzurą, ale dziś środkiem, za pomocą którego wpływa się na artystę, są przede wszystkim finanse. Istnieją też zagrożenia związane z ograniczaniem wolności, ale z pewnością szkoła filmowa się tym nie zajmuje. Kiedyś sporo pracowałem dla Telewizji Polskiej, teraz trudno mi się tam odnaleźć. Mnie generalnie nie interesują tematy stricte polityczne.

**KB:** W tym roku w Łódzkiej Szkole Filmowej na reżyserię filmową i telewizyjną przyjęto same kobiety. Czy podobnie było w Katowicach?

**MP:** Wzrost liczby kobiet w branżach kreatywnych to jest ogólny trend i, co ciekawe, nie wynika z jakichś parytetów. Nie wiedziałem, że w Łodzi były takie proporcje. Zarówno w Łodzi, jak i w Katowicach

przyjmuje się po osiem osób. U nas – z tego, co pamiętam – studia na kierunku reżyseria rozpoczęło w tym roku pięć kobiet i trzech mężczyzn. Myślę, że kobiet jest więcej, bo są po prostu teraz ciekawsze. I ten trend trwa od kilku lat. Jaki dokładnie mechanizm za tym stoi, to pewnie wie jakiś socjolog. Kiedy ja rozpoczynałem szkołę, na roku miałem tylko jedną dziewczynę. A to nie wynikało z faktu, że ktoś był na egzaminach wstępnych w jakiś sposób przeciwny kobietom i nie chciał ich przyjmować. Po prostu dziewczyny nie wybierały tych studiów albo te, które wybierały – a było ich niewiele – nie były materiałem na reżysera. Ale to się powoli będzie zmieniać. Już dziś wiele ciekawych kobiet trafia do tego zawodu. A z kolei mężczyźni może już nie mają ochoty na studiowanie reżyserii. To jest specyficzny zawód, dla pasjonatów. Jeśli się nie ma do tego pasji i nie poświęci się temu życia, to trudno liczyć na jakiegokolwiek osiągnięcia. W biznesie można jednym celnym trafieniem zrobić superinteres życia i dzięki temu na długo się ustawić. A reżyseria, wbrew potocznym wyobrażeniom, wymaga dużo potu. Łatwo się poddać. Podczas wielu lat pracy w branży poznałem jednak wiele wytrwałych osób, które się nie poddały. To właśnie wytrwałość jest podstawową cechą, najważniejszą u reżysera. Często człowiek się po prostu zniechęca, chce ten zawód zmienić albo wykonywać go na łatwiejszym poziomie.

**KB:** Mówi pan, że do reżyserowania trzeba potu, ale czy to też nie jest zawód, który w pewien sposób konserwuje? Nie wiem, czy mamy inną grupę zawodową, w której mielibyśmy nestorów w tak zaawansowanym wieku. I oni ciągle pozostają aktywni. Mamy przecież czynnych reżyserów 80-letnich, 90-letnich. Każdy, kto choćby otarł się o plan filmowy, wie, że ten pot nie jest tylko frazesem. Nieraz jest też chłodno, na przykład wtedy, gdy robi się film zimą.

**MP:** Tak właśnie jest. Teraz już się tego nie wymaga, ale kiedy ja szedłem na studia, to do tej teczki z dokumentami, które się składało, trzeba było załączyć badanie sprawności fizycznej. To się wydaje śmieszne, ale zawód reżysera to przede wszystkim ciężka praca fizyczna, nie tylko intelektualna. Nasz dzień pracy na planie filmowym – bez względu na to, czy jest zimno, czy pada – to podstawowo 12 godzin. Często jest zaś dłuższy, bo dochodzą nadgodziny. Już nie wspomnę o stresie. Zatem nie tylko fizycznie bywa ciężko, ale też w aspekcie psychologicznym, bo jest to praca bardzo odpowiedzialna, z tej racji, że film jest dość kosztowny. Przez jedną nieudaną rzecz można sobie przekreślić karierę albo przynajmniej przez jakiś czas nie mieć pracy. Też tak bywa. Jednak są osoby, które wykonują zawód reżysera bardzo długo, np. Andrzej Wajda.

**KB:** Również Janusz Majewski, Krzysztof Zanussi, Woody Allen.

**MP:** Tak. Jerzy Skolimowski ma teraz robić film. Krzysztof Zanussi również. Ja tylko mogę przyklasnąć, pogratulować, że starsi koleczy są w takiej formie i że dają radę.

**KB:** Patrząc z tej perspektywy, to pan jest w połowie swojej reżyserskiej drogi.

**MP:** Jestem w średnim wieku, tak bym to nazwał. Często reżyserzy debiutują późno. Mój debiut fabularny, pełnometrażowy – bo wcześniej robiłem filmy telewizyjne – odbył się, gdy byłem już po czterdziestce. To się często zdarza u reżyserów. Wiek średni przypada gdzieś po pięćdziesiątkę. Ja jestem już po pięćdziesiątkę, ale jeszcze przed sześćdziesiątką, zatem jeszcze kilka dobrych filmów mogę zrobić. Oby tylko zdrowia starczyło i żeby pandemia nam nie utrudniała. Myślę, że to jest główny problem. Doświadczyłem lockdownu w świecie filmu, obserwowałem, jak stawały produkcje.

Kiedy robimy filmy do kina, to chcemy, żeby widz oglądał je w kinie. Kiedy robimy filmy, które mają potencjał festiwalowy i mogą brać udział w konkursach, to chcemy, żeby „jeździły” po świecie. Żebyśmy rozmawiali o nich z ludźmi reprezentującymi inne kraje, inne kultury. To po prostu było niemożliwe przez ostatnie półtora roku. Oby wszystko wróciło do normy. Na razie nie jest najlepiej.

**KB:** Opowie pan o swoich planach? O takich, które już są skryształizowane, może nawet zakontraktowane, ale też tych, które są dopiero odległym marzeniem?

**MP:** Takich zakontraktowanych planów nie mam. Zwykle jest tak, że reżyser pracuje nad kilkoma projektami, ponieważ nie wiadomo, który z nich wyjdzie najpierw. W związku z tym staram się mieć taki płodozmian. Zrobiłem ostatnio drugi sezon „Kruka”. Pracowałem nad nim jeszcze w pandemii i przez to robiłem go dosyć długo, bo musieliśmy kilka razy przerywać zdjęcia. Teraz chciałbym wrócić do kina – pracuję nad dwoma projektami filmów kinowych. Jestem na zaawansowanym etapie scenariuszowym.

A co będzie dalej? Trudno jeszcze dziś powiedzieć. Dla mnie idealnie byłoby – nawet marzę o tym – gdybym w drugiej połowie przyszłego roku mógł zacząć zdjęcia do któregoś z tych projektów. Byłbym bardzo szczęśliwy, ale to zależy od wielu czynników. Drugi sezon „Kruka” się podobał, więc stacja chce kontynuować serial i zamknąć go „Krukiem 3”. Trwają prace literackie, bo od tego wszystko się zaczyna. Najpierw musi zostać napisany scenariusz, żeby móc cokolwiek planować. Dlatego ja pracuję nad swoimi projektami filmów fabularnych, a scenarzysta serialu „Kruk” Kuba Korolczuk pracuje nad jego ostatnim sezonem. Kiedy „Kruk 3” będzie w produkcji i kiedy zostanie wyemitowany? Naprawdę trudno powiedzieć.

**KB:** Czyli znów będzie pan scenarzystą swoich filmów kinowych?

**MP:** Tak. Szukałem przez dłuższy czas jakiejś książki do adaptacji, ale nie znalazłem nic na tyle interesującego, by się za to zabrać. Zdecydowałem się więc rozwijać dwie historie – jedną z innym scenarzystą, a jedną sam.



# Ciągle szukam ciekawych wyzwań, ale dobieram trudności w ramach rozsądku, świadomy swoich możliwości i limitów



**Andrzej Bargiel** (1988) wychował się w Łętowni w Małopolsce. Od najmłodszych lat wykazywał talent do narciarstwa i skialpinizmu. Jako nastolatek przeprowadził się do Zakopanego, aby rozwijać swoje umiejętności. Bardzo szybko okazało się, że posiada ponadprzeciętne predyspozycje do sportów wytrzymałościowych. Jest trzykrotnym mistrzem Polski w narciarstwie wysokogórskim, trzecim w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata w kategorii Espoir oraz rekordzistą świata w biegu na Elbrus. Od 2013 roku realizuje swój autorski projekt Hic Sunt Leones, którego celem są zjazdy na nartach z najwyższych szczytów Ziemi bez użycia tlenu. Jest pierwszym Polakiem, który zjechał na nartach z wierzchołka ośmiotysięcznika Sziszapangma-Centralna (Shishapangma Ski Challenge 2013). W 2014 roku ustanowił rekord najszybszego wejścia na szczyt Manaslu (14 h 5 min), po czym zjechał na nartach do bazy, co łącznie zajęło mu 21 h 14 min. Jako drugi człowiek w historii zjechał z tego szczytu na nartach do bazy (Manaslu Ski Challenge 2014). Rok później w ramach wyprawy Broad Peak Ski Challenge zdobył szczyt Broad Peak i jako pierwszy zjechał z niego na nartach. W 2016 roku otrzymał tytuł Śnieżnej Pantery za pobicie (o 12 dni) rekordu świata w zdobyciu i zjeździe na nartach z pięciu siedmiotysięczników położonych na terenie byłego ZSRR. Największym sukcesem sportowca jest projekt K2 Ski Challenge 2018 polegający na zdobyciu szczytu K2 i zjeździe na nartach z wierzchołka tej niezwykle trudnej i wymagającej technicznie góry, czego nie udało się dokonać wcześniej żadnemu człowiekowi na świecie. W 2019 roku, w trakcie wyprawy na Mount Everest (Everest Ski Challenge) ze względu na złą pogodę i niebezpieczeństwo związane z ogromnym (50 m wysokości i 30 m szerokości) serakiem zwisającym 800 metrów nad lodowcem i odczepionym od podłoża, musiał podjąć decyzję o przerwaniu wyprawy. W kwietniu br. wyruszył na najnowszą wyprawę w ramach Hic Sunt Leones – Karakoram Ski Expedition, której celem było zdobycie i zjechanie na nartach z dwóch sześciotysięczników – Laila Peak oraz Yawash Sar II.

© BARTŁOMIEJ PAWLKOWSKI

- Od najmłodszych lat chciałem uprawiać narciarstwo, w szczególności skialpinizm, gdyż istniała szansa, że stanie się on dyscypliną na igrzyskach olimpijskich w Turynie w 2006 r.
- Wyzwania są mi potrzebne, żeby mieć motywację do codziennej pracy nad sobą. Jeżeli nie mam takiego celu, to czas mi ucieka.
- Ważnym atutem mojego działania jest samodzielność, to, że mogę sam wpływać na proces na każdym jego etapie.
- Rozum nakazuje nie rzucać się na głęboką wodę, ale planować z głową, bezpiecznie, na miarę swoich realnych możliwości.
- Dawno się przekonałem, że nic się nam od życia nie należy, a to, co osiągniemy, musimy sami sobie wypracować.

Z **Andrzejem Bargielem** rozmawia Kamil Broszko.

**Kamil Broszko:** Co sprawiło, że poświęcił się pan narciarstwu wysokogórskiemu?

**Andrzej Bargiel:** Narciarstwo zawsze było moją największą pasją. W skialpinizmie to nie samo zdobycie szczytu jest końcem przygody, a dopiero zjazd, który jest największą nagrodą za wielogodzinną wspinaczkę. Czasem jest to czysta przyjemność, ale bywa też trudno i wówczas trzeba się mocno skoncentrować. To wtedy pojawia się największe wyzwanie. Dzięki moim wyprawom mogę eksplorować nieznane mi tereny. Ta działalność wciąż się rozwija i mam nadzieję, że będzie trwać dalej i że będę mógł nadal podróżować i spędzać czas w górach.

**KB:** Co w tych wyzwaniach jest ważniejsze: przekraczanie własnych ograniczeń czy kontakt z przyrodą?


**AB:** Wyzwania są mi potrzebne, żeby mieć motywację do codziennej pracy nad sobą. Jeżeli nie mam takiego celu, to czas

mi ucieka. Przekraczanie własnych granic to proces, który sam w sobie jest ciekawy i złożony. Bycie na wymarzonej wyprawie wysoko w górach już jest przywilejem, z którego bardzo się cieszę niezależnie od tego, czy osiągnę zadany cel, czy nie.

**KB:** Jako pierwszy człowiek w historii zjechał pan na nartach ze szczytów K2 i Broad Peak. Jak się wymyśla rzeczy, których jeszcze nikt nie zrobił?

**AB:** Wcale nie trzeba ich wymyślać, bo takich rzeczy jest mnóstwo. Istotna jest inna kwestia – jeżeli ktoś jeszcze czegoś nie robił, to znaczy, że trzeba sprawdzić, czy to się w ogóle da zrobić. A tej odpowiedzi nikt nam nie udzieli. Na tym polega istota takiego procesu, że czasami trzeba przejść całą drogę, aby na koniec dowiedzieć się, czy cel jest możliwy do osiągnięcia. Najbardziej fascynujący dla mnie jest sam proces. Mam intuicję, doświadczenie, umiejętności, wiedzę i na podstawie tych zasobów staram się





Andrzej Bargiel podczas  
wyprawy Karakoram  
Ski Expedition, której  
celem był niezdobyty  
wcześniej Yawash Sar II  
(6178 m n.p.m.) oraz Laila  
Peak (6096 m n.p.m.).

**AB:** Od najmłodszych lat chciałem uprawiać narciarstwo, w szczególności skialpinizm, gdyż istniała szansa, że stanie się on dyscypliną na igrzyskach olimpijskich w Turynie w 2006 r. Niestety podczas mistrzostw, które były organizowane tuż przed igrzyskami, zeszła lawina, pod którą ja również się znalazłem. Skutek był taki, że zaniechano wprowadzenia skialpinizmu do programu igrzysk w Turynie i w Vancouver w 2010 r. Ta sytuacja oraz kryzys gospodarczy w 2008 r. utrudniły zdobycie systemowego finansowania dla tego sportu, zarówno w fazie przygotowań, jak i startów – pozostało finansowanie ze środków własnych lub szukanie sponsorów na własną rękę. Mimo to startowałem, ale w końcu musiałem przerwać, bo to już przestało być racjonalne – ciężko było godzić pracę ze startami w zawodach i profesjonalnym treningiem, który gwarantował utrzymanie się na wysokim poziomie. A zawsze chciałem się ściągać z najlepszymi i robić to na maksa. Na szczęście w 2010 r. pojawiła się szansa, aby wystartować w biegu wysokogórskim Elbrus Race. Wygrałem go, poprawiając o 32 minuty poprzedni rekord trasy Denisa Urubki z 2006 r. Wyścig wymagał pokonania ponad 3 km przewyższenia, przy starcie z poziomu 2400 m n.p.m. Okazało się, że mogę się bardzo szybko przemieszczać na dużych wysokościach, co dało mi impuls do uczestnictwa w dwóch narodowych wyprawach programu Polski Himalaizm Zimowy. Uwzględniono wówczas mój warunek wspinaczki z nartami skiturowymi. Wtedy przekonałem się, że wspinaczka w wysokich górach i potem zjazd na nartach są możliwe, jeżeli ma się odpowiednie przygotowanie sportowe. Musiałem jednak pójść własną drogą, aby mieć szansę na realizację tych moich pomysłów. Chciałem odczarować stereotyp himalaisty-męczennika i pokazać radość z obcowania z nieskalaną naturą.

Uruchomiłem projekt Hic Sunt Leones, który ma na celu zjazdy z najwyższych szczytów Ziemi. Wydarzeniem inicjującym tę ideę była wyprawa na Sziszapangmę. Udało się zjechać z wierzchołka centralnego. Od tego czasu zrealizowaliśmy kilka kolejnych wypraw. Ciągłe szukam ciekawych dla mnie wyzwań, ale dobieram trudności w ramach rozsądku.

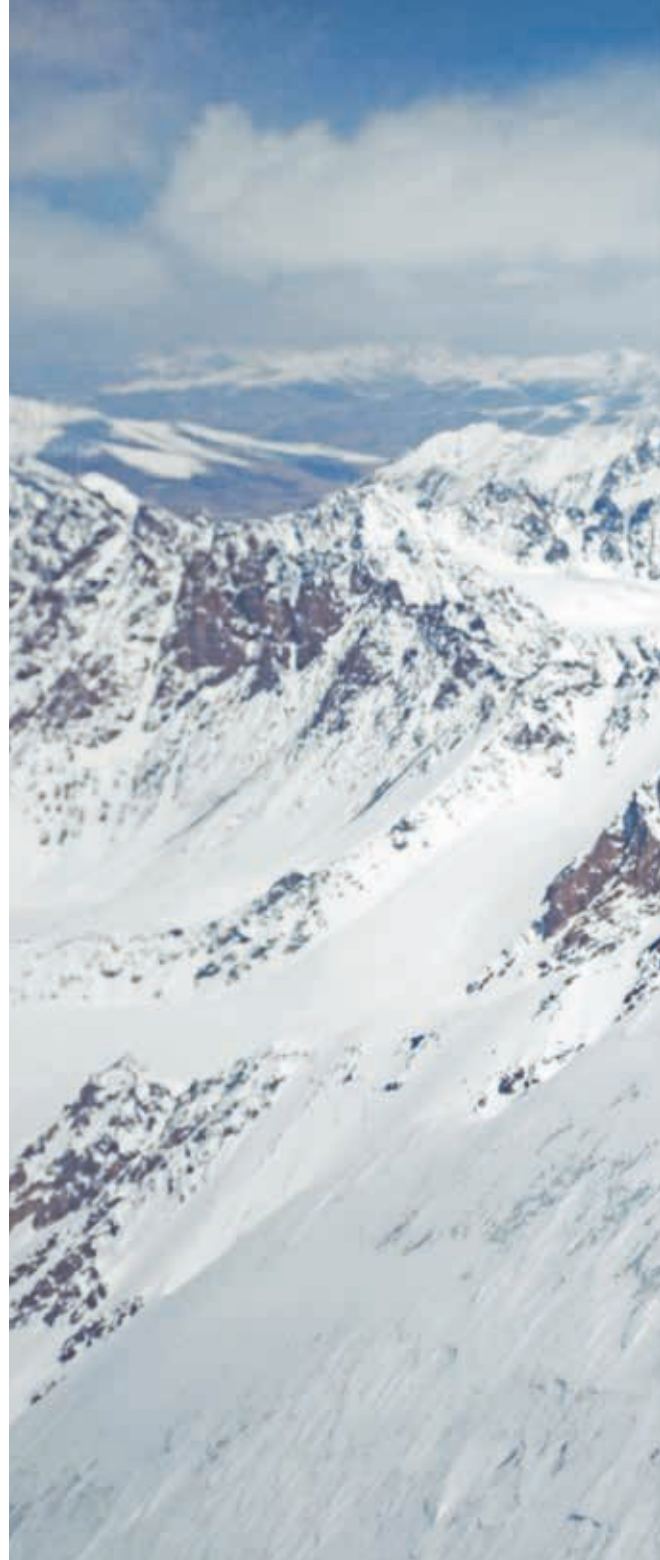
realizować moje przedsięwzięcia. Równie ważnym atutem mojego działania jest samodzielność, to, że mogę sam wpływać na proces na każdym jego etapie.

**KB:** Od 2013 r. realizuje pan narciarskie wyprawy wysokogórskie pod nazwą Hic Sunt Leones. Ich celem jest szybkościowe wejście, bez dodatkowego tlenu, i zjazd na nartach z najwyższych szczytów Ziemi. Zjazd z K2 dał panu wielką rozpoznawalność i ugruntował pozycję w światowym skialpinizmie. Ale ten sukces nie wziął się znikąd. Jaka była droga małego Jędrka na szczyt?





©TOMEK USTUPSKI (2)



**KB:** Z zapartym tchem słucha się tych opowieści o wyprawach w wysokie góry. Ale ostatnio mogliśmy przeczytać, że skialpinizm ostatecznie pojawi się w programie igrzysk olimpijskich w Mediolanie w 2026 r. Czy nie korci pana start na tych igrzyskach?

**AB:** To prawda, że skialpinizm ma pojawić się na igrzyskach olimpijskich – jako sport dodatkowy i bez gwarancji, że pozostanie w programie olimpiady w 2030 r. Mam 33 lata i ewentualny start na olimpiadzie wymagałby wielu zmian w moim życiu. Podejrzewam, że musiałbym zarzucić wysokie góry i skoncentrować się na

tym, żeby przygotować swój organizm do wysiłku innego rodzaju. Zawody skialpinistyczne są bardzo wyspecjalizowane i naprawdę trzeba poruszać się na bardzo dużych prędkościach. Jeszcze nie myślałem o tym poważnie.

**KB:** Pana dokonania dowodzą ponadprzeciętnych parametrów wytrzymałościowych, jakie posiada pański organizm.

**AB:** Konsekwencja w treningach od najmłodszych lat i przebywanie w górach poprawiają wydolność organizmu dwukrotnie



**Andrzej Bargiel podczas  
wyprawy Karakoram  
Ski Expedition w 2021 r.**

© KUBA GZELA

w stosunku do przeciętnego człowieka. To pomaga w wysokich górach, gdzie jest rzadkie powietrze i musimy z niego pobrać jak najwięcej tlenu, aby móc podjąć wysiłek potrzebny do zaplanowanego zadania. Oczywiście mam pewne wrodzone predyspozycje, ale moja wytrzymałość bierze się przede wszystkim z wieloletniego treningu. Jeżeli zbliża się wyprawa i zależy mi na budowaniu wytrzymałości, to potrzebuję około sześciu godzin dziennie na skitury, jazdę na rowerze i bieganie po górach. Ważne jest także robienie dużej ilości przewyższeń, bo nie chodzi o wielką liczbę kilometrów w linii prostej, tylko do góry. Jest to nieodzowne, bo

jeżeli w jeden dzień chcemy wejść na ośmiotysięcznik, to musimy pokonać około czterech kilometrów przewyższenia, startując z 4 tys. m n.p.m., czyli z wysokości szczytu Mont Blanc. Przyzwyczajenie organizmu do wysiłku na stromiznach jest kluczowe. Ale równie ważnym aspektem podczas wypraw wysokogórskich jest samodzielność – musimy samodzielnie analizować sytuację, dostrzegać zagrożenia i podejmować decyzje. Sami musimy dokonywać wyboru drogi podejścia, czytać sygnały pochodzące z natury. Ta samodzielność i umiejętność prawidłowego postępowania bezpośrednio wpływają na nasze bezpieczeństwo.



**KB:** Wymieniłbym jeszcze inne cechy, które warunkują sukces pańskich wypraw. To zaradność, przedsiębiorczość i zmysł dobrej organizacji, czyli cechy prawdziwego biznesmena. Czy wyniósł je pan z domu?

**AB:** Urodziłem się w Rabce-Zdroju, ale wychowywałem na wsi, gdzie moi rodzice mają po dziś dzień tradycyjne gospodarstwo, więc nie mieliśmy biznesowych tradycji w domu rodzinnym. Aczkolwiek mój pradziadek był przedsiębiorczy, więc kto wie – może po nim odziedziczyłem gen przedsiębiorczości i zaradności. *(śmiech)* Tak naprawdę to miałem dużo szczęścia, bo spotkałem na swojej drodze mądrych ludzi ze środowisk biznesowych, którzy wprawdzie nie dawali mi pieniędzy, ale uczyli mnie, co trzeba robić, aby się one pojawiły. Czyli dali mi wędkę, nie rybę. Właśnie możliwość nauki od najlepszych w biznesie była moją życiową przewagą. Dawno się przekonałem, że nic się nam od życia nie należy, a to, co osiągniemy, musimy sami sobie wypracować. Ta konsekwencja i pokora wobec losu umożliwiły mi realizację projektów, na które nie miałem funduszy; nawet byłem gotowy pożyczyć pieniądze. Ktoś, patrząc z boku, mógłby powiedzieć: „nie warto”, ale ja ze swoim zawzięciem dawałem radę doprowadzić projekty do końca.

**KB:** Finansowanie niszowych dyscyplin czy młodych zawodników, którzy jeszcze nie mają na koncie sukcesu, nadal jest problemem w Polsce. Czy inni pasjonaci sportów niszowych zwracają się do pana o poradę, jak spełniać marzenia?

**AB:** Kiedy pyta mnie dziesięcioletni chłopak, co musi zrobić, żeby zajmować się tym co ja, to niestety nie mam dla niego gotowej recepty. Moja droga była trudna i kosztowała wiele wyrzeczeń. Trzeba kochać to, co się robi, i być konsekwentnym, bo wytrwałość przynosi owoce.

Teraz jest już łatwiej, bo są narzędzia, które pozwalają zawodnikom realizować usługi marketingowe. Widać to choćby po influencerach, którzy funkcjonują w Internecie. Przyznam, że jestem przedstawicielem poprzedniej generacji i choć znam mechanizmy marketingu internetowego, to jednak nie odnajduję się w tego rodzaju aktywnościach. Dlatego nie robię tego na taką skalę, na jaką bym mógł i jaka przynosiłaby dużo większe korzyści. Wolę angażować się w projekty społeczne, które są dla mnie ważne. My, podróżnicy mający stały kontakt z naturą, szczególnie doceniamy jej piękno i musimy dbać o jej wartość i jej nieprzemijanie. A z drugiej strony mamy świadomość, że nasze podróżowanie powiększa ślad węglowy, więc warto wspierać te inicjatywy, które zmniejszają negatywny wpływ podróżowania na środowisko. Staram się też pomagać ludziom, którzy pomocy potrzebują, bo chcę się podzielić tym, co mam, a nie tylko zajmować swoją próżnością – bo i w ten sposób można patrzeć na moją pasję realizowania wymarzonych projektów, które przecież nie są najważniejsze na świecie.

**KB:** Czy ma pan w planach założenie szkoły dla twardej młodzieży spragnionej sukcesu i potężnych wyzwań?

**AB:** Nie myślałem jeszcze o tym, choć zdobywam powoli podstawy w tym kierunku. Ukończyłem kurs przewodnicki, jestem instruktorem Polskiego Związku Alpinizmu. W marcu przyszłego roku chcemy pojechać do Pakistanu do dzieci, które jeżdżą na narciach wystruganych z drewna. Chcemy nauczyć je profesjonalnej jazdy, aby posiadły umiejętności, które pozwolą im zawodowo zajmować się przewodnictwem górskim czy narciarstwem i w ten sposób utrzymać siebie i swoje rodziny.

**KB:** Często biega pan po Tatrach. A lubi pan Zakopane?

**AB:** Ubolewam, że potencjał architektoniczny Zakopanego został kompletnie zrujnowany poprzez niewłaściwe zarządzanie. Obecne miasto powstaje dla turystów, nie dla mieszkańców. Zakopane trapią też smog i kompletny paraliż komunikacyjny. Na szczęście przyglądam się temu z boku, bo korzystam jedynie z potencjału gór – wyjątkowych i niepowtarzalnych naszych Tatr. Jedyne, czego mi w nich brakuje, to nowych szlaków, aby odciążyć najpopularniejsze trasy, bo chodzenie w niesamowitym tłoku przestaje być przyjemne. Aktywności górskie stały się wśród Polaków bardzo popularne. W każdy weekend, niezależnie od pory roku, Tatry przeżywają obłęd. Warto wejść we współpracę ze Słowakami, połączyć nasze szlaki ze słowackimi i w ten sposób odciążyć nasze Tatry na rzecz słowackich szczytów, na których prawie w ogóle nie ma ludzi.

**KB:** Jest pan także ratownikiem TOPR. Jakie ma pan rady dla niewprawnych miłośników górskich wypraw?

**AB:** Jestem ratownikiem ochotnikiem TOPR. Mój brat jest zawodowym ratownikiem i zawsze było moim marzeniem dołączyć do tej elitarnego drużyny. Moja wskazówka dla wszystkich ludzi w górach: mierzyć zamiary na siły, nie wybierać zbyt trudnych szlaków, właściwie się ubrać, odpowiednio przygotować przed wyjściem, sprawdzając prognozę pogody. Jeżeli wychodzimy gdzieś powyżej schroniska, należy powiedzieć bliskim, jaki mamy cel wyprawy i o której godzinie zamierzamy wrócić. Nasza aktywność powinna odbywać się w bezpieczny sposób, aby nie trzeba było uruchamiać ratowników. Oczywiście zdarzają się błędy, ale chodzi o to, aby przez zwykłą nonszalancję i niedbałość nie doprowadzić do trudnej sytuacji.

**KB:** Ostatnio otrzymał pan tytuł Promotora Polski. Czym jest dla pana to wyróżnienie?

**AB:** Jest to bardzo miłe docenienie, tym bardziej że przecież wszyscy wyróżnieni, realizujący przeróżne cele społeczne, biznesowe czy sportowe, nie robią tego z myślą o nagrodach. Staramy się po prostu pokazywać to, co mamy najlepszego w Polsce i Polakach. Dlatego tak miłe są momenty, kiedy widzimy, że ktoś dostrzega nasze działania i widzi w nich jakąś wartość.



# Nie trzeba iść w klapkach, żeby ulec wypadkowi, większość ratowanych ma bardzo dobre buty

- Gwałtowne zmiany pogody występujące na całym świecie nie pozostają bez wpływu na góry. Również w Tatrach niestabilność występowania burz jest obecnie wyższa.
- Lepiej uratować kogoś, kto się tylko boi, niż żeby zrobił o jeden krok za dużo.
- Główną przyczyną wypadków śmiertelnych w Tatrach jest upadek z dużej wysokości.
- Podstawową zasadą bezpieczeństwa, nie tylko w górach, jest właściwa ocena własnych możliwości.
- W wakacje w górach są tłumy, ale zawsze podkreślam: trzeba się też cieszyć, że ludziom chce się iść.
- Co do zasady ludzie chodzą w góry dla przyjemności, ale chyba nie zawsze. Czasami jest to jakaś forma życia zastępczego.

Z **Janem Krzysztofem**, naczelnikiem TOPR, rozmawia Kamil Broszko.



**Jan Krzysztof**

– od ponad 20 lat naczelnik  
Tatrzańskiego Ochotniczego  
Pogotowia Ratunkowego.  
W TOPR od 1982 r.

© KAMIL BROSZKO

**Kamil Broszko:** Usłyszałem ostatnio od osoby znającej Tatry, że podstawowa zasada bezpieczeństwa brzmi: wyjdź w góry rano.

**Jan Krzysztof:** Podstawową zasadą bezpieczeństwa, nie tylko w górach, jest właściwa ocena własnych możliwości. I z tym jest zawsze najtrudniej. W szczególności wskazałbym na właściwą ocenę stanu zdrowia, kondycji, wiedzy, również ocenę czasu potrzebnego do zrealizowania celu wyprawy. Zasada mówiąca o wyjściu w góry rano, wciąż oczywiście bardzo ważna, dotyczy w głównej mierze burz, które najczęściej występowały po południu. Jednak zauważamy, że gwałtowne zmiany pogody występujące na całym świecie nie pozostają bez wpływu na góry. Również w Tatrach ta niestabilność występowania burz jest obecnie wyższa. Natomiast gdy wyjdziemy rano, będzie mniej ludzi i więcej czasu na wędrówkę, w upały będzie chłodniej. Zaś zimą tym bardziej wyjście rano jest ważne, bo dzień jest krótki, więc musimy wykorzystać czas ze światłem dziennym jak najlepiej.

**KB:** Pogoda w górach zawsze cechowała się pewną gwałtownością, a teraz jeszcze wspomniał pan o owej dodatkowej niestabilności wynikającej – jak rozumiem – ze zmian klimatycznych.

**JK:** Z pełnym przekonaniem mogę powiedzieć, że dawniej burze występowały szczególnie w czerwcu i lipcu, zaś w kolejnych miesiącach wygasły. Ostatnimi czasy całe lato jest burzowe. Zagrożenia zimowe, np. lawinowe, przechodzą dość gwałtownie w zagrożenia letnie, np. burze. Jednym słowem przez cały rok będą występowały jakieś zagrożenia naturalne. Oczywiście niebezpieczne zdarzenia wynikające z występowania burzy nie są największym problemem, z tego względu, że burze nie są główną przyczyną wypadków śmiertelnych. Warto również podkreślić, że mamy coraz lepsze prognozy pogody. Możemy adekwatnie do tych prognoz planować aktywności górskie. Przy czym zmienność pogody, zwłaszcza w wysokich górach, szczególnie na tak małym obszarze jak Tatry, jest bardzo duża. Nie możemy liczyć też na to, że gdy prognoza dla Rysów będzie zła, to prognoza np. na Czerwone Wierchy będzie inna. I znów wraca kwestia uzupełnienia choćby najlepszej prognozy odrobiną zdrowego rozsądku. Na razie nie wymyślono prognoz, które zapewniłyby pełne bezpieczeństwo w związku z przewidywaniem pogody.

**KB:** A co jest główną przyczyną wypadków śmiertelnych w górach?

**JK:** Upadek z dużej wysokości. Polska część Tatr to w skali naszego kraju niewielki obszar o charakterze wysokogórskim, alpejskim. Tutaj każde, nawet banalne potknięcie może skończyć się śmiercią. Polska jest krajem nizinnym, doświadczeń wysokogórskich turyści mają bardzo mało, chociaż turystyka górską jest niezwykle popularna. Oczywiście należy się z tego cieszyć, choć rozumiem też, że dla niektórych osób odwiedzających góry w sezonie turystycznym



może to być uciążliwe. Upadek z dużej wysokości – z różnych powodów, takich jak potknięcie, poślizgnięcie, zasłabnięcie – jest przyczyną ponad 90 proc. wszystkich wypadków śmiertelnych. Oczywiście my, widząc już sam skutek takiego upadku, rzadko kiedy znamy szczegółową przyczynę.

**KB:** Czy Orla Perć jest najniebezpieczniejszym miejscem polskich Tatr?

**JK:** Na pewno najbardziej wymagającym technicznie, z elementami wspinaczkowymi, ale też z licznymi sztucznymi ułatwieniami. Teraz znów zaczyna się tam remont, bo punkty, które uległy uszkodzeniu na skutek erozji, wymagają naprawy. Mimo owych ułatwień Orla Perć może być porównywana z łatwą wspinaczką. Występują na niej trudności techniczne, ale także fizyczne i psychiczne. Podejmujemy tam wiele interwencji – nieraz krytykowanych w mediach społecznościowych – polegających na tym, że zwozimy turystę, który doświadcza tzw. blokady psychomotorycznej. Często są to dramatyczne sytuacje, osoby nie są w stanie wykonać żadnego ruchu. Ale my wiemy, że lepiej uratować kogoś, kto się tylko boi, niż żeby zrobił o jeden krok za dużo.

**KB:** Nieraz w przekazie medialnym symbolem braku odpowiedzialności w górach jest osoba wybierająca się w Tatry w klapkach.

**JK:** Jestem przeciwny takiemu stawianiu sprawy i źle odbieram szerzenie tego stereotypu. Nie trzeba iść w klapkach czy w szpilkach, aby ulec wypadkowi. Większość ratowanych jest w bardzo dobrych butach. Jak się wyjedzie w klapkach kolejką na Kasprowy Wierch albo idzie się w nich drogą do Morskiego Oka, to proszę mi wierzyć – nie ma to najmniejszego znaczenia. Natomiast, odwracając sytuację, wielu turystów uważa, że skoro ma dobre buty, to może





Schronisko PTTK na Hali Ornak jest celem niezliczonych turystów udających się każdego lata na spacer do Doliny Kościeliskiej.

© KAMIL BROSZKO

wszystko. Człowiek nie musi być kompletnie nieodpowiedzialny czy po prostu głupi, żeby ulec wypadkowi. Wyśmiewanie skrajnych postaw to nie jest właściwa droga do promowania bezpieczeństwa. Każdemu może zdarzyć się wypadek, a żeby go uniknąć, należy właściwie ocenić ryzyko. Ważne są wiedza, umiejętności, kondycja, informacja o pogodzie, o celu wycieczki, możliwych przeciwnościach. Im lepiej będziemy przygotowani, tym mniejsze będą negatywne skutki ewentualnego wypadku. Oczywiście teoretycznie człowiek może wybrać najtrudniejszą drogę, zdecydować się na samotną wyprawę czy zrezygnować z asekuracji. Ale powinien zdawać sobie sprawę z ryzyka. Wypadki będą się zdarzać, ważne, aby wybór był świadomy. A skoro mowa o świadomości – nic nie stoi na przeszkodzie, żeby powiedzieć komuś, jakie mamy plany. Na wymagającą przygodę w Tatry najlepiej wybierać się z zaufanym partnerem, w niedużej grupie 2–3 osób. Można sobie wtedy wzajemnie pomóc. Ważne przy tym, aby to były osoby o podobnych celach, podejściu do gór itp. Żeby nie było powodów do konfliktów, tylko do przyjemnego spędzania czasu w gronie przyjaciół.

**KB:** Jak się wzywało TOPR przed erą telefonii komórkowej?

**JK:** Nawoływało się. To jest międzynarodowy sposób promowany we wszystkich górach świata – sześć sygnałów na minutę. Technika jest dowolna, więc może to być dźwięk, światło czy jakikolwiek inny znak. Odpowiedzią jest sygnał, podawany w dowolny sposób, trzy razy na minutę. Inna metoda to przekazywanie informacji przechodzącemu turyście, co nie zawsze jest możliwe. Jeszcze inna możliwość to dotarcie o własnych siłach albo przekazanie informacji do schroniska. Tam od lat 60.–70. funkcjonowała łączność radiowa lub telefoniczna, co umożliwiało powiadomienie pogotowia. I wtedy dopiero ruszał TOPR. Myślę, że wiele osób zginęło w tamtych czasach nie bezpośrednio z powodu odniesionych obrażeń, tylko

dlatego, że nikt nie mógł usłyszeć ich wołania o pomoc. Obecnie w potężnej większości przypadków mamy kontakt z osobą w miejscu zdarzenia. Jest to ważne również z punktu widzenia możliwości przekazania informacji zwrotnej. Możemy informować, co się będzie działo na miejscu, kiedy dotrzemy, czego nie robić, by nie doprowadzić do pogorszenia stanu zdrowia ratowanego. Teraz dużo szybciej docieramy do poszkodowanego. W wielu przypadkach to jest kwestia czasu potrzebnego na rozruch śmigłowca. Maszyna startuje, pilot dokładnie wie, gdzie ma lecieć, i po 20–30 minutach od zgłoszenia wypadku poszkodowany znajduje się w szpitalu.

**KB:** Na Słowacji praktykuje się udział finansowy poszkodowanego w akcji ratunkowej.

**JK:** Faktycznie Słowacy stosują taką praktykę, przy czym system jest dosyć skomplikowany, bowiem stosuje się przelicznik kosztu roboczogodziny ratownika za rok ubiegły. Do tego dochodzą koszty wykorzystania śmigłowca (HZS korzysta w dużej części ze śmigłowca używanego przez prywatną firmę). Każdy, komu zostanie udzielona pomoc techniczna, ponosi więc koszty owej pomocy, przy czym od zasady tej istnieją też rozmaite wyjątki. Generalnie wpływ z pobierania opłat za akcje ratownicze – najczęściej finansowane przez ubezpieczyciela, czasami zaś z własnej kieszeni – stanowią 8 proc. budżetu Górskiej Służby Ratowniczej. Słowacy przekonują, że jest w tym element wychowawczy, natomiast mam co do tego wątpliwości. Wypadki nadal się u nich zdarzają. Przy wprowadzeniu odpłatności celem Słowaków było uzyskiwanie dofinansowania działań na takim samym poziomie jak wpływy dla TOPR z biletów wstępu do Tatrzańskiego Parku Narodowego. Lecz polskie rozwiązanie zapewnia nam aż 15 proc. naszego budżetu. Natomiast Słowacy nie mają biletów wstępu. Trudno im to zorganizować. Mają w swoich granicach obszar 4/5 Tatr, a ruch jest bardzo rozproszony.



Sprawy nie ułatwia również fakt, że mają na swoim terenie dwa parki narodowe, zarządzane przez dwa różne ministerstwa.

**KB: Sprawdziłaby się w polskich warunkach wyłącznie zawodowa służba ratownicza?**

**JK:** Z ponad 110-letnich doświadczeń TOPR i moich osobistych obserwacji tego, jak funkcjonują podobne służby na świecie, wynika, że doszliśmy do optymalnego rozwiązania. Nie znam systemu, w którym funkcjonuje tylko zawodowe ratownictwo górskie. Ratownictwo wszędzie jest wspierane społecznie, bo zmienność potrzeb dotyczących liczby osób niezbędnych do przeprowadzenia akcji jest bardzo duża. Trudno u nas utrzymać 200 zawodowych ratowników. W tej chwili wsparcie ludzi, którzy poświęcają swój własny czas, jest bardzo istotne. Poza tym ochotnicy służący w TOPR to bardzo często specjaliści wyszkoleni na najwyższym poziomie.

**KB: To jest dobry punkt wyjścia do kolejnego pytania. Kto zostaje ratownikiem?**

**JK:** Motywacje pewnie są różne, ale chęć pomagania innym jest przez nas traktowana bardzo poważnie i wiele takich deklaracji przez działających ratowników zostało złożonych. Jeżeli ktoś chce rywalizować sportowo, powinien skupić się na klubie wysokogórskim. My nie jesteśmy klubem sportowym, nie jesteśmy podróżnikami, kaskaderami. Jesteśmy ratownikami. Członkami TOPR są często bardzo młodzi ludzie, zazwyczaj z Zakopanego i Podhala. Kiedy zaczynają na poważnie interesować się górami, to się u nas pojawiają. Mają nieraz różne inne zainteresowania i przynależą do klubów wysokogórskich, speleoklubów, klubów narciarskich. Więc naszych przyszłych ratowników szybko poznajemy w różnych okolicznościach. Oczywiście są też przyjezdni. Teraz przyjęliśmy ratownika ze Słowacji. Kiedyś tam pracował, ale przeprowadził się do Polski i będzie ratował z nami. Prócz młodych są też oczywiście ratownicy nieco starsi, nadal bardzo aktywni, mający 35, 45 czy 50 lat, którzy swoją najważniejszą aktywność mają już za sobą. Wielu z nich po prostu stać na to, aby popracować społecznie. Taka konfiguracja daje dobre efekty – starsi wnoszą swoje doświadczenie, a młodzi zapał, który działa mobilizująco. I tak było od początku, od momentu, kiedy Mariusz Zaruski zakładał pogotowie; podobne proporcje wieku, pochodzenia, miejsca zamieszkania były w jego grupie pierwszych ratowników TOPR. Ludzie, którzy ratują, stanowią układankę różnych dróg życiowych, różnych poglądów, w tym również na politykę. To wszystko nie ma i nie powinno mieć – czego skrupulatnie pilnujemy – żadnego wpływu na to, co robimy razem. Nadrzędnym celem jest wspólne działanie, które jest właśnie kwintesencją ratownictwa górskiego.

**KB: A jaka była pana droga?**

**JK:** Ja jestem z Zakopanego, więc moja droga to wczesne wejście w góry i rozpoczęcie pracy jako ratownik. Miałem 21 lat, kiedy zostałem ratownikiem zawodowym. Całe życie, z bardzo krótką przerwą, jestem związany z pogotowiem.

**KB: W publikacji o TOPR trafiłem na informację, że ratowników jest 300.**

**JK:** W tej chwili prawie 300. Z tego 30 to kandydaci. Trzeba wspomnieć, że owa liczba dotyczy członków stowarzyszenia, nie wszyscy są ratownikami w świetle prawa. Spośród tych 300 mniej więcej 180 posiada uprawnienia ratownika górskiego. W tej grupie jest 43 ratowników zawodowych. I to wystarcza, jeżeli nie ma jakiejś kumulacji. Czasem jednak musimy angażować wszystkich ratowników, którzy są do dyspozycji. Duże działania, połączone z zabezpieczeniem bieżącego ruchu w okresie lipcowo-sierpniowym, są dla nas sporym obciążeniem. Zachorowanie, jakaś kontuzja jednego czy drugiego ratownika zawodowego stwarzają bardzo poważne problemy. Plan pracy musimy tworzyć na kilka miesięcy do przodu, aby być na służbie w odpowiednim składzie. Chcemy, aby ratownicy byli w terenie, w schroniskach. Ale czasami zdarzenia mają zupełnie wyjątkowy charakter. Wystarczy podać przykład akcji ratowniczej w Jaskini Wielkiej Śnieżnej...

**KB: I równoczesnej akcji po tzw. dramacie na Giewoncie, kiedy to w wyniku intensywnej burzy poszkodowanych było ponad 150 osób.**

**JK:** Akcja na Giewoncie z naszej perspektywy nie miała tak obciążającego przebiegu. Mimo że sytuacja była dramatyczna i miała tragiczny finał. Zaś w samej jaskini nie działała duża grupa, ale potężne i wyczerpujące było całe zaplecze działań ratunkowych. Tymczasem mieliśmy szczyt sezonu, więc musiał funkcjonować system dyżurów. Nie bylibyśmy w stanie opanować tamtych zdarzeń bez śmigłowca.

**KB: Jak pan wspomina swoją pracę podczas owych dramatycznych zdarzeń? Zarządzał pan jakimś sztabem?**

**JK:** My funkcjonujemy trochę inaczej, nie mamy zbyt rozbudowanego zarządzania. U nas jest więcej Indian niż wodzów. W przypadku akcji w jaskini na miejscu działał koordynator. Ja też pełniłem tę funkcję przez długi czas. Koordynator i cała zewnętrzna obsługa podejmują wszelkie aktywności, aby wspierać tych, którzy działają pod ziemią i cały czas potrzebują wsparcia decyzyjnego. Na podstawie informacji od nich decydujemy, jakie czynności powinny zostać wykonane. Podczas wspomnianej akcji obciążenie ratowników było niezwykle duże. Dostyc wcześniej wiedzieliśmy, że sytuacja jest skrajnie dramatyczna i że w zasadzie, brutalnie rzecz ujmując, musimy oceniać, jak duże ryzyko powinniśmy podjąć dla stwierdzenia zgonu. Tak to wygląda. Oczywiście ktoś, kto nie ma wiedzy i doświadczenia, może na to patrzeć inaczej. Natomiast gdy już na wczesnym etapie nie udało nam się nawiązać kontaktu z ofiarami, wiedzieliśmy, że sytuacja jest tragiczna. Wiemy też, jakie są metody ratowania osób w hipotermii i co możemy zrobić, a co jest poza naszym zasięgiem. Warto tu jeszcze przypomnieć zdarzenie na Giewoncie i jeszcze kilkadziesiąt wypadków – chyba ponad 100 – które wydarzyły się w tamtym okresie. Dość powie-



© KAMIL BROSZKO

dzie, że zaangażowanie TOPR było wtedy ogromne. Cały czas mieliśmy w odwodzie ratowników, których trochę musieliśmy powstrzymywać, żeby stanowili konieczną rezerwę. Bo zawsze może się zdarzyć kolejna dramatyczna sytuacja, w której trzeba zareagować. Na szczęście w obu wspomnianych wypadkach udało się użyć śmigłowca. Sam transport ludzi i sprzętu pod jaskinię znacząco usprawnił akcję i zmniejszył potrzebę angażowania ludzi do wnoszenia sprzętu. A są oni często w takiej sytuacji niezbędni, aby ci, którzy pracują w jaskini, byli jak najmniej zmęczeni.

W tragedii pod Giewontem zginęły cztery osoby, w tym dwójka dzieci, ale dzięki sprawnej akcji wiele osób udało się uratować, ofiar mogło być sporo więcej. Pomagał nam wtedy śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego, a w bazie były jeszcze trzy śmigłowce LPR (rozwoziły poszkodowanych z Zakopanego do innych szpitali) i policyjny blackhawk. My zawiadywaliśmy akcją w górach, ale bardzo sprawnie zadziałał też system ochrony zdrowia. Wielka mobilizacja nastąpiła również w zakopiańskim szpitalu, gdzie w krótkim czasie z własnej woli stawili się wielu lekarzy, aby pomóc ponad 150 osobom, które jej wymagały, udzielona została jak najszybciej.

**KB:** Ile jest pań ratowniczek w TOPR?

**JK:** Dwie.

**KB:** A zatem powiem tak: stykacie się, panie i panowie, ze śmiercią, z dramatem. To musi pozostawiać jakieś rysy w psychice. Znałe są i dość dobrze zbadane przypadki zespołu stresu pourazowego wśród żołnierzy. A jak to radzenie sobie na poziomie psychiki wygląda w przypadku ratowników? Czy wsparcie jest potrzebne i czy ratownicy je otrzymują?

**JK:** Od dłuższego czasu prowadzimy szkolenia skierowane do ratowników. Realizuje je para psychologów zajmujących się podobną tematyką w policji i innych służbach. Owe szkolenia dotyczą stresu, komunikacji z rodzinami ofiar wypadków. A te, również śmiertelne, zdarzają się przecież także wśród ratowników. Zdarzają się też wypadki dzieci, na szczęście należą do rzadkości. Wciąż jest

tak – nie tylko u nas, ale też w innych środowiskach szczególnie narażonych na stres – że nie każdy, kto potrzebuje pomocy psychologicznej, zgłasza się po nią. Ja sam nieraz proponuję kolegom, którzy zmagają się z problemem, pomoc w nawiązaniu kontaktu ze specjalistą. Rzadko się jednak zdarza, że ktoś się na ową pomoc decyduje. W przypadku naszej służby odbywa się pewna naturalna selekcja – ci, którzy radzą sobie z obciążeniem psychicznym, zostają w TOPR. Zaś ci, którzy sobie nie radzą, znajdują inne zajęcie, nie zawsze spokojniejsze i bezpieczniejsze, ale przynajmniej pozbawione bezpośredniego kontaktu z ofiarami. Bardzo ważne jest, żeby próba radzenia sobie z problemami, ze stresem, nie odbywała się poprzez sięganie po alkohol. Natomiast naturalne wsparcie wewnątrz grupy wynika z faktu, że wszyscy się znamy, stale się widzimy. Widzimy, że dzieje się coś złego, że ktoś wymaga pomocy, bo zmienia się jego zachowanie. Czasem koleżeńsko, a czasem służbowo staramy się w takich przypadkach interweniować. Miejmy nadzieję, że z dobrym efektem. Jak wspomniałem, są między nami relacje zawodowe, towarzyskie, przyjacielskie i rodzinne, więc z pewnością przegadywanie trudnych doświadczeń jest dla nas naturalne. Średnia wieku ratownika zawodowego to 46 lat, zatem ratowane osoby są często w wieku ich własnych dzieci, czasem wnuków. Młodym ratownikom czasami nie udaje się uratować osób, które są ich rówieśnikami. To się nie dzieje codziennie, ponieważ w ciągu roku zdarza się w Tatrach średnio 15 wypadków śmiertelnych. Ale wrażenie z zetknięcia się ze śmiercią zawsze pozostawia głęboki ślad.

**KB:** Po co ludzie chodzą w góry?

**JK:** Mam nadzieję, że głównie dla przyjemności, ale chyba nie zawsze. Czasem jest to jakaś forma życia zastępczego – gdy komuś nie wyszło w obszarze, na którym mu wcześniej zależało, zostaje np. taternikiem. Bardzo różne jest podejście do gór. Niektórzy skupiają się na zaliczaniu, zdobywaniu szczytów. Oczywiście można zrozumieć, że to wynika również z faktu, że się tu nie mieszka. Ci, którzy tu mieszkają, mogą poczekać, nie muszą dzisiaj, mogą jutro. U nas mówi się, że nie idziemy na szczyt, tylko w góry. To jest różnica. Celem może być zdobycie wierzchołka albo sam spacer na ten wierzchołek. Ludzie wychodzą też w góry po prostu dla ruchu, rozwijania kondycji fizycznej. Już Mariusz Zaruski pisał o wojskowym, sportowym podejściu. Chciał wychowywać społeczeństwo – ludzi, którzy będą twardzi, odporni, odpowiedzialni za innych. Jednak niezależnie od celu i preferowanego stylu warto się dobrze przygotować. Część z tych, którzy doświadczyli dramatycznych sytuacji, wraca w góry. Czasem po latach spotykamy się z uratowanymi na szlaku. Zwykle podchodzą do gór mniej ambjonalnie i z większą ostrożnością. Ilu ludzi, tyle celów. W wakacje w górach są tłumy, ale zawsze podkreślam: trzeba się też cieszyć, że ludziom chce się iść. Tutaj trzeba podjąć nieraz wyczerpującą fizycznie wędrówkę. I tłumy maszerują. Zawsze też powtarzam, że gdy idziemy z dziećmi, trzeba iść dla tych dzieci. Ja sam chodzę po górach dla przyjemności, ale też od lat – zawodowo.

# Zostałem grafikiem właśnie dzięki plakatowi

## Zafrapował mnie ten skondensowany sposób komunikacji

- Specyficzne plakatowe myślenie wciąż jest aktualne. Kiedyś wykorzystywano częściej papier, teraz nośnikiem jest Internet. Ważniejszy jest przekaz, a nie jego forma.
- Każda praca ma swoją własną historię, genezę, anegdoty, przygody.  
Nie jest jedynie kartką papieru pokrytą kolorem.
- Lubię intrygować i zaskakiwać. Często bywa, że widz w pierwszej chwili jest wprowadzony w błąd.
- Najlepiej pracuje się dla takich klientów, którzy chcą do mnie wracać i do których ja chcę wracać.

Z **Ryszardem Kajzerem** rozmawia Marzena Tataj.

**Marzena Tataj:** Jaką rolę spełniał plakat w dobie polskiej szkoły plakatu, a jaką spełnia dziś? Kiedyś nakłady plakatów szły w dziesiątki tysięcy sztuk, teraz w setki, może tysiące. Kiedyś plakat był sztuką egalitarną, dziś stał się elitarną. Czy to dobrze, czy źle?

**Ryszard Kajzer:** Plakat spełniał rolę wszystkich mediów: billboardów, telewizji, ruchomych obrazów, które są dziś na ulicach. Rola afiszu się zmieniła. Kiedyś, aby coś opowiedzieć na ulicy, wykorzystywano kawałek papieru, teraz nośnikiem jest nawet przestrzeń w Internecie; ważniejszy jest przekaz, a nie jego forma. Specyficzne plakatowe myślenie pozosta-

ło – może być z powodzeniem wykorzystane nie tylko w druku.

Muszę przyznać, że zostałem grafikiem właśnie dzięki plakatowi, bo zafrapował mnie ten specyficzny, skondensowany sposób komunikacji i przekazu. Tomaszewski, Lenica, Młodożeniec, Majewski, Wasilewski... Sztafeta pokoleń jest widoczna – nas uczyli



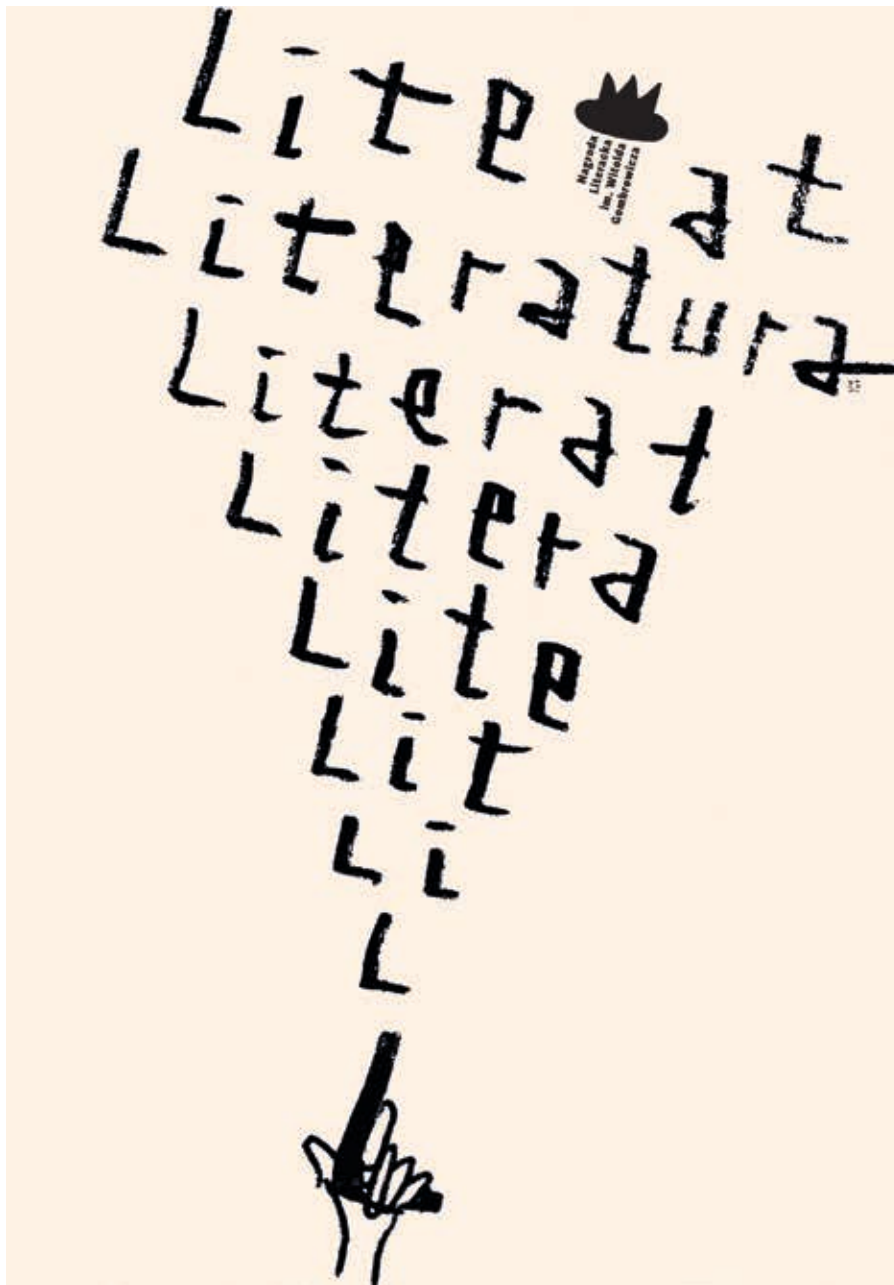
© RYSZARD KAJZER

legendarni albo studenci tych legendarnych, a teraz my próbujemy sprostać podobnemu zadaniu. Mam przyjemność uczyć studentów na tej samej warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, gdzie przedstawiciele polskiej szkoły plakatu sami się uczyli i uczyli innych. Czuję pokorę wobec dziedzictwa, a z drugiej strony – myślę, jak wykorzystać je współcześnie. Mam kontakt z gronem absolwentów – po latach wciąż pozostajemy blisko w sensie zawodowym. Niektórzy nawet dali do zrozumienia, że to ja ich „zaraziłem” grafiką, co jest oczywiście bardzo miłe i nadaje sens dalszym działaniom.

**MT:** W tym roku zdobył pan pierwszą nagrodę na 27. Międzynarodowym Biennale Plakatu w Warszawie za plakat „Literatura. Nagroda Literacka im. Witolda Gombrowicza”.

**RK:** Było to dla mnie wielkie wyróżnienie, bo jest to impreza o międzynarodowej renomie. Międzynarodowe Biennale Plakatu





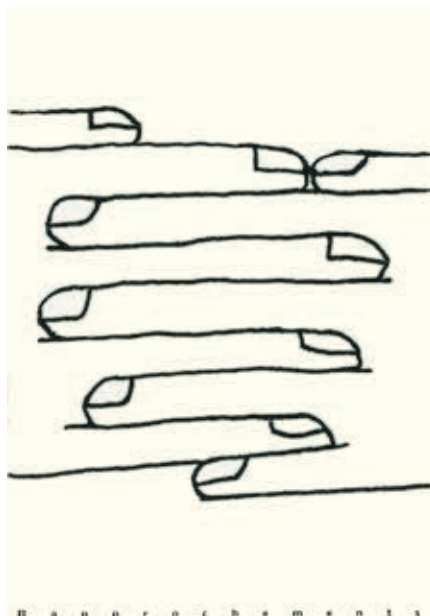
zostało powołane do życia w 1966 r. przez polskich grafików jako pierwsza impreza tego typu poświęcona światowej sztuce plakatu. Co dwa lata w Warszawie spotykają się graficy, by pokazać swoje najświeższe plakaty. Złote Medale zdobywali Andy Warhol, Milton Glaser, Henryk Tomaszewski, Jan Lenica, Roman Cieśliewicz, Jan Młodożeniec, Waldemar Świerzy, Franciszek Starowieyski, Jan Sawka. A w tym roku – ja. Muszę powtórzyć, że to dla mnie miłe zaskoczenie i wyróżnienie. Dostałem i cały czas otrzymuję wiele dobrej energii i gratulacji ze wszystkich kontynentów.

Cieszę się, że uznanie zdobyła właśnie praca „Literatura. Nagroda Literacka im. Witolda Gombrowicza”, bo powstała dzięki zaufaniu, jakim obdarzył mnie kurator Muzeum Witolda Gombrowicza we Wsoli, Tomasz Tyczyński, który gdy tylko zobaczył projekt, uznał, że będzie stałym motywem i plakatem cyklicznego wydarzenia – corocznego przyznania Nagrody Literackiej im. Witolda Gombrowicza.

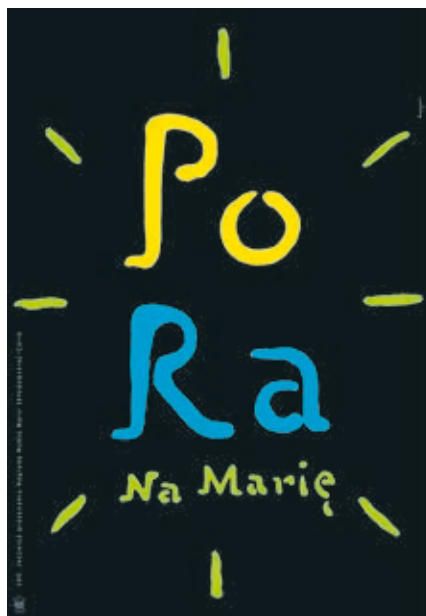
**Plakat „Nagroda Literacka im. Witolda Gombrowicza”, przygotowany dla Muzeum Witolda Gombrowicza we Wsoli. Za tę pracę autor zdobył Złoty Medal – nagrodę główną 27. Międzynarodowego Biennale Plakatu w Warszawie.**

**Ryszard Kajzer** – grafik, autor plakatów, ilustracji, projektów książek i znaków graficznych. Absolwent Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Bydgoszczy. W latach 1994–1999 studiował na Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. W 1997 r. uczął się w Schule für Gestaltung w St. Gallen w Szwajcarii. Po powrocie, w latach 1997–1999, asystował w Pracowni Projektowania Plakatu prof. Mieczyława Wasilewskiego, a od 2000 r. w Pracowni Projektowania Grafiki Wydawniczej i Plakatu prof. Lecha Majewskiego na warszawskiej ASP. W latach 2003–2004 zbierał doświadczenia jako stypendysta Internationales Künstlerhaus Villa Concordia w Bambergu (Niemcy). Od 2006 r. prowadzi zajęcia na ASP w Warszawie, gdzie otrzymał stopień doktora (doktor habilitowany od 2020 r.). Wykłada również w Miami AD School w Warszawie, Wyższej Szkole Informatyki Stosowanej i Zarządzania w Warszawie oraz Polsko-Japońskiej Akademii Technik Komputerowych w Warszawie. Laureat wielu konkursów w kraju i za granicą. Prowadził warsztaty projektowania plakatu na uczelniach w Stuttgarcie, Helsinkach, Budapeszcie, Oradei i Bukareszcie.

Prace Ryszarda Kajzera znajdują się w zbiorach muzeów i galerii Berlina, Budapesztu, Essen, Helzinek, Hongkongu, Lahti, Meksyku, Mons, Paryża, Pekinu, Poznania, Toyamy, Trnavy i Warszawy. Jego wystawy indywidualne odbyły się m.in. w: Internationales Künstlerhaus Villa Concordia w Bambergu, Gallerii Sztuki Współczesnej we Włocławku, Gallerii Sztuki Współczesnej w Olsztynie, Instytucie Polskim w Sofii, Gallerii ZOO w Warszawie, Instytucie Polskim w Budapeszcie, Centrum Kultury i Sztuki w Kaliszu, Gallerii Plakatu BUW w Warszawie, Uniwersytecie Metropolitalnym w Budapeszcie, Pigasus Gallery w Berlinie, Gallerii Plakatu Piotra Dąbrowskiego w Warszawie, UNAgalerii w Bukareszcie, Gallerii MiTO w Warszawie, Okrężnej Artystycznej w Warszawie. Wybrane nagrody: Złoty Medal na Międzynarodowym Biennale Plakatu w Warszawie 2021; nagroda w kategorii plakat kulturalny na II Ogólnopolskim Festiwalu Projektowania Graficznego Ideografia 2018 w Poznaniu; medal upamiętniający stulecie odkrycia polonu i radu za projekt plakatu „Pora na Marię”, przyznany przez Towarzystwo Marii Skłodowskiej-Curie w Hołdzie (Warszawa, 2012 r.); wyróżnienie oraz nagroda publiczności w międzynarodowym konkursie Vidical 2012 na kartę świąteczno-noworoczną (Warszawa); Graphis Poster Annual 2012 Gold Award. Założyciel Zerkaj Studio (Zerkajstudio.pl).



„Rapprochements” („Zbliżenia”),  
plakat dla Galerie Anatome oraz kolei  
francuskiej



„Pora na Marię”, Uniwersytet  
Warszawski



„Plakaty. Ryszard. Kalisz.”, Centrum  
Kultury i Sztuki w Kaliszu

Wystawa biennale, która odbyła się w nowej przestrzeni galerijnej Akademii Sztuk Pięknych w pałacu Czapskich, była bardzo zróżnicowana; pokazywała przekrój najnowszego światowego projektowania graficznego na najwyższym poziomie. Gratulacje należą się wszystkim uczestnikom. Prace i wystawę można obejrzeć na wirtualnej ekspozycji i w katalogu biennale.

**MT:** W jaki sposób powstają pana plakaty?

**RK:** Każda praca ma swoją własną historię, genezę, anegdoty, przygody. Nie jest jedynie kartką papieru pokrytą kolorem. Często większość czasu zajmuje wymyślenie konceptu i formy tego przekazu, a potem przychodzi deadline i projekt powinien być już przesłany do realizacji. Do ostatniej chwili weryfikuję go pod względem formy i treści, tak aby wszystko współgrało.

Lubię intrygować i zaskakiwać. Często bywa, że widz w pierwszej chwili jest wprowadzony w błąd. Dziewięć lat temu do swojej wystawy zrobiłem plakat z dużym napisem „PLAKATY RYSZARD KALISZ”. Dopiero po zbliżeniu się do wydruku odczytać można było, że to jest moja wystawa w Kaliszu, w tamtejszym Centrum Kultury i Sztuki. Odezwy był ogromny. Na ten plakat zwracały uwagę także osoby, które zazwyczaj nie interesują się projektowaniem graficznym. Każdy chciał wiedzieć, czemu Ryszard Kalisz zaczął projektować plakaty.

Czasem wykorzystuję pastisz, jakiś powidok... Na plakacie V przeglądu filmów „Kogo kręci kino historyczne?”, odbywającego się pod hasłem „Widma wolności”, motywem przewodnim stał się robotnik z klasyki socrealizmu – plakatu „Partia” Włodzimierza Zakrzewskiego z 1955 r. Motyw ten znam z dzieciństwa. Widziałem go na dużej, malowanej ręcznie tablicy propagandowej stojącej jeszcze w latach 80. na skrzyżowaniu ulic w Topólcie, gdzie

mieszkała moja babcia. By jeszcze bardziej wtopić się w kontekst festiwalu, zawiesiłem robotnikowi na szyi symbol dolara „\$”.

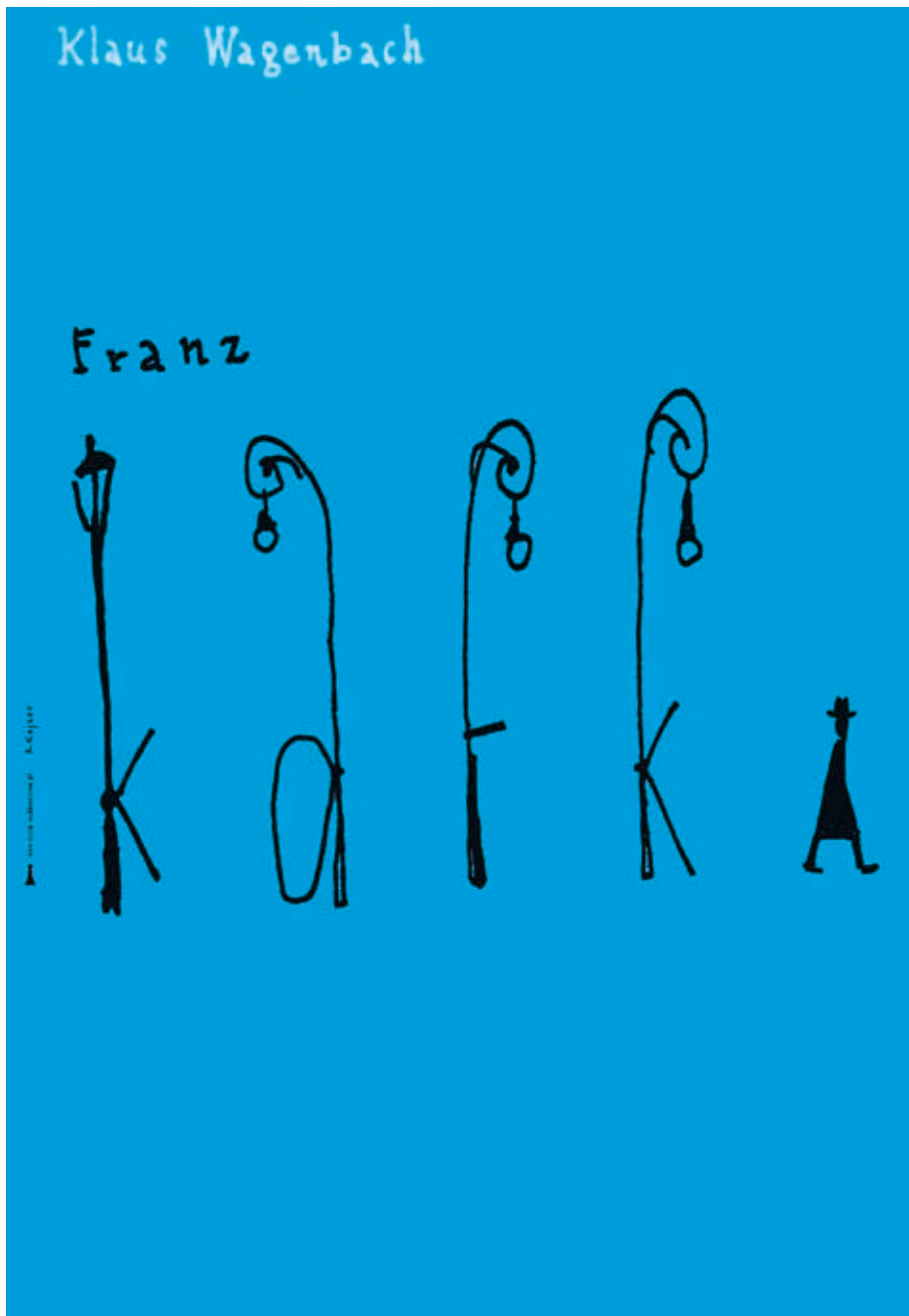
Inspiracją może być Franz Kafka wędrujący po Pradze, pociągi TGV z Paryża lub zamyślony Thelonious Monk wpatrzonej w Nicę Rothschild. Czasem inspiracją staje się niestety profanowany znak Polski Walczącej czy dzieci z Michałowa...

**MT:** Prowadzi pan studio graficzne, w którym realizuje zlecenia z szeroko pojętej identyfikacji wizualnej, ilustracji książkowej czy plakatu. Czy ma pan czas, aby jeszcze stworzyć z nakazu duszy?

**RK:** Moja praca jest moją przyjemnością. Cały czas odbieram wszelkie przekazy, przetwarzam wrażenia, czasem podświadomie, i nawet nie wiadomo, kiedy wykorzystuję je potem w pracy twórczej. Od zawsze planowałem w swojej pracowni miejsce, gdzie mógłbym np. porzeźbić, ale nigdy nie znalazłem na to czasu. Realizuję się w pracy projektowej. Wróciłem nawet do malowania, ale nawet w malarstwie myślę o skrócie, zatem to jest jedynie zmiana techniki mojej wypowiedzi. Pomysł na plakaty powstają w głowie, potem są rysowane, malowane lub wycinane, następnie reprodukowane i opracowywane w komputerze, a wreszcie przygotowane do druku. Wszystko odbywa się w mojej pracowni.

Niektóre hasła z plakatów weszły na trwałe do świadomości społecznej, jak na przykład plakat zamówiony przez Uniwersytet Warszawski. Przy zastosowaniu odpowiedniej interpunkcji powstają kalambury lub słowa nabierają innego znaczenia. W hasle promującym Rok Marii Skłodowskiej-Curie zestawiałem pierwiastki odkryte przez uczoną. W ten sposób z polonu i radu powstała „PoRa Na Marię”. Nawiasem mówiąc, do zdania wkradł się jeszcze sól (Na). I taki właśnie kalambur promował setną rocznicę przyznania Polce





„Franz Kafka”, Wydawnictwo Nisza

Nagrody Nobla, a Uniwersytet zastrzegł domenę z hasłem plakatu i wszelkie treści w mediach społecznościowych były opatrzone hasztagiem #PoRaNaMarie. Język polski jest doskonały do takich zabaw słownych, a ja lubię się bawić tym, co robię.

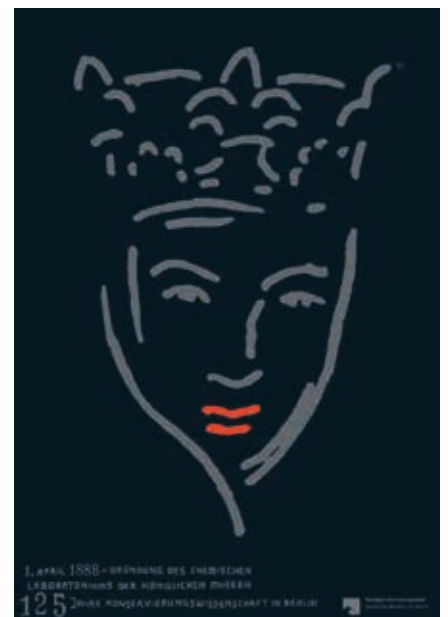
**MT:** Czy tworząc, myśli pan o odbiorcy, czytelniku, przechodniu, który zauważy plakat?

**RK:** Rozmawiamy o grafice użytkowej, która powstaje na zlecenie. Tak więc moim bezpośrednim odbiorcą jest konkretny zamawiający, który z pewnością myśli o szerszym odbiorze.

Ważne jest, czy to, co robię, jest czytelne nie tylko dla mnie, ale dla osoby, którą chcę zatrzymać przy plakacie i sprowokować do



„Happiness”, Biennale Plakatu w Boliwii



„125. rocznica założenia Laboratorium Chemicznego przy Królewskich Muzeach w Berlinie”

refleksji czy wysiłku intelektualnego. Tak by *clou* plakatu sprawiło, że widz wróci. Tak, pracując, zawsze myślę o odbiorcy – nie tworzymy tylko do szuflady czy galerii.

Kontakt z klientem jest niezwykle istotny, lubię nawiązać nie porozumienia. Najlepiej pracuje się dla takich klientów, którzy chcą do mnie wracać i do których ja chcę wracać. Współpraca z osobami, które stawiają wyzwania i mają zaufanie, jest najbardziej pożądana, bo mogę się rozwijać, realizując zlecenia, a zarazem urzeczywistniać swoje pomysły. Mam takich klientów, którzy są ze mną od kilkunastu lat, bo wiedzą, czego się mogą po mnie spodziewać, choć staram się nigdy nie powtarzać. Wiedzą, w jakiej przestrzeni będziemy działać.

# Innowacjami zdobywamy

- Wszystkie nowe linie wzornicze, nowe produkty wprowadzamy najpierw na rynku polskim, tutaj robimy najważniejsze i największe premiery nowych modeli.
- Polskie firmy oczekują wsparcia państwa i pewnego rodzaju lobbingu w sytuacji zmagania się z nieuczciwą konkurencją na rynkach zagranicznych.
- Dzisiaj na rzecz rozwoju produktów FAKRO pracuje ponad 100 konstruktorów, autorów ponad 180 zgłoszeń patentowych.
- Obecnie nadal bazujemy na fabrykach w Polsce, z których produkty trafiają na cały świat, oraz na Ukrainie, gdzie produkowane są okna na rynek wschodni.
- Udało nam się przetrwać „burzę” i dalej rozwijać, między innymi dzięki mobilizacji pracowników. Wierzę, że będzie tylko lepiej i z kryzysu wyjdziemy jeszcze silniejsi.

Z **Januszem Komurkiewiczem** rozmawia Marzena Tataj.



Na zdjęciu: Janusz Komurkiewicz odbiera tytuł Promotora Polski, przyznawany przez Fundację Polskiego Godła Promocyjnego. Wydarzenie odbyło się w październiku 2021 r. w pałacu Wielopolskich – Urzędzie Miasta Krakowa.

**Janusz Komurkiewicz** – od 1994 r. zatrudniony w firmie FAKRO. Należy do ścisłego zespołu jej twórców. Zaczynał jako kierownik Działu Promocji i Reklamy, a w 2008 r. został dyrektorem marketingu. Obecnie jest członkiem Zarządu FAKRO Sp. z o.o. Od 2008 r. pełni także funkcję prezesa Zarządu Związku Polskie Okna i Drzwi – organizacji zrzeszającej producentów, dostawców i dystrybutorów stolarki budowlanej.



# klientów od 30 lat

**Marzena Tataj:** FAKRO rozpoczęło swoją działalność w 1991 r. Co sprawiło, że dzisiaj firma ma dominującą pozycję na polskim rynku i jest marką globalną?

**Janusz Komurkiewicz:** Ojcem sukcesu marki FAKRO jest z pewnością prezes Ryszard Florek, charyzmatyczny lider, który nie boi się podejmować ryzyka. Zgromadził wokół siebie wyjątkowy zespół entuzjastów, którzy nowatorskimi pomysłami i zaangażowaniem zawojowali świat. Przez pierwsze lata funkcjonowania firmy rozwijaliśmy produkt i naszą działalność na rynku rodzimym. W latach 90. okna dachowe w Polsce nie były powszechnie znane. Na początku skupiliśmy się więc na edukacji i promowaniu idei komfortowego życia na poddaszu dzięki wykorzystaniu okien dachowych. Od razu postawiliśmy też na wysoką jakość produktu, innowacyjność i jak najbliższy kontakt z klientem na targach i w składach budowlanych. Rynek krajowy był duży i chłonny, więc gwarantował rozwój. Trzeba przyznać, że pomogło nam też posługiwanie się w promocji Godłem „Teraz Polska”, które gwarantowało uwiarygodnienie w oczach polskich konsumentów. W 1996 r. nasz główny konkurent, duński koncern, rozpoczął politykę dumpingową na polskim rynku, powodując spadek naszych zysków ze sprzedaży. Ta sytuacja spowodowała, że zaczęliśmy szukać nowych rynków zbytu – na początku na Węgrzech, w Czechach i na Słowacji, w krajach Beneluksu. Inwestowaliśmy spokojnie i bezpiecznie, bez zaciągania kredytów, wciąż opierając się na polskim rynku, na którym wprowadzaliśmy nowe produkty, doskonaliliśmy je i dopiero tak przetestowane – kierowaliśmy na eksport. Następnie zbudowaliśmy zakłady produkcyjne na Ukrainie, aby stamtąd móc eksportować produkty do Rosji (polskie towary były objęte embargiem). Wszystko to spowodowało, że dziś jesteśmy wiceliderem światowego rynku okien dachowych. Inwestujemy coraz dalej i coraz śmielej. Jesteśmy obecni w 50 krajach na całym świecie, łącznie z USA, ale nadal polski rynek jest dla nas najważniejszy. Wszystkie nowe linie wzornicze, nowe produkty wprowadzamy najpierw na rynku polskim, tutaj robimy najważniejsze i największe premiery nowych modeli. Eksport to ważna decyzja wyjścia poza rynek polski, która daje możliwość uzyskania efektu skali.

**MT:** Według danych ankietowych 90 proc. polskich eksporterów nigdy nie korzystało z kredytu.

**JK:** Tak, to jest polska specyfika. Wolimy inwestować bezpiecznie z własnych środków, nie podejmując dużego ryzyka zwią-

zanego z korzystaniem ze środków kredytowych. Za to chętnie korzystamy ze wsparcia państwowych programów finansowania promocji za granicą i wystawiania się na międzynarodowych targach. Natomiast polskie firmy oczekują wsparcia państwa i pewnego rodzaju lobbingu w sytuacji zmagania się z nieuczciwą konkurencją na rynkach zagranicznych. Międzynarodowe koncerny bronią swojego interesu, dominującej pozycji na swoich rynkach i w takich sytuacjach państwo mogłoby nas wesprzeć w zakresie egzekwowania prawa.

**MT:** FAKRO posługuje się Godłem „Teraz Polska” od 25 lat.

**JK:** Godło zdobyliśmy w 1996 r. i od tamtej pory korzystamy z jego mocy. Na początku pokazywaliśmy Polakom, że okno ze znakiem „Teraz Polska” jest produktem wysokiej jakości, wartym zakupu i godnym polecenia. Później ten znak pomagał nam

w ekspansji międzynarodowej, bo zawsze podkreślaliśmy, że mamy polskie korzenie. Polskie znaczy dobre, również na świecie.

Wolimy inwestować  
bezpiecznie  
z własnych środków,  
nie podejmując dużego  
ryzyka związanego  
z korzystaniem  
z kredytów.

**MT:** Kim są klienci FAKRO?

**JK:** Kluczowymi odbiorcami w przypadku branży stolarki budowlanej są architekci, dekarze, dystrybutorzy oraz klienci indywidualni. Dlatego tak ważne są szkolenia, które firma organizuje od lat dla naszych partnerów, zarówno w terenie, jak i w centrali. Tym bardziej że nasze produkty charakteryzuje wysoka innowacyjność. FAKRO już w 1993 r. – jako jedna z pierwszych firm z branży budowlanej w Polsce – utworzyło Dział Badań i Rozwoju. Dzisiaj na rzecz rozwoju produktów FAKRO pracuje ponad 100 konstruktorów, autorów ponad 180 zgłoszeń patentowych. Jednak przełomowym momentem był rok 2004, kiedy wprowadziliśmy wyjątkowy produkt – okno uchylno-obrotowe preSelect o rozdzielonych funkcjach otwierania, gwarantujących stabilność i bezpieczeństwo użytkowania. Do dziś jest to najbardziej innowacyjne uchylno-obrotowe okno dachowe na rynku.

**MT:** Czego dzisiaj poszukują klienci? Jak zmieniła się przez lata rynek i sam produkt?

**JK:** Od momentu powstania naszej firmy bardzo zmieniły się potrzeby i oczekiwania klientów oraz styl życia. Dzisiaj modne są duże przeszklenia – trzeba zatem połączyć nowoczesny design gwarantujący dużą ilość dziennego światła z bezpieczeństwem i łatwością obsługi. Nowoczesna architektura wy-

maga też łączenia wielu elementów stolarki w jeden spójny kolorystycznie i technologicznie system. Poza tym pojawiła się potrzeba termomodernizacji budynków wykonanych w starych technologiach. To konieczne ze względów ekonomicznych, a także w celu zmniejszenia emisji dwutlenku węgla do atmosfery. W Polsce ponad 50 proc. budynków wybudowano przed 1988 r. i większość z nich wymaga już remontu. Dla tego segmentu posiadamy systemowe rozwiązania pozwalające wymienić stare okna na nowe. Nasze produkty ewoluowały wraz ze zmieniającymi się potrzebami klientów. Przykładem jest seria okien do dachów płaskich, które oprócz doświetlenia spełniają też dodatkowe funkcje. Można np. po nich chodzić, gdy zamontowane są w płaskim dachu służącym jako taras, lub mogą umożliwiać wyjście na dach. Mogą też służyć jako przeszklenie w „zielonym dachu”.

W 2021 r. koncentrujemy się na idei *smart home*. To koncepcja inteligentnego domu, w którym wszystkie elementy stolarki budowlanej, czyli okna pionowe, dachowe, drzwi zewnętrzne i brama garażowa, obsługiwane są w sposób zdalny, tworząc komfortowy dom. FAKRO smartHome działa w oparciu o technologię wi-fi lub z-wave – kompletny, bezprzewodowy system komunikacji radiowej, zasilany z akumulatorów ładowanych na bieżąco z paneli fotowoltaicznych.

**MT:** Przed jakimi wyzwaniami stoi dzisiaj FAKRO?

**JK:** Wyzwaniem dla nas wszystkich jest z pewnością pandemia, wraz z którą skończył się okres stabilnego i bezpiecznego wzrostu w branży stolarki budowlanej. Pandemia to trudny czas, wciąż nie wiemy, jakie będą jej konsekwencje i co się wydarzy. Wraz z jej nastaniem nagle spadły u nas zamówienia – zagraniczne w sumie o 40 proc., a z niektórych krajów praktycznie do zera. Ale szybko okazało się, że można mieć plan B, polegający na zmianie łańcucha dostaw. Ważna jest dywersyfikacja dostaw, która pozwala na utrzymanie ciągłości produkcji, mimo wielkiego popytu na rynku chińskim czy amerykańskim, który skutkuje trudnościami z dostępem do szkła i drewna, a co za tym idzie – rosnącymi cenami. Jeszcze przed pandemią sprzedaliśmy fabrykę w Chinach, bo koszty pracy tak szybko rosły, że prowadzenie tego biznesu stało się nieuzasadnione. Obecnie nadal bazujemy na fabrykach w Polsce, z których produkty trafiają na cały świat, oraz na Ukrainie, gdzie produkowane są okna na rynek wschodni.

Pandemia wywołała dużo znaków zapytania, ale dała nam też nowe szanse. Ludzie przestali podróżować, zajęli się remontem własnych domów i mieszkań oraz inwestowaniem w budownictwo mieszkaniowe. I znów okazało się, że rynek krajowy zaspokoił nasze możliwości produkcyjne, i to w momencie, kiedy nastąpił przejściowy spadek zamówień eksportowych.

FAKRO ma stabilną pozycję na rynku światowym, udało nam się przetrwać tę burzę i dalej rozwijać, między innymi dzięki mobilizacji pracowników. Wierzę, że będzie tylko lepiej i z kryzysu wyjdziemy jeszcze silniejsi. Wyzwaniem dla FAKRO i całej branży są w tym roku także nowe przepisy o efektywności energetycznej dla nowo powstających budynków, które obowiązują od początku roku. W efekcie łączne zużycie energii nowych budynków ma być o 20 proc. niższe niż teraz. To oznacza bardziej restrykcyjne wymagania dla ścian, dachów i okien. Jesteśmy przygotowani do zmian.

Sponsorowanie sportu  
sprzyja kojarzeniu  
marki FAKRO z wolą  
zwycięstwa, uczciwą  
rywalizacją, dynamiką  
i zdrowiem.

**MT:** Polskie okna i drzwi stały się marką eksportową. Czy integracja branży pomogła osiągnąć sukces?

**JK:** FAKRO jako lider branży stolarki budowlanej w Polsce wziął na siebie odpowiedzialność za integrację branży. Wspierany przez nas Związek Polskie Okna i Drzwi zrzesza najbardziej aktywnych, największych polskich producentów. Wspólnie wypracowujemy plan promocji naszych produktów w Polsce i za granicą. Ale też wspólnie tworzymy

programy edukacyjne, szkoleniowe oraz promujące rzetelnych wykonawców. Działamy zjednoczeni i dlatego okna i drzwi stały się polską specjalnością eksportową. Zdobywamy świat dzięki innowacyjności produktów i elastyczności polskich producentów, którzy potrafią dopasować się do potrzeb klientów. Od 2015 r. jesteśmy największym eksporterem w Unii Europejskiej. Na świecie jesteśmy drugim eksporterem – wyprzedzają nas tylko Chiny.

**MT:** Logo FAKRO możemy dostrzec nie tylko na oknach, ale także... podczas meczów piłki nożnej.

**JK:** Od początku działalności wspieramy także sportowców i wydarzenia sportowe. Sponsorowanie sportu sprzyja kojarzeniu marki FAKRO z wolą zwycięstwa, uczciwą rywalizacją, dynamiką i zdrowiem. Wybieramy przy tym prestiżowe projekty rangi międzynarodowej, które są adekwatne do naszych ogólnoswiatowych działań eksportowych. Jednym z przykładów jest sponsoring polskiej reprezentacji w piłce nożnej, który FAKRO realizuje nieprzerwanie od 2004 r.



# OKNA Z NATURY PERFEKCYJNE



## EKSKLUZYWNE OKNA FAKRO INNOVIEW

– IDEALNE POŁĄCZENIE DREWNIANEJ RAMY Z ALUMINIOWĄ OKŁADZINĄ

Drewno to naturalny surowiec, który wprowadza do wnętrza miły i przytulny klimat. W oknach fasadowych FAKRO INNOVIEW drewno chronione jest przez nakładkę z aluminium jak najcenniejszy skarb, przez co okna odporne są na czynniki zewnętrzne zachowując długoletnią trwałość. Okna wykonane z drewna to stabilność konstrukcji nawet w dużych rozmiarach, co daje możliwość tworzenia wnętrz otwartych na otaczający świat.

Rekomenduje:  
Architekt Robert Konieczny, KWK Promes  
– autor najlepszego domu świata wg magazynu Wallpaper

 **FAKRO®**

 **INNOVIEW**



Debata „Teraz Polska” podczas Kongresu 590. Od lewej: Jarosław Górski, Piotr Dardziński, Dorota Chwieduk, Grzegorz Brona, Grzegorz Wiśniewski.

# Innowacyjność, przemysł i racjonalna transformacja kluczowych sektorów, **czyli o nowych szansach dla Polski**

Czy krajowe inwestycje strategiczne w energetykę mogą się przyczynić do dynamizacji rozwoju gospodarczego Polski? Na jakim poziomie innowacyjności znajduje się Polska i co robić, by stale zwiększać dynamikę sfery innowacyjnej? Czy przemysł kosmiczny może być impulsem rozwojowym dla gospodarki? Na te i wiele innych pytań odpowiedzieli uczestnicy spotkania „Znaczenie nowych technologii i innowacji w rozwoju Polski”, zorganizowanego przez Fundację Polskiego Godła Promocyjnego (w ramach cyklu Debata „Teraz Polska”) podczas 6. edycji Kongresu 590.



**N**ajwiększa polska firma – PKN Orlen realizuje fuzję z Grupą Lotos i PGNiG, aby powstał silny koncern dający gwarancję przeprowadzenia w Polsce transformacji sektora energetycznego. W tym celu już w kwietniu 2020 r. Orlen przejął Enerę, która uzupełniła portfolio grupy o odnawialne źródła energii. PKN Orlen zwiększa także nakłady na badania i rozwój, które w Polsce nadal stanowią zaledwie 60 proc. średniej europejskiej. Płockie Centrum Badawczo-Rozwojowe stworzono właśnie z myślą o efektywniejszym opracowywaniu technologii i produktów, budowaniu własnego know-how i uzyskiwaniu patentów dla nowatorskich rozwiązań.

Tak oto powstaje nowoczesna platforma współpracy między spółką a start-upami, wynalazcami, instytutami czy uczelniami, która stanowić będzie dla młodych inżynierów i naukowców solidną bazę do rozwoju projektów, innowacyjną na skalę europejską. Sieć współpracy PKN Orlen obejmuje wszystkie uczelnie techniczne w Polsce działające w obszarze zainteresowań koncernu, m.in. Politechnikę Warszawską z filią w Płocku, Politechnikę Gdańską, Uniwersytet Warszawski oraz instytuty Sieci Badawczej Łukasiewicz.

## Przemysł z nauką i inni interesariusze

Sieć współpracy PKN Orlen i Sieć Badawcza Łukasiewicz to przykłady realizacji postulatu, zgodnie z którym jedynie porozumienie i współpraca pozwalają sięgać po zasoby intelektualne polskiej nauki i biznesu, aby tworzyć rozwiązania prawdziwie innowacyjne. W literaturze podobne koncepcje nazywa się poczwórną helisą innowacyjności – w modelu działania uwzględnia się tu społeczeństwo i odbiorców jako podmiot wszelkich działań biznesu, nauki i sektora publicznego. Model współpracy zorientowany na użytkownika wymaga trwałego doskonalenia procesu zarządzania rozwojem regionalnym, również rozwojem opartym na strategiach inteligentnych specjalizacji. Strategie te powinny uwzględniać innowacje nie tylko technologiczne, ale także dotyczące spraw społecznych, sektora publicznego i usługowego w regionie. Zapewnia to lepsze wykorzystanie zasobów finansowych i celowe wydatkowanie środków na rzecz przedsięwzięć ukierunkowanych na wybrane regionalne specjalności.

Współpraca nauki, przemysłu i sektora publicznego nie byłaby oczywiście możliwa bez sprawnej instytucji łączącej zorientowane na cel podejście naukowe z wydajnością administracyjną, pozwalającą na obsługiwanie różnorodnych interesariuszy i godzenie ich celów.

*– Rozwój Polski poprzez współpracę między administracją, nauką i biznesem, na korzyść wszystkich Polaków, jest dla Łukasiewicza kluczowym zadaniem. To klasyczny model poczwórnej helisy. Odnosimy sukces, gdyż nasza współpraca jest dobrze zaprojektowana na czterech poziomach – mówi Piotr Dardziński, prezes Sieci Badawczej Łukasiewicz.*

Dzięki wprowadzonym preferencjom podatkowo-finansowym dla projektów badawczo-rozwojowych polscy przedsiębiorcy

mogli zwiększyć nakłady na prace rozwojowe. Trend się zmienił i obecnie firmy prywatne wydają na nie więcej niż sektor publiczny, a ponieważ nie mają własnych ośrodków B+R, szukają współpracy z naukowcami. Kluczem do sukcesu jest umiejętność porozumienia się z naukowcami mimo hermetyczności języka, jakim posługuje się nauka.

*– Dlatego wprowadziliśmy w Łukasiewiczu system wyzwań – wyjaśnia Dardziński. – Każdy przedsiębiorca może się do nas zgłosić i zdefiniować potrzebę, a my musimy znaleźć naukowców, którzy w ciągu 15 dni (nigdy nie przekroczyliśmy terminu) zaproponują zespół projektowy z właściwymi kompetencjami i wymaganą infrastrukturą. Zespół ten określa harmonogram i potencjalne koszty. Mamy na swoim koncie 600 wyzwań, co oznacza, że w ostatnich dwóch latach zgłoszono nam 600 problemów do rozwiązania. Już 300 firm skorzystało z naszego systemu, z czego 200 w bieżącym roku. W pierwszym kwartale 2021 r. mieliśmy tyle wyzwań, ile przez cały rok ubiegły – zauważa.*

Łukasiewicz jako instytut badawczy nie jest obciążony dydaktyką, dzięki czemu koncentruje swoją uwagę na realizacji projektów z biznesem i wspólnym zarabianiu pieniędzy. *– Trzeba mieć świadomość, że mały i średni przedsiębiorca, który nie ma doświadczenia w realizacji projektów B+R, będzie bardzo ostrożny i sceptyczny. Przekonać go powinna strona naukowa. Osiągnęliśmy dotąd 1,3 mld zł przychodu, z czego niecałe 20 proc. to subwencja, a pozostała reszta została wypracowana wspólnie z przedsiębiorcami – podkreśla Dardziński.*

## Czy kosmos wpływa na rozwój Polski?

Creotech Instruments SA, spółka z sektora technologiczno-kosmicznego, współpracuje z Siecią Badawczą Łukasiewicz przy realizacji trzech projektów i jest to bardzo dobra kooperacja. *– Każda ze stron definiuje cele i potrzeby. Zazwyczaj największym problemem we współpracy nauki i przemysłu jest właściwa komunikacja. W dyskusjach pomaga nam leksykon, który określa poziomy gotowości technologicznej. Na początku obie strony traktowały go jako zło konieczne, ale teraz odwołujemy się do niego i dzięki temu wiemy, co dostaniemy. Naukowców oczywiście interesuje rozwój nauki, a przemysł jest zainteresowany zyskiem z produktów wdrożonych do produkcji – mówi Grzegorz Brona, prezes Creotech Instruments SA.*

Rzeczywiste innowacje to integracja biznesu, przemysłu, nauki i otoczenia społecznego. *– Coraz częściej w pracach badawczych o charakterze technicznym pojawiają się aspekty społeczne. Na skutek impulsu pochodzącego od społeczeństwa w Wielkiej Brytanii prowadzi się dziś szeroko zakrojone prace nad wykorzystaniem ciepła odpadowego, powstającego przykładowo w metrze. Współczesna nauka musi być otwarta nie tylko na przemysł i biznes, ale także na społeczne oczekiwania. Powstaje wiele niszowych technologii, ale rozwijają się wyłącznie te, które zostaną zaakceptowane przez społeczeństwo, czyli konsumentów. Badania*

pokazały, że już 20 lat temu społeczeństwo polskie interesowało się technologiami z zakresu energetyki słonecznej i kolektorów słonecznych. W końcu przełożyło się to na większe zainteresowanie przemysłu – mówi prof. Dorota Chwieduk z Instytutu Techniki Ciepłej Politechniki Warszawskiej.

– Wczoraj rozmawialiśmy z jednym z większych producentów baterii. Spostrzegł on sygnalizowany oddolnie problem dotyczący magazynowania energii z własnych instalacji energetycznych (np. fotowoltaicznych) przez prosumentów, którzy chcieliby mieć własne, przydomowe magazyny energii. Jest to dobry przykład odpowiedzi na zdefiniowane potrzeby indywidualnych odbiorców – komentuje Dardziński.

Prof. Chwieduk potwierdza, że temat magazynowania energii jest kluczowy dla energetyki odnawialnej. Strona naukowa wiedziała to od zawsze, jednak dopiero rzeczywiste zainteresowanie odbiorcy końcowego może dać impuls do realizacji poważnych inwestycji.

– Dobrym przykładem upowszechniania zdobyczy nauki i technologii przez społeczeństwo jest sektor kosmiczny. Raport Polskiej Agencji Kosmicznej podaje, że w sektorze kosmicznym w Polsce działa i osiąga dobre rezultaty około 330 podmiotów prywatnych, małych i średnich przedsiębiorstw. Co prawda sektor dopiero raczkuje i pewnie nigdy nie stanie się kołem zamachowym gospodarki, ale może być stożkiem wzrostu, który promieniuje na inne dziedziny i przynosi impulsy rozwojowe – zauważa dr Jarosław Górski, adiunkt na Wydziale Nauk Ekonomicznych UW.

Amerykańscy naukowcy dowiedli, że każdy z nas przynajmniej 80 razy dziennie korzysta z rozwiązań, które dał nam sektor kosmiczny. – Są to choćby dane satelitarne, mapy, nawigacja, telekomunikacja. Wszystkie umiejętności wypracowane w sektorze kosmicznym mogą znaleźć odbicie w różnych sektorach, związanych z elektromobilnością czy systemami sztucznej inteligencji. Światowy sektor kosmiczny wystartował ponad 60 lat temu, więc go nie dogonimy, ale musimy szukać własnej niszy. Z pewnością są nią małe rakiety, nad którymi pracuje Instytut Lotnictwa, systemy napędowe bazujące na ekologicznych paliwach lub małe satelity. Możemy mieć także osiągnięcia w dziedzinie drobnych mechanizmów związanych z robotyką kosmiczną, które opracowuje Przemysłowy Instytut Automatyki i Pomiarów. Nasze nisze wysokospecjalistyczne nie od razu zapewnią nam strumienie finansowe z zagranicy, ale już widać, że to dobry kierunek – stwierdza Brona.

## Gdzie jeszcze szukać potencjału wzrostu innowacyjności w energetyce?

Jarosław Górski zauważa, że według raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego, przygotowanego przez grono niemal 30 ekspertów, Polska potrzebuje 30 lat, żeby znacząco zwiększyć udział OZE w wytwarzaniu energii, a około 10 lat – żeby osiągnąć 10-proc. udział aut elektrycznych w ogólnej liczbie aut. Przed nami jeszcze trzy dekady, zanim wybudujemy elektrownię jądrową. A opóźnienie w energetyce odnawialnej jest jeszcze większe. Zgodnie z raportem w bilansie energetycznym kraju mamy zaledwie 15 proc. zielonej energii elektrycznej (Niemcy – 40 proc., Dania – 65 proc.).

– Innowacyjność potrzebuje stabilnych przepisów i długoterminowej strategii. Innowacje są tam, gdzie się produkuje urządzenia i komponenty. Potrzebna jest jasna strategia, nastawiona na rozwój przemysłu. Nie powinniśmy wspierać fotowoltaiki, jeśli ogniwa fotowoltaiczne w 100 proc. importujemy z Chin, bo wtedy wypływa z kraju wartość dodana i maleje liczba miejsc pracy. Strategia rozwoju gospodarczego kraju powinna być spójna – mówi Grzegorz Wiśniewski, prezes Instytutu Energetyki Odnawialnej.

– Trudniej jest poprawić sprawność turbiny wielkiej mocy o 1 proc., niż realizować projekty z energetyki odnawialnej, bo to jest energetyka małej skali. Na energetykę trzeba patrzeć w sposób holistyczny. Wytwarzając dany produkt, powinniśmy analizować, ile energii wymaga jego wytworzenie, bo to kosztuje zarówno producenta, jak i środowisko. Ponadto innowacyjna powinna być nie tylko sama technologia, ale też cały proces: od źródła pochodzenia materiałów i sposobu ich przetwarzania aż po produkt końcowy i recykling. Rzeczywistą wartością jest uzyskanie technologii taniej i jak najmniej uciążliwej dla środowiska – twierdzi prof. Chwieduk.

– Naszą szansą jest kultura innowacyjności, która została już w Polsce wypracowana. Powstaje wiele start-upów, których młodzi twórcy przełamują kolejne bariery technologiczne, co widać w branży kosmicznej, a także w branży IT – zauważa Brona. – Młodzi są czuli na zmiany, a zatem program i metody nauczania muszą szybko dostosowywać się do innowacji i nowych technologii. Wielu studentów kierunków inżynierskich równolegle studiuje w Szkole Głównej Handlowej, aby mieć dobre podłoże biznesowe. A wyzwaniem dla kraju jest szybkie znalezienie odpowiedzi na pytanie, jak zatrzymać najzdolniejszych – konkluduje.

Debata „Znaczenie nowych technologii i innowacji w rozwoju Polski” odbyła się 5 października 2021 r. podczas 6. edycji Kongresu 590, której hasło brzmiało „Nowe możliwości”. Spotkanie zorganizowała Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego w ramach cyklu Debata „Teraz Polska”. Dyskusję prowadził dr Jarosław Górski, adiunkt na Wydziale Nauk Ekonomicznych UW i doradca prezesa Fundacji „Teraz Polska”, a rozmawiali: prof. Dorota Chwieduk z Instytutu Technologii Ciepłej PW; dr hab. Grzegorz Brona, prezes Creotech Instruments SA; dr Piotr Dardziński, prezes Sieci Badawczej Łukasiewicz; oraz Grzegorz Wiśniewski, prezes Instytutu Energetyki Odnawialnej.



Debata  
„Perspektywy  
rozwoju przemysłu  
zaawansowanych  
technologii  
w Polsce”

## Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska” partnerem 6. edycji Kongresu 590

© KAMIL BROSZKO

**S**zоста edycja Kongresu 590, odbywająca się pod hasłem „Nowe możliwości”, pod Honorowym Patronatem Prezydenta RP, została zorganizowana w dwóch odsłonach. Pierwsza odbyła się w październiku 2021 r. w Warszawie i skupiała się na debatach eksperckich dotyczących nowych możliwości polskiej gospodarki. Wzięło w niej udział 240 prelegentów, którzy uczestniczyli w ponad 60 panelach. W drugiej odsłonie na początku listopada br. centrum polskiej gospodarki przeniosło się do Rzeszowa, gdzie prezydent Andrzej Duda uhonorował laureatów Nagrody Gospodarczej Prezydenta RP, powołano Klaster Technologii Kosmicznych, a Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego nagrodziła Promotorów Polski z regionu Podkarpacia. Tytuł Ambasadora Kongresu 590 otrzymał m.in. prezes naszej fundacji Krzysztof Przybył – w dowód uznania dla działań na rzecz promowania polskiej przedsiębiorczości.

Wśród laureatów Nagrody Gospodarczej Prezydenta RP znalazł się wyróżniony Godłem „Teraz Polska” koncern PKN Orlen, który tym razem otrzymał nagrodę w kategorii odpowiedzialny biznes. W kategorii narodowy sukces nominację uzyskała firma BetaMed SA, która również jest laureatem Konkursu „Teraz Polska”.

5 listopada został powołany Klaster Technologii Kosmicznych, zrzeszający podmioty odpowiadające za ponad 85 proc. potencjału sektora kosmicznego w Polsce, a wśród nich Creotech Instruments SA – laureat Godła „Teraz Polska”. Celem nowej organizacji jest stworzenie Satelitarnego Systemu Obserwacji Ziemi, który w 2026 r. doprowadzi do wyniesienia na orbitę pierwszej polskiej konstelacji mikrosatelitów obserwacyjnych.

Tego samego dnia Fundacja „Teraz Polska” wręczyła tytuły Promotora Polski, przyznawane od 2017 r. osobom, które poprzez swoje dokonania i osiągnięcia na polu naukowym, kulturalnym lub



Debata „Teraz Polska”. Od lewej: Jarosław Górski, Agnieszka Czuchra, Mikołaj Różycki, Piotr Dardziński, Jan Sawicki, Paweł Rzucidło.

**Studio „Teraz Polska”. Rozmowa z prof. Mirosławem Pęczakiem z Zakładu Badań nad Kulturą Wydziału Pedagogiki UW.**

biznesowym przyczyniają się do propagowania oraz umacniania pozytywnego wizerunku naszego kraju. W tym roku nagrodzono Tadeusza Ferencę, byłego prezydenta Rzeszowa; Jana Nowarę, dyrektora Teatru im. Wandy Siemaszkowej; oraz Rafała Wilka, mistrza paraolimpijskiego w handbike'u. Ponadto wręczono statuetkę Wybitnemu Polakowi w USA, którym został trener szermierki i działacz polonijny Janusz Młynek.

Kongres 590 to centrum wymiany myśli, doświadczeń i nawiązywania kontaktów. To przestrzeń dyskusji panelowych i tych prowadzonych w kuluarach. Podczas 6. edycji nasza fundacja zorganizowała aż pięć takich spotkań eksperckich, pod wspólną nazwą Debata „Teraz Polska”. Miały one na celu nakreślenie aktualnego obrazu Polski w obszarach: nowych technologii, gospodarki opartej na wiedzy i transformacji energetycznej, gospodarczej ekspansji zagranicznej, innowacji technologicznych w medycynie oraz budowania wizerunku kraju poprzez kulturę i sztukę.



© KAMIL BROSZKO



## Debaty „Teraz Polska” podczas Kongresu 590

### Debata: „Znaczenie nowych technologii i innowacji w rozwoju Polski”

**Moderator:** dr Jarosław Górski, adiunkt WNE UW, doradca prezesa Fundacji „Teraz Polska”

**Paneliści:** Grzegorz Brona (prezes Creotech SA), prof. Dorota Chwieduk (Instytut Techniki Ciepłej PW), Piotr Dardziński (prezes Sieci Badawczej Łukasiewicz), Grzegorz Wiśniewski (prezes Instytutu Energetyki Odnawialnej).

### Debata: „Nowe kierunki zagraniczne ekspansji polskiego biznesu”

**Moderator:** Sławomir Majman, wiceprezes zarządu Targów Warszawskich SA

**Paneliści:** Janusz Gawiński (dyrektor Jawor Parkiet), Janusz Komurkiewicz (członek zarządu FAKRO), Michał Lipiński (dyrektor Konkursu „Teraz Polska”), prof. Piotr Skarżyński (członek zarządu Centrum Słuchu i Mowy Medincus).

### Debata: „Kultura i sztuka jako najsilniejszy czynnik promocji Polski za granicą”

**Moderator:** prof. Mirosław Pęczak, Zakład Badań nad Kulturą, Wydział Pedagogiki UW

**Paneliści:** Andrzej Matusiak (dyrektor Stołecznej Estrady), Bogdan Szymanik (dyrektor Wydawnictwa BOSZ), Dominika Świętońska (była dyrektor Instytutu Polskiego w Düsseldorfie), Krzysztof Zanussi (reżyser, scenarzysta).

### Debata: „Rola innowacji w ochronie zdrowia”

**Moderator:** dr Jarosław Górski, adiunkt WNE UW, doradca prezesa Fundacji „Teraz Polska”

**Paneliści:** Paweł Elbanowski (członek zarządu StethoMe), dr Dawid Nidzworski (prezes GeneMe), prof. Piotr Skarżyński (członek zarządu Centrum Słuchu i Mowy Medincus).

### Debata: „Perspektywy rozwoju przemysłu zaawansowanych technologii w Polsce”

**Moderator:** dr Jarosław Górski, adiunkt WNE UW, doradca Fundacji „Teraz Polska”

**Paneliści:** Agnieszka Czuchra (dyrektor Departamentu Wspierania Przedsiębiorczości Urzędu Marszałkowskiego Województwa Podkarpackiego w Rzeszowie), Piotr Dardziński (prezes Sieci Badawczej Łukasiewicz), Mikołaj Różycki (p.o. prezesa PARP), dr hab. inż. Paweł Rzucidło (prodziekan Wydziału Budowy Maszyn i Lotnictwa Politechniki Rzeszowskiej), Jan Sawicki (wiceprezes Doliny Lotniczej).

Powyżej: debata „Kultura i sztuka jako najsilniejszy czynnik promocji Polski za granicą”. Obok: wręczenie Krzysztofowi Przybyłowi tytułu Ambasadora Kongresu 590.



© KAMIL BROZKO



© KONGRES 590

# Racjonalny konsument, patriota.

## Wyniki badań Fundacji „Teraz Polska”

Dzisiejszy konsument zainteresowany jest przede wszystkim jakością, choć – m.in. w wyniku pandemii – przy podejmowaniu decyzji zakupowych wzrasta również waga ceny. Coraz istotniejszym trendem staje się patriotyzm konsumencki. Godło „Teraz Polska” oznacza wysoką jakość i zachęca do zakupu produktu i usługi. Zachęcamy do lektury raportu badawczego.

**W**edług najnowszych badań przeprowadzonych na zlecenie Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska” konsumenci podczas codziennych zakupów kierują się jakością, ceną i miejscem pochodzenia produktów. Za pomocą internetowej ankiety CAWI sprawdzono, co determinuje decyzje zakupowe Polaków i czy chętnie sięgają oni po polskie produkty, oraz zapytano o skojarzenia z Godłem „Teraz Polska”. Badanie zostało przeprowadzone przez ASM – Centrum Badań i Analiz Rynku w październiku br. na próbie 1077 dorosłych Polaków.

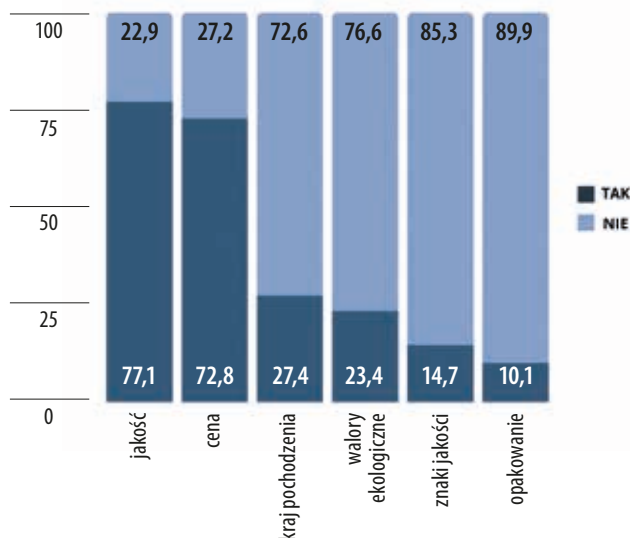
Od prawie trzech dekad Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego wyłania produkty, usługi i innowacje o najwyższej jakości i nagradza je Godłem „Teraz Polska”. Obecnie przyjmuje zgłoszenia do 32. edycji Konkursu „Teraz Polska”. Organizacja działa również na rzecz promowania innowacji w gospodarce, łączenia świata nauki i biznesu oraz monitoruje zachowania konsumentów i trendy w polskiej gospodarce. Od kilkunastu lat zleca przeprowadzanie badań, które mają na celu analizę głównych czynników wpływających na decyzje zakupowe Polaków. W tegorocznym badaniu uwzględniono również wpływ pandemii na rynek i konsumentów.

### Po pierwsze jakość

Polscy konsumenci podczas zakupów na pierwszym miejscu stawiają jakość, a w drugiej kolejności patrzą na cenę produktów i usług. Trend ten obserwowany jest niezmiennie od 2017 r., kiedy to pierwszy raz odnotowano zmianę na pozycji lidera. Na pytanie: „Co jest dla Pana/Pani najważniejsze podczas codziennych zakupów?” aż 77 proc. ankietowanych odpowiedziało, że jakość, natomiast cena została wskazana przez blisko 73 proc. respondentów. Jako kolejne czynniki konsumenci wskazywali: kraj pochodze-

nia produktu (27,4 proc.), walory ekologiczne (23,4 proc.), znaki jakości zamieszczone na produkcie (14,7 proc.) oraz opakowanie (10,1 proc.). Porównując otrzymane wyniki do tych uzyskanych w ubiegłym roku, można zauważyć, że jakość i cena nadal są głównymi czynnikami branymi pod uwagę przy podejmowaniu decyzji zakupowych. Największy wzrost (odpowiednio o 2 i 4 punkty procentowe) zanotowały kraj pochodzenia produktu oraz znaki jakości zamieszczone na produkcie. Z badań wynika, że konsumenci nieco mniejszą wagę niż w ubiegłym roku przywiązują do samego wyglądu opakowania, ale coraz częściej zwracają uwagę na zamieszczone treści, takie jak skład, pochodzenie czy certyfikaty.

### Co jest dla Pana/Pani najważniejsze podczas codziennych zakupów? (w %)



ŹRÓDŁO: ASM – CENTRUM BADAŃ I ANALIZ RYNKU



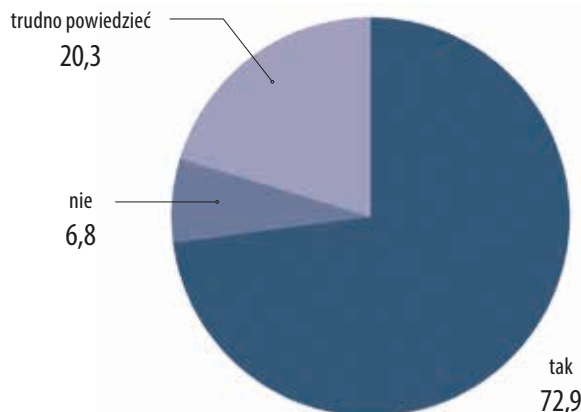


**TERAZ POLSKA**

Z badań wynika, że konsumenci są zarówno bardziej świadomi, jak i wymagający. Coraz więcej osób czyta etykiety, analizuje składy produktów oraz dokładnie sprawdza opinie innych klientów przed zakupem. Powszechne posiadanie smartfonów z mobilnym Internetem spowodowało, że dostęp do informacji nigdy nie był tak szybki i prosty. W kilkanaście sekund możemy przeczytać opis produktu i oceny oraz porównać cenę w kilku sklepach. Świadomy konsument wymaga więcej od producenta, i to nie tylko w kwestii jakości samych produktów i usług, ale również w zakresie ekologii czy wizerunku marki w sieci.

Ten sam świadomy i wymagający konsument zdaje sobie sprawę, że jakość kosztuje. Na pytanie: „Czy byłby Pan skłonny / byłaby Pani skłonna zapłacić więcej za produkt wysokiej jakości?” blisko 73 proc. respondentów odpowiedziało, że tak. Około jedna piąta (20,3 proc.) nie miała konkretnego zdania, natomiast jedynie 6,8 proc. zadeklarowało, że nie zapłaci więcej za taki produkt. Dominujące zachowania konsumenckie mogą wynikać ze wzrostu zamożności społeczeństwa oraz ciągłego dążenia jednostek do poprawiania swojej sytuacji materialno-bytowej.

#### Czy byłby Pan skłonny / byłaby Pani skłonna zapłacić więcej za produkt wysokiej jakości? (w %)



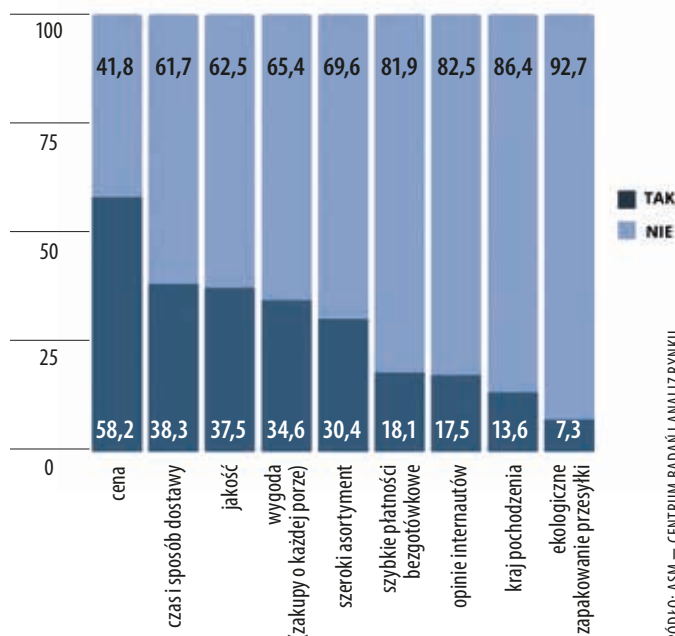
ŹRÓDŁO: ASM – CENTRUM BADAŃ I ANALIZ RYNKU

Patrząc całościowo na wyniki badań, można zauważyć, że cena produktu nadal jest bardzo ważnym determinantem wpływającym na decyzje zakupowe. Polacy chcą nabywać produkty i usługi możliwie jak najwyższej jakości, ale w sposób racjonalny, tzn. za kwotę mieszczącą się w pewnych akceptowalnych granicach, co staje się szczególnie ważne w czasie pandemii. Potwierdzeniem tej tezy są odpowiedzi na pytanie dotyczące zakupów online. Konsumenci, zapytani o to, czym się kierują, wybierając tę formę nabywania produktów, na pierwszym miejscu wskazali cenę (58,2 proc.). Kolejne miejsca zajęły: czas i sposób dostawy (38,3 proc.), jakość (37,5 proc.) oraz wygoda (34,6 proc.). Zastanawiać może różnica w odpowiedziach na to pytanie i pytanie pierwsze. Rzeczywiście bardzo często jest tak, że w sklepach

internetowych zamawiamy produkty, co do których jakości jesteśmy pewni (sprawdziliśmy ją wcześniej, zasięgnęliśmy opinii), przede wszystkim dlatego, że ich cena jest niższa niż w sklepach stacjonarnych, a ponadto nie musimy nigdzie po nie jeździć. Ta forma robienia zakupów jest popularna przede wszystkim przy produktach RTV i AGD, ubraniach, kosmetykach. Odpowiedzi na pytanie o zakupy online są również potwierdzeniem tezy o racjonalności i rozwadze polskich konsumentów, starających się kupować produkty markowe, wysokiej jakości i po możliwie korzystnych cenach.

Zjawisko to szczególnie nabiera na sile podczas trwającej pandemii. Ankietowani deklarują, że ich decyzje zakupowe są w większym stopniu przemyślane. Ponad 60 proc. respondentów deklaruje, że stara się kupować bardziej odpowiedzialnie, a ponad połowa (51,5 proc.) zwraca większą uwagę na cenę. W praktyce może to oznaczać np. rezygnację z zakupu drogich produktów, kupowanie produktów w mniejszej ilości lub poszukiwanie miejsc oferujących najkorzystniejszą cenę, co znajduje odzwierciedlenie w odpowiedziach dotyczących zakupów internetowych.

#### Co jest dla Pana/Pani najważniejsze podczas robienia zakupów w Internecie? (w %)

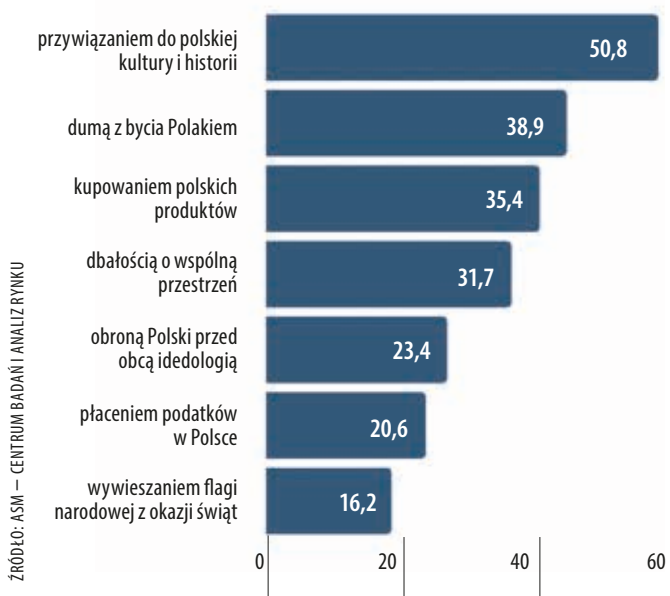


ŹRÓDŁO: ASM – CENTRUM BADAŃ I ANALIZ RYNKU

## Patriotyzm konsumencki

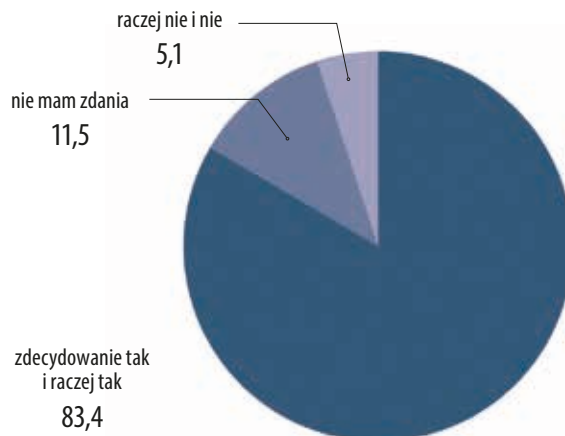
Z badania wynika, że miejsce pochodzenia produktu jest, obok jego walorów ekologicznych, ważnym czynnikiem przy podejmowaniu decyzji zakupowych. Na te kryteria podczas codziennych zakupów zwraca uwagę ponad jedna czwarta ankietowanych. Warto podkreślić, że w ostatnich 10–15 latach odsetek konsumentów, którzy świadomie wybierają rodzime produkty, wzrósł o ok. 10 punktów procentowych. Co więcej, kupowanie polskich produktów jest obecnie postrzegane jako jeden z przejawów patriotyzmu (35,4 proc.), zaraz po przywiązaniu do polskiej kultury i tradycji oraz poczuciu dumy narodowej. Warto także dodać, że jest to najwyżej sklasyfikowana forma patriotyzmu czynnego, czyli takiego, który przejawia się w konkretnym działaniu.

### Czym jest dla Pana/Pani patriotyzm dziś? (w %)



Coraz więcej Polaków zdaje sobie sprawę, że decyzje zakupowe jednostki mają wpływ na kondycję krajowej gospodarki i PKB. Można nawet powiedzieć, że od kilku lat panuje pewnego rodzaju moda na kupowanie polskich produktów, a zwłaszcza na wspieranie małych, lokalnych firm. Trend ten jest skutecznie wykorzystywany przez przedsiębiorców, którzy budują swoją markę w oparciu o regionalne pochodzenie, wielopokoleniową tradycję i polski kapitał. Nic dziwnego, skoro aż 83,4 proc. ankietowanych, mając możliwość wyboru, deklaruje zakup produktów polskiego pochodzenia. Tylko 5,1 proc. respondentów było przeciwnego zdania. Porównując tegoroczne odpowiedzi z wcześniejszymi, nasuwa się wniosek, że w czasie pandemii konsumenci wykazują się patriotyzmem ekonomicznym. Zdecydowanie większy odsetek Polaków stara się wspierać krajową gospodarkę i częściej wybiera produkty polskich producentów.

### Czy zgadza się Pan/Pani ze stwierdzeniem, że mając możliwość wyboru, należy kupować produkty polskiego pochodzenia? (w %)



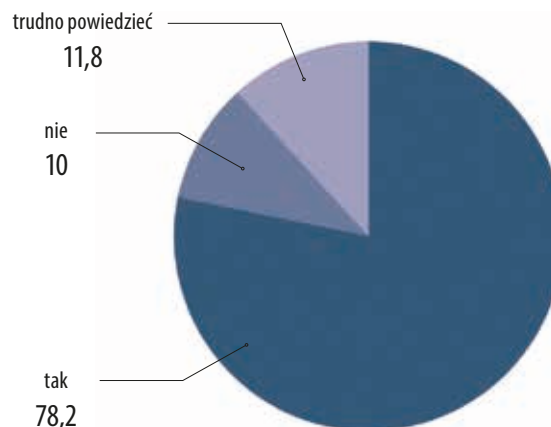
ŹRÓDŁO: ASM – CENTRUM BADAŃ I ANALIZ RYNKU

– Jako Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego cieszymy się ze zmian, jakie zaszły przez lata w świadomości społecznej, i z tego, że coraz częściej konsumenci wybierają polskich producentów i usługodawców. To dla nas dowód, że Polski Program Promocyjny odniósł sukces, a wartości, które nam przyświecają, zostały dostrzeżone i wpływają na decyzje zakupowe wielu milionów Polaków – mówi Krzysztof Przybył, prezes Fundacji.

## Godło „Teraz Polska”

Od wielu lat Godło „Teraz Polska” należy do najbardziej rozpoznawalnych znaków promocyjnych w Polsce. Jego znajomość w badaniach ankietowych corocznie deklaruje ponad 70 proc. konsumentów. Podobnie było w tym roku. Blisko 78 proc. ankietowanych odpowiedziało, że spotkało się ze znakiem „Teraz Polska” na produktach lub usługach.

### Czy jako konsument spotkał się Pan / spotkała się Pani kiedykolwiek ze znakiem (Godłem) „Teraz Polska” na produktach/usługach? (w %)

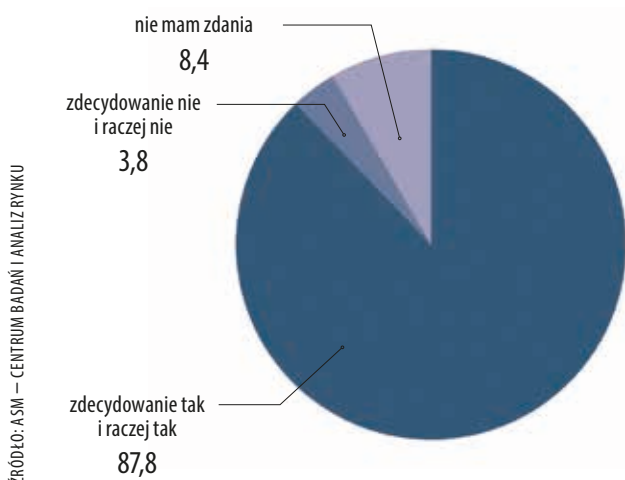


ŹRÓDŁO: ASM – CENTRUM BADAŃ I ANALIZ RYNKU



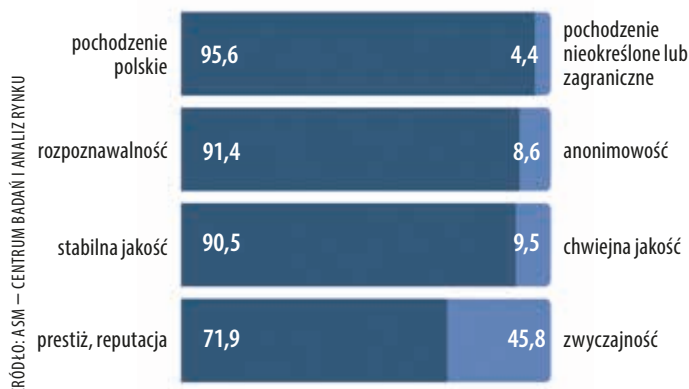
Godło „Teraz Polska” jest utożsamiane z wysoką jakością produktów i usług, co jednoznacznie potwierdzają odpowiedzi udzielone przez respondentów. Ma to ogromne znaczenie w kontekście zachowań konsumentów, ponieważ od 2017 r. badani deklarują, że to właśnie jakość jest dla nich najważniejsza podczas codziennych zakupów. Co więcej, odpowiedzi ankietowanych dowodzą skuteczności znaku jako narzędzia wspierającego sprzedaż. Ponad 87,8 proc. respondentów uważa, że Godło „Teraz Polska” jest dobrym sposobem oznaczania wysokiej jakości polskich produktów i usług, a także – co warto podkreślić – zachęca ich do zakupu.

**Czy według Pana/Pani logo „Teraz Polska” jest dobrym sposobem oznaczania wysokiej jakości polskich produktów/ usług i zachęca do ich zakupu? (w %)**



Ankietowani, zapytani o skojarzenia z produktami i usługami nagrodzonymi Godłem „Teraz Polska”, wskazują głównie polskie pochodzenie, dużą rozpoznawalność, stabilną jakość i bardzo dobrą reputację. Tylko 5,2 proc. badanych odpowiedziało, że znak z niczym im się nie kojarzy.

**Z jakimi cechami kojarzą się Panu/Pani produkty/usługi nagrodzone Godłem „Teraz Polska”? (w %)**



Wyniki badania kolejny rok z rzędu potwierdzają, że Godło „Teraz Polska” budzi zaufanie klientów i wzmacnia prestiż marki, a także bezpośrednio wpływa na decyzje zakupowe. Silną pozycją znaku promocyjnego nie zachwiała również pandemia. Mimo że konsumenci zwracają większą uwagę na cenę, to jednak nadal kluczowymi czynnikami decydującymi o zakupie są jakość i polskie pochodzenie, czyli cechy produktów i usług wyróżnionych Godłem „Teraz Polska”.

Każdy przedsiębiorca potrzebuje rozpoznawalnej marki i pomysłu, jak ją promować. – *Na decyzję zakupową składa się nie tylko ocena walorów produktu, ale także emocje. Klienci wybierają marki, za którymi stoją wartości czy historie spójne z ich oczekiwaniami, pragnieniami, potrzebami. To wszystko odnajdują w biało-czerwonym znaku „Teraz Polska”. Dowodzą tego twarde dane. Dlatego serdecznie zachęcam wszystkich przedsiębiorców do wzięcia udziału w 32. edycji Konkursu. To niebywała szansa, by stać się wizytówką polskiej gospodarki* – twierdzi Michał Lipiński, dyrektor Konkursu „Teraz Polska”.

**Jeśli jesteś zainteresowany uczestnictwem w Konkursie „Teraz Polska” i chcesz uzyskać więcej informacji, skontaktuj się z nami (tel. 22 826 01 91, e-mail: [konkurs@terazpolska.pl](mailto:konkurs@terazpolska.pl)).**



© KAMIL BROSZKO



## Zainaugurowaliśmy 32. edycję Konkursu „Teraz Polska”

**B**iało-czerwone Godło „Teraz Polska” po raz 32. trafi do firm tworzących polskie produkty i usługi najwyższej jakości, a następnie będzie pomagać milionom klientów w dokonaniu właściwego wyboru podczas zakupów. Wyróżnia ono ofertę i markę w sposób wyjątkowy.

Konkurs „Teraz Polska”, choć istnieje od ponad 30 lat i wciąż nagradza produkty i usługi za ich jakość, cały czas efektywnie podąża za zmieniającymi się wyzwaniami. Gdy u zarania transformacji ustrojowej brakowało u nas nowoczesnych, trwałych, dobrze zaprojektowanych produktów wysokiej jakości, Godło „Teraz Polska” wyróżniało firmy wytwarzające dobra o takich właśnie cechach. Dziś, po ponad 30 latach, klienci mają coraz większe oczekiwania, a Konkurs „Teraz Polska” wciąż odpowiada na ich potrzeby. Obecnie jakość nie jest definiowana już tylko przez trwałość i niezawodność produktów oraz ich wzornictwo, istotne jest także, w jakich warunkach zostały wyprodukowane, jaki mają wpływ na środowisko, czy spełniają ważne potrzeby, są nowoczesne i użyteczne. I właśnie takie produkty obecnie nagradzane są Godłem „Teraz Polska”, a rzetelność procedur i zasady Konkursu powodują, że jest

to znak cieszący się największą rozpoznawalnością i zaufaniem na polskim rynku. Zachęcam prezesów, właścicieli, menedżerów do zgłaszania produktów i usług do 32. edycji Konkursu „Teraz Polska”. Udział w niej powinien być naturalną konsekwencją dla wszystkich, którzy w prowadzeniu działalności gospodarczej kierują się wartościami i kreatywnością oraz oferują produkty i usługi mogące stać się niezaprzeczalną wizytówką polskiej gospodarki.

Krzysztof Przybył



### Godło „Teraz Polska”

- gwarantuje jakość i zaufanie
- zwraca uwagę klientów
- jest zachętą do zakupu dla 87,7 proc. klientów\*

ZGŁOŚ SIĘ DO KONKURSU „TERAZ POLSKA”!

**[www.terazpolska.pl](http://www.terazpolska.pl)**  
**[konkurs@terazpolska.pl](mailto:konkurs@terazpolska.pl)**

\* Według badań wykonanych na zlecenie Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego przez ASM – Centrum Badań i Analiz Rynku na reprezentatywnej próbie Polaków w październiku 2021 r.





© KAMIL BROSZKO

## Godło „Teraz Polska” to wyjątkowe narzędzie marketingowe

**O**d pierwszej edycji Konkursu „Teraz Polska”, która odbyła się w 1993 r., oceniliśmy ponad 6 tys. zgłoszeń reprezentujących w zasadzie wszystkie branże polskiej gospodarki. Nagrodzonych zostało ponad 800 laureatów. Najwięcej nagród zdobyli przedstawiciele sektora budowlanego, spożywczego i chemii przemysłowej. Od samego początku o Godło „Teraz Polska” ubiegały się zarówno małe, lokalnie działające firmy, jak i największe polskie marki. Ta tendencja jest widoczna również dzisiaj i wynika z faktu, że nagroda jest przyznawana za jakość produktu lub usługi, zaś wielkość przedsiębiorstwa nie ma znaczenia. Wśród laureatów można znaleźć firmy, które startowały i wygrywały w Konkursie więcej niż jeden raz. Rekordziści, m.in. Mokate, Gerlach, Spółdzielnia Lazur, OSM Koło czy poznańska firma Prote Technologie dla Środowiska, zdobyli Godło „Teraz Polska” czterokrotnie, dla czterech różnych produktów. To najlepszy dowód, że znak ten pełni rolę efektywnego narzędzia marketingowego i przynosi laureatom realne korzyści.

Godło „Teraz Polska” należy do najlepiej rozpoznawalnych logotypów promocyjnych w Polsce. Według badań zrealizowanych w październiku br. przez ASM – Centrum Badań i Analiz Rynku bli-

sko 78,2 proc. respondentów prawidłowo rozpoznaje znak „Teraz Polska”. Odpowiedzi osób badanych potwierdzają wysoką rozpoznawalność Godła „Teraz Polska” i jego skuteczność jako narzędzia promocyjnego wspierającego sprzedaż i markę posługującą się nim firmy. Aż 87,8 proc. respondentów uważa, że Godło „Teraz Polska” jest dobrym sposobem oznaczania polskich produktów i usług wysokiej jakości, zaś 77 proc. zadeklarowało, że ów znak umieszczony na opakowaniu produktu zachęca ich do zakupu.

Co tak naprawdę Godło „Teraz Polska” daje firmom? Mniejszym pomaga w promocji. A największym? Bo przecież wśród laureatów są również rynkowi liderzy. Znak ten jest prostym i czytelnym potwierdzeniem wysokiej jakości oferty firm umieszczających go na swoich produktach i usługach. Jest to szczególnie istotne w kontekście deklaracji dotyczących decyzji zakupowych i poszukiwania przede wszystkim produktów charakteryzujących się wysoką jakością. Uważam, że kwestie te są ważne zarówno dla właściciela małej rodzinnej firmy, działającej lokalnie, jak i dla osoby zarządzającej dużym przedsiębiorstwem. Można więc stwierdzić, że Godło „Teraz Polska” to skuteczne narzędzie promocyjne, które zachęca klientów do zakupu oznaczonych nim produktów oraz jest potwierdzeniem wysokiej jakości i polskiego pochodzenia. To znak pozwalający wyróżnić ofertę i markę firmy w sposób wyjątkowy.

Michał Lipiński, dyrektor Konkursu „Teraz Polska”





Prof. dr hab. n. med. **Grażyna Rydzewska** – specjalista chorób wewnętrznych, gastroenterolog. Kieruje Kliniką Chorób Wewnętrznych i Gastroenterologii z Pododdziałem Leczenia Nieswoistych Chorób Zapalnych Jelit Centralnego Szpitala Klinicznego MSWiA. Prezes Polskiego Towarzystwa Gastroenterologii, prezes Polskiego Klubu Trzustkowego. Stworzyła krajowy rejestr osób chorych na chorobę Leśniowskiego-Crohna.

# Jelita a sprawa zdrowia

© KAMIL BROSZKO

- W naszym jelicie mieszka nasz prawdziwy przyjaciel – mikrobiom.
- Objawy płucne dominują w infekcji SARS-CoV-2, ale na drugim miejscu pod względem częstości występowania są właśnie objawy brzuszne.
- W pandemii szczególnie należy dbać o eubiozę, czyli stan równowagi ekosystemu drobnoustrojów jelitowych.
- Dolegliwości brzuszne związane z COVID-19 to bóle brzucha, biegunki, zaburzenia rytmu wypróżnień, wzdęcia i nudności.
- Niestety, nawet z przestrzeganiem prostych zaleceń jest problem w naszym kraju, bo odpowiedzialność za bezpieczeństwo ogółu jest wartością abstrakcyjną.

Z prof. **Grażyną Rydzewską** rozmawia Marzena Tataj.

**Marzena Tataj:** W trakcie poprzedniego wywiadu dla „Magazynu Teraz Polska” rozmawialiśmy o tym, jak ważne są zdrowe jelita dla prawidłowego funkcjonowania człowieka.

**Grażyna Rydzewska:** Jelito jest największym narządem immunologicznym w organizmie, od którego zależy nasza odporność. Dlatego ogromną rolę odgrywa stabilizacja wszystkich procesów rozgrywających się w jelicie. Nigdy nie dość o tym przypominać.

Jelita mają łącznie prawie 6 m długości (jelito cienkie – ponad 4 m, a grube – około 1,5 m), a ich powierzchnia jest większa niż powierzchnia skóry. W jelicie grubym zachodzi proces zagęszczania

nia i wydalania, natomiast w jelicie cienkim następuje wchłanianie wszystkich substancji pokarmowych. Jednym słowem, nasze jelito musi wchłaniać to, czego nam trzeba, i nie wchłaniać tego, czego nie potrzebujemy. Prawdziwy kłopot i choroba zaczynają się wtedy, kiedy drogą jelitową przedostają się do naszego organizmu substancje toksyczne.

W naszym jelicie mieszka nasz prawdziwy przyjaciel – mikrobiom. Wiemy o tym już od 1908 r., kiedy to Ilja Miecznikow, laureat Nagrody Nobla, odkrył probiotyczne bakterie w kwaśnym mleku. Tak się złożyło, że 20 lat później Alexander Fleming odkrył peni-

cylinę i kompletnie zapomnieliśmy o naszym przyjacielu. Niezaprzecalnie wynalezienie antybiotyków uratowało wiele milionów istnień ludzkich, jednak – zafascynowani tym faktem – zaczęliśmy zbyt powszechnie je stosować, przez co patogeny zaczęły się na nie uodparniać. W ten sposób naruszyliśmy równowagę naszej mikrobioty jelitowej. Zaburzenie mikrobiomu jest podstawą genetyczną między innymi autoimmunologicznych chorób jelit, takich jak choćby zespół jelita nadwrażliwego, na który cierpi kilkanaście procent ludzi. U prawie połowy z nich występuje rozrost patogenów nadmiernie fermentujących w jelicie cienkim.

Na mikrobiom zwracają uwagę już nie tylko gastroenterolodzy, ale też dermatolodzy, alergolodzy, neurologi, a nawet psychiatrzy, bo jak się okazuje, istnieje oś jelitowo-mózgowa i również szereg defektów psychicznych ma swoje podłoże w zaburzeniu mikrobiomu.

Dzisiaj jeszcze nie potrafimy określić prawidłowego mikrobiomu pojedynczego człowieka. Wiemy jedynie, jakie powinny być proporcje niektórych bakterii. A nasz mikrobiom jest jak odcisk palca – jedyny, unikalny, z którym się dobrze czujemy.

**MT:** W zeszłym roku światem zawładnął wirus SARS-CoV-2 i początkowo uważano, że atakuje głównie płuca.

**Ale z czasem czytaliśmy coraz więcej doniesień o objawach brzusznych w covidzie.**

**GR:** Objawy płucne dominują w infekcji SARS-CoV-2 i są powodem największej śmiertelności, bo niewydolność płucna jest największym zagrożeniem dla życia. Ale na drugim miejscu pod względem częstości występowania są właśnie objawy brzuszne. Dzieje się tak dlatego, bo aby wirus SARS-CoV-2 mógł działać w ciele człowieka, musi wiązać się z receptorem dla angiotensyny II. Jest to specyficzny receptor występujący w tkance płucnej, który w dużym stężeniu jest obecny także w przewodzie pokarmowym – w jelitach czy wątrobie. Dlatego objawy brzuszne są związane bezpośrednio z infekcją COVID-19, która może doprowadzić do nieszczelności jelit i pogorszenia stanu wszystkich chorób układu pokarmowego.

Okazuje się, że wirus łatwiej wiąże się w jelicie receptorem dla angiotensyny II w warunkach dysbiozy, czyli braku równowagi jelitowej. Natomiast kiedy w jelicie jest wystarczająca ilość bakterii probiotycznych, to one konkurują o wiązanie z tym samym receptorem i niejako wypierają wirusa. Dlatego w pandemii szczególnie należy dbać o eubiozę, czyli stan równowagi ekosystemu drobnoustrojów jelitowych. Stąd na przykład w chorobie uchyłkowej jelit przedłużamy obecnie leczenie farmakologiczne, żeby nie narażać pacjenta na wahania dysbiotyczne, które po pierwsze narażają na zakażenie COVID-19, a po drugie sprzyjają jego ciężkiemu przebiegowi. Trzeba wiedzieć, że wirus SARS-CoV-2, wiążąc się z receptorem w przewodzie pokarmowym, w warunkach dysbiozy działa także niekorzystnie na infekcję płucną, ponieważ istnieje oś jelitowo-płucna (podobnie jak oś jelitowo-mózgowa). W rezultacie

dysbioza może pogarszać przebieg infekcji płucnej w zakażeniu SARS-CoV-2. Ten związek jest udokumentowany również dla innych chorób płucnych, na przykład dla przewlekłej obturacyjnej choroby płucnej.

**MT:** Jakie dolegliwości brzuszne występują w zakażeniu SARS-CoV-2?

**GR:** Są to bóle brzucha, biegunki, zaburzenia rytmu wypróżnień, wzdęcia czy nudności. Na podstawie badań prowadzonych w naszej klinice można rozróżnić pod tym względem dwa rodzaje pacjentów. Pierwsza grupa to pacjenci, którzy już mieli zdiagnozowany zespół jelita nadwrażliwego lub inne choroby układu pokarmowego, więc u nich objawy w COVID-19 uległy nasileniu. Druga grupa to pacjenci, u których objawy brzuszne zaczynają się rozwijać dopiero w infekcji SARS-CoV-2. Co ciekawe, u wielu chorych na COVID-19 występujące po raz pierwszy objawy brzuszne spełniają kryteria zespołu jelita nadwrażliwego. Wśród tych pacjentów przeprowadziliśmy ankietę w trakcie hospitalizacji i pół roku po chorobie. Okazało się, że u bardzo wielu osób te objawy utrzymują się jeszcze pół roku po infekcji, a być może będą trwały dłużej. Po prostu nie mamy dalszych obserwacji, gdyż jest to nowa choroba. Oznacza to utrwaloną dysbiozę, czyli poinfekcyjny zespół jelita nadwrażliwego. To zjawisko jest znane wielu osobom, którym w trakcie zagranicznych wakacji przytrafiła się tzw. kłótwa faraona czy zemsta Montezumy, czyli po prostu biegunka podróżnych. Oznacza to, że ulegliśmy zatruciu pokarmowemu z typowymi objawami dla tego zakażenia. Ale po powrocie do kraju brzuch nas nadal boli i przez pół roku robimy diagnostykę. Szukamy egzotycznych pasożytów, a przyczyną jest po prostu dysbioza, która jest odpowiedzialna za poinfekcyjny IBS, czyli zespół jelita nadwrażliwego. Podobna sytuacja występuje w przypadku COVID-19, co potwierdzają liczne publikacje. Mówi się, że objawy brzuszne są trwałą pamiątką po infekcji, i to zarówno wśród pacjentów z ciężkim przebiegiem choroby, wymagających hospitalizacji, jak i wśród pacjentów, którzy zakażenie SARS-CoV-2 przechodzili nisko objawowo, bez nasilonych objawów płucnych.

Podsumowując, w przypadku COVID-19 mamy do czynienia z objawami brzuszными występującymi w czasie infekcji, które są z nią bezpośrednio związane, oraz z objawami po infekcji, które nazywamy pocovidowym zespołem jelita nadwrażliwego. Jak długo będzie się on utrzymywał? Tego jeszcze nie wiemy, ale pacjentów z tą dolegliwością jest coraz więcej.

**MT:** Jak przywrócić równowagę w jelicie po infekcji wirusem SARS-CoV-2?

**GR:** Jak już wspomniałam, generalnie w leczeniu jelit przyjmujemy strategię utrzymania eubiozy, która jest szczególnie istotna w dobie covidu. W tym celu stosujemy żywność funkcjonalną, czyli kwas masłowy, dostępny w kilku preparatach, z których rekomendujemy tylko mikrootoczkowe, oraz probiotyki. Ze wskazań

medycznych u pacjentów, którzy mają dodatkowo chorobę uchyłkową czy nieswoiste choroby zapalne jelit, podajemy ryfaksyminę. To eubiotyk, który nie niszczy flory jelitowej, ale ją stabilizuje. Jest to lek numer jeden w leczeniu zespołu jelita nadwrażliwego, stosowany także wspomagająco w nieswoistych chorobach zapalnych jelit.

Chciałam jeszcze zwrócić uwagę na inny aspekt związany z chorobami jelit, których nasilenie obserwujemy w okresie pandemii. Mianowicie z naszych obserwacji wynika, że część objawów brzusznych zależy nie tylko od zakażenia SARS-CoV-2, ale także od przyjmowanych leków. W trakcie COVID-19 pacjenci przyjmują bardzo dużo antybiotyków i innych leków, które zapewne pomagają w zwalczaniu choroby, natomiast na pewno nie wpływają dobrze na przewód pokarmowy. Zaobserwowaliśmy, że część tych pacjentów miała typowe objawy polekowe, wśród których dominowała infekcja *Clostridioides difficile*. W naszej kohorcie pacjentów obserwujemy kilkakrotny wzrost tej infekcji w stosunku do okresu sprzed pandemii. Zgodnie z wytycznymi, które opublikowaliśmy już w 2018 r., odstąpiliśmy od podawania metronidazolu w leczeniu zakażenia *Clostridioides difficile*. Pierwszym wyborem leczenia powinna być wankomycyna, a w przypadku nawrotu zakażenia – fidaksonmicylina. Jeżeli i ona nie działa, to trzecim wyborem jest przeszczep mikrobioty, niekiedy nawet dwu- lub trzykrotny. Zalecamy również stosowanie, już w warunkach domowych, minimum jednej kuracji ryfaksyminą w większej dawce (do 1,6 g/dobę), aby przywrócić stabilność mikrobioty. Jednocześnie zwracamy się do pacjentów, aby ostrożnie wybierali leki i wystrzegali się niepotrzebnego przyjmowania antybiotyków.

Warto też zaznaczyć – co zostało udowodnione – że inhibitory pompy protonowej powodujące zmniejszenie wydzielania kwasu solnego i stosowane w leczeniu choroby wrzodowej czy refluksowej żołądka nie działają korzystnie w leczeniu infekcji SARS-CoV-2 właśnie z powodu dysbiozy, gdyż zmniejszenie wydzielania kwasu solnego w żołądku powoduje nadmierny rozrost nieprawidłowych bakterii w jelicie. Nie oznacza to automatycznego nakazu odstawienia tych leków, ale rozważenie korzyści i ryzyka ich stosowania, gdyż mogą przyczynić się do cięższego przebiegu COVID-19.

**MT: Na szczęście mamy szczepionki przeciw COVID-19.**

**GR:** Szczepienie jest obecnie najsilniejszą bronią w walce z zakażeniem SARS-CoV-2. Wszyscy powinni się szczepić, a szczególnie pacjenci z chorobami przewlekłymi. W tej chwili w Polsce szczególnie grupy ryzyka, seniorzy powyżej 50. roku życia oraz medycy są uprawnieni do przyjęcia trzeciej dawki szczepionki firmy Pfizer. Namawiam i proszę: szczepmy się, bo jest to jedyna broń chroniąca przed ciężkim przebiegiem COVID-19, która umożliwia nam w miarę normalne funkcjonowanie, oczywiście z zachowaniem zasad bezpieczeństwa, polegających na utrzymywaniu dystansu i noszeniu maseczek w pomieszczeniach zamkniętych oraz dezynfekcji rąk. Niestety, nawet z przestrzeganiem takich prostych

zaleceń jest problem w naszym kraju, bo wielu współobywateli nie czuje takiej potrzeby, a odpowiedzialność za bezpieczeństwo ogółu jest wartością abstrakcyjną.

**MT: Co oznacza malejący poziom przeciwciał po szczepieniu?**

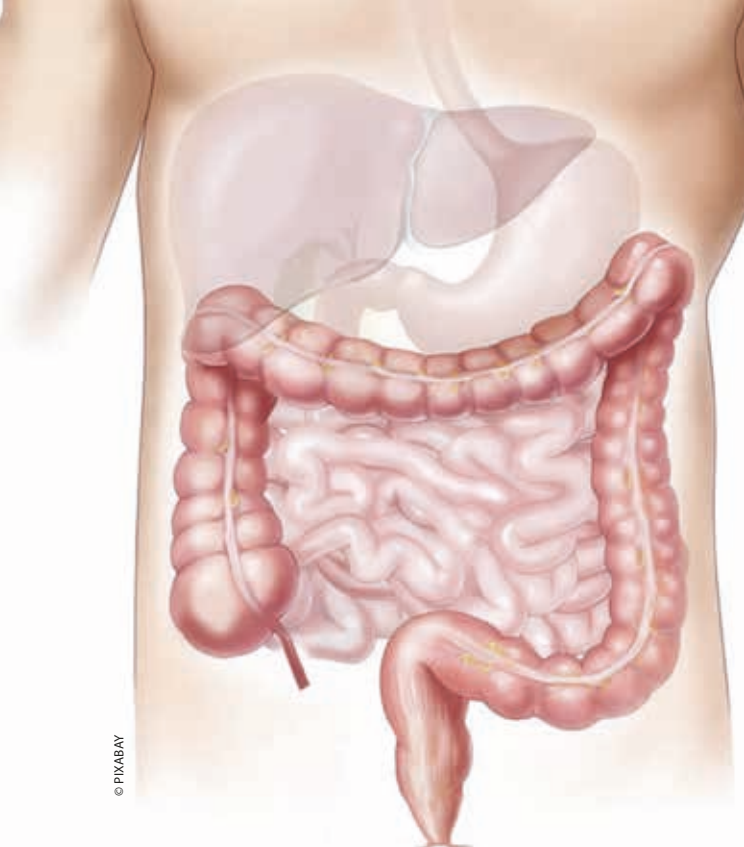
**GR:** Bardzo trudno jest ustalić ochronny poziom przeciwciał w przypadku zaszczepienia przeciwko COVID-19. Wiadomo, że jeśli ktoś ma wysoki poziom przeciwciał, to nie jest źle, ale to z kolei nie oznacza, że jak ktoś ma niski ich poziom, to jest na pewno w złej sytuacji. Tak było kiedyś z WZW (wirusowym zapaleniem wątroby). Medycy szczepili się co pięć lat, bo obowiązywała teoria, że trzeba się doszczepiać w przypadku spadku przeciwciał. Potem się okazało, że nie ma to żadnego znaczenia, bo wszyscy mamy odporność, nawet jeżeli poziom przeciwciał jest niski. Są one bowiem wytwarzane w momencie kontaktu z wirusem, a skoro nie ma kontaktu, to odporność może być niska, ale nie jest zapomniana.

**MT: Klinika Gastroenterologii CSK MSWiA pod pani kierownictwem była odpowiedzialna za wprowadzenie w Polsce terapii osoczem ozdrowieńców. Czy ta terapia przyniosła spodziewane rezultaty?**

**GR:** Terapia osoczem ozdrowieńców i immunoglobuliną jest znana od lat. To typowa immunizacja bierna. Nie działa zbyt silnie, gdyż w przypadku osocza nie do końca wiemy, ile przeciwciał ono zawiera. Według naszych badań, opublikowanych w „International Journal of Infectious Diseases”, osocze ozdrowieńców pomaga w leczeniu COVID-19 wtedy, kiedy jest podane wcześniej u ciężko chorych pacjentów. Porównywałam badania z całego świata, których wyniki były inne niż u nas, ale stwierdziłam, że w tamtych przypadkach osocze podawano pacjentom o różnym przebiegu choroby: w średnio ciężkich przypadkach, a nawet w lekkich. W ten sposób nie można ustalić właściwego miernika badania, bo nawet czas hospitalizacji jest zależny od wielu czynników, choćby od przepisów sanitarnych (początkowo w Polsce można było wypisać pacjenta do domu po dwóch negatywnych testach PCR, a później nie wymagano już wykonania testów po zakończeniu leczenia). Na pewno ważnym i wymiernym wskaźnikiem była śmiertelność. W naszym badaniu wykazaliśmy, że śmiertelność u pacjentów ciężko chorych, którym odpowiednio wcześniej podaliśmy osocze, była trzykrotnie mniejsza. Ten wskaźnik już się rozmywa w przypadkach średnio ciężkich i lekkich, bo one i tak nie mogły zakończyć się śmiertelnie. Wniosek jest taki, że terapia osoczem być może pomaga wszystkim pacjentom (być może – bo nie ma na to twardych dowodów), a na pewno pomaga ciężko chorym, dodatkowo obciążonym chorobami współistniejącymi, na przykład nowotworowymi.

**MT: Biomed Lublin zapowiedział wyprodukowanie immunoglobuliny anti-SARS-CoV-2 pozyskiwanej z osocza ozdrowieńców. Zaletą tego leku jest możliwość podawania**





Najlepsza dieta dla pacjenta i zarazem najtrudniejsza do wdrożenia to taka, którą można stosować przez całe życie.

go wszystkim pacjentom, bez konieczności dopasowania zgodności między dawką i biorcą, w formie zastrzyku domięśniowego.

**GR:** Biomed Lublin ma duże doświadczenie w produkcji immunoglobulin i jest obecnie w fazie badań klinicznych dla immunoglobuliny ozdrowieńców po COVID-19. Kluczowe w tym przypadku jest ustalenie wielkości dawki terapeutycznej i wykazanie jej skuteczności w badaniach klinicznych. Terapia immunoglobuliną będzie się różnić od terapii osoczem, ponieważ będzie dokładnie wiadomo, ile ampułek preparatu należy podać pacjentowi. Jest to terapia na przeczekanie, stosowana w momencie, w którym własne przeciwciała jeszcze się nie wytworzyły. Można wtedy pomóc, podając przeciwciała z zewnątrz, aby organizm podjął walkę z wirusem, a infekcja miała lżejszy przebieg.

**MT:** Medycyna dąży obecnie do małoinwazyjności, dzięki czemu zmniejsza się ryzyko powikłań pooperacyjnych i skraca czas rekonwalescencji pacjentów.

**GR:** To prawda. W naszym szpitalu od roku wiele operacji wykonuje się za pomocą robota da Vinci. Wykorzystuje go kardiochirurgia, chirurgia gastroenterologiczna, ginekologia, urologia. Tymczasem w gastroenterologii od blisko 40 lat stosuje się małoinwazyjne meto-

dy endoskopowe. Usunięcie złożeń z przewodu żółciowego metodą EPCW, wykorzystującą jednocześnie metody endoskopowe i rentgenowskie, po raz pierwszy przeprowadzono w latach 70. ubiegłego wieku. Najlepsze aparaty endoskopowe produkowane w Japonii potrafią coraz więcej, dzięki czemu na porządku dziennym wykonywane są polipektomie w gastroskopii czy kolonoskopii; szeroko stosuje się ultrasonografię endoskopową. Razem z chirurgami wykonujemy wiele zabiegów hybrydowych, stosując techniki endoskopowe. Tak przeprowadza się choćby operacje bariatryczne. Niebawem w naszej klinice w leczeniu nieswoistych chorób zapalnych jelit wprowadzimy stosowaną w niewielu ośrodkach leukaferzę. To jest leczenie ostatej szansy dla pacjentów cierpiących na wrzodziejące zapalenie jelita grubego, którzy nie są w stanie poddać się operacji, a metody leczenia farmakologicznego dla nich już wyczerpano.

**MT:** Skoro zaczęliśmy rozmowę od kwestii mikrobiomu, to proszę przypomnieć – na zakończenie – w jaki sposób o niego zadbać.

**GR:** Możemy spożywać jogurty probiotyczne, które w procesie produkcji są zasiedlane przez odpowiednie kultury bakterii. Można również jeść kiszonki. Natomiast przestrzegam przed wszelkimi produktami typu *light* czy „zero cukru”, bo zazwyczaj cukier zastępowany jest innymi substancjami słodzącymi (np. sorbitolem), które jako wysoko fermentujące są prawdziwym nieszczęściem dla naszych jelit. Powinniśmy jeść produkty jak najmniej przetworzone, dostarczać odpowiednią ilość błonnika, pić dużo wody, najlepiej niegazowanej. Nie zachęcamy również do modnych obecnie diet eliminacyjnych. Teraz wszyscy wystrzegają się glutenu, a tymczasem ocenia się, że zaledwie 1 proc. społeczeństwa ma nietolerancję glutenu i cierpi na celiakię. Zaś według statystyk w USA aż 17 proc. społeczeństwa stosuje dietę bezglutenową, bo w pogoni za modą uważa, że bezglutenowo to zdrowo. Nic bardziej mylnego. Po pierwsze, jest to dieta bardzo trudna do zbilansowania. Po drugie, z uwagi na wyższą zawartość substancji toksycznych w pewnych grupach produktów może być wręcz szkodliwa dla niektórych pacjentów. Nawet jeżeli pacjent nie jest uczulony na gluten, może czuć się źle po zjedzeniu bułki czy kromki chleba, ale z innej przyczyny. Być może źle reaguje na produkty wysoko fermentujące i powinien być okresowo na diecie Low FODMAP, a może ma nietolerancję pszenicy lub nieceliakalną nadwrażliwość na gluten. Jedynie lekarz może to ocenić i dobrać odpowiednią dietę. Najlepsza dieta dla pacjenta i zarazem najtrudniejsza do wdrożenia to taka, którą można stosować przez całe życie. Popatrzmy na fenomen diety śródziemnomorskiej. Mieszkańcy basenu Morza Śródziemnego rano jedzą rogalik i popijają kawę, główny posiłek spożywają późno wieczorem, czyli zupełnie odwrotnie niż zalecają nasi dietetycy. A żyją najdłużej w całej Europie! Sekret w tym, że spożywają mało tłuszczów zwierzęcych, jedzą głównie warzywa, owoce, tłuszcze roślinne i ryby, a te produkty wpływają na zmniejszenie ryzyka chorób układu sercowo-naczyniowego.

# Przełom technologiczny w onkologii spowodował wyzwolenie dyscypliny z zakłętego kręgu niedocenywania, a nawet pogardy

- Onkologia jest pariasem wśród przedmiotów klinicznych w programie studiów, a dzieje się tak dlatego, że na uniwersytetach medycznych nie wykładają jej onkolodzy.
- Dla wielu medyków coś, czego nie da się usunąć operacyjnie, jest nieuleczalne.
- Często utożsamiamy innowacyjne metody z cudownym lekiem, remedium, ale czegoś takiego nie ma. Odkrycia w farmakoterapii onkologicznej są jak drobne kroczki.
- Onkologia jest uzależniona od całej medycyny, bo to u innych specjalistów pacjent dowiaduje się, że ma raka, i przez nich jest kierowany do nas na leczenie.
- Uważam, że Polacy są przekonani do celowości badań profilaktycznych, natomiast brakuje procedur i sprawnej organizacji, które doprowadziłyby do realizacji tych badań.

Z prof. **Krzysztofem Składowskim** rozmawia Kamil Broszko.

**Kamil Broszko:** Jak można ocenić obecny stan onkologii w Polsce?

**Krzysztof Składowski:** Ocenilibym go dwojako. Z jednej strony jest dobry, nawet nieoczekiwanie dobry, ale tylko w kontekście specjalności onkologicznych związanych bezpośrednio z diagnostyką i leczeniem nowotworów w ośrodkach wieloprofilowych. Mam na myśli chirurgię onkologiczną, radioterapię, onkologię kliniczną i diagnostykę. Tak rozumiana onkologia ma się całkiem dobrze, choćby w porównaniu do stanu tej dziedziny medycyny sprzed 35 laty, kiedy to zaczynałem z nią swoją przygodę. Przełom technologiczny w onkologii, także ten związany z cyfryzacją radioterapii, który nastąpił pod koniec XX w., spowodował wyzwolenie dyscypliny z zakłętego kręgu niedocenywania, a nawet pogardy ze strony przedstawicieli innych specjalności medycznych. Kiedy decydowałem się na onkologię, koledzy i starsi lekarze odradzali mi ten wybór, twierdząc, że będę zajmował się udawaniem, że pomagam umierającym pacjentom. Dziś polska onkologia ma zupełnie inne oblicze – w naszym kraju mamy wszystko to, co posiadają

rozwinęte kraje Europy Zachodniej, Stany Zjednoczone, Kanada czy Australia. Być może dostęp do innowacyjnych terapii nie jest jeszcze tak dobry, jak w Niemczech, Francji czy Szwajcarii, o czym świadczy fakt, że polscy pacjenci nie mogą jeszcze skorzystać z nowych i bardzo drogich leków, bo nie ma ich na naszych listach refundacyjnych i w programach lekowych. Musimy sobie jednak zdawać sprawę, że my cały czas nadganiamy dystans, który powstał na skutek skokowego postępu w farmakologii onkologicznej. Obecnie nie mówimy już o typowej chemioterapii. Wiele firm bardzo szybko i masowo wprowadza na rynek leki nowej generacji, które stosuje się w konkretnych wskazaniach, wynikających z profilu molekularnego danego nowotworu. Mamy do czynienia ze spersonalizowaną farmakologią onkologiczną. Równie duży postęp dokonał się w chirurgii, która wykorzystuje roboty w operacjach urologicznych czy laryngologicznych oraz techniki laparoskopowe w operacjach w obrębie brzucha czy klatki piersiowej. W radioterapii także dokonał się ogromny skok – dzięki cyfryzacji, komputeryzacji, a przede wszystkim dzięki temu, że na podstawie



Prof. dr hab. n. med. **Krzysztof Składowski** – krajowy konsultant w dziedzinie radioterapii onkologicznej. Dyrektor Narodowego Instytutu Onkologii – Państwowego Instytutu Badawczego, Oddziału w Gliwicach i kierownik I Kliniki Radioterapii i Chemioterapii. Jest jednym z najczęściej cytowanych na świecie polskich radioonkologów, autorem około 250 artykułów opublikowanych w prestiżowych czasopismach naukowych. Kierował lub nadzorował ponad 40 badań klinicznych, w tym kilkanaście o zasięgu międzynarodowym. Specjalizuje się w leczeniu nowotworów głowy i szyi. Laureat wielu prestiżowych nagród i wyróżnień. Odznaczony Złotym Krzyżem Zasługi oraz Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski. Czas wolny przeznaczają na czytanie książek o tematyce historycznej.

© KAMIL BROSZKO

badani obrazowych możemy skonstruować trójwymiarowy fantom organizmu pacjenta i jego choroby, co umożliwia precyzyjne napromienianie samego nacieku nowotworowego.

Gorszy obraz onkologii wynika z jej traktowania przez przedstawicieli innych specjalności medycznych, którzy o postępie w onkologii mają niewielkie pojęcie i nie wiedzą, że u licznych pacjentów można zastosować różne metody leczenia, niekoniecznie tylko chirurgiczne. Dla wielu medyków coś, czego nie da się usunąć operacyjnie, jest nieuleczalne. Dlatego nie informują pacjentów, z którymi mają kontakt jako pierwsi, jeszcze przed onkologami, o wszystkich dostępnych możliwościach leczenia. I niestety z powodu swojej niewiedzy ograniczają chorym na raka dalsze postępowanie terapeutyczne.

W Narodowym Instytucie Onkologii w Gliwicach często spotykamy się z sytuacją, kiedy pacjenci, pozostawieni samym sobie przez lekarzy POZ, na własną rękę szukają pomocy. Traktują nas jak ostatnią deskę ratunku i właśnie od nas dowiadują się, że istnieją dla nich terapie, o których nikt wcześniej ich nie poinformował.

Bardzo mnie martwi to zacofanie środowiskowe, które jest konsekwencją braków w kształceniu lekarzy. Onkologia jest pariasem wśród przedmiotów klinicznych w programie studiów, a dzieje się tak dlatego, że na uniwersytetach medycznych onkologii nie wykładają onkolodzy.

**KB:** Rak nie wynika tylko z czynników cywilizacyjnych, bo guzy były wykrywane przez antropologów w szczątkach ludzkich z czasów prehistorycznych.

**KS:** To prawda. Część nowotworów jest uwarunkowana genetycznie i nawet gdybyśmy żyli w idealnych warunkach środowiskowych i odżywiali się najzdrowiej, pili czystą i dobraną do naszych potrzeb wodę, to wcale nie oznacza, że uchronimy się od zachorowania na raka.

**KB:** Jednak dużo się mówi o negatywnym wpływie żywności nafaszerowanej związkami rakotwórczymi czy powietrza zawierającego rakotwórcze substancje. W grupach



## Myszę, że medycyna pójdzie drogą egalitaryzmu. Każda metoda z czasem tanieje, czyli powszechnieje, nie tracąc nic ze swojej skuteczności.

szczególnie narażonych na wymienione czynniki liczba nowotworów się zwiększa.

**KS:** To prawda, że się zwiększa, choć nie mówimy w tym wypadku o tsunami, ale o stopniowym, stałym wzroście. Proszę pamiętać, że statystyki i rejestry dotyczące zachorowań na nowotwory są prowadzone w sposób rzetelny dopiero od kilkudziesięciu lat i nie na całym świecie, więc trudno przyjąć, że tak było zawsze. Poza tym wzrost liczby rozpoznawanych przypadków jest też konsekwencją większej czułości metod wykrywania nowotworów. Mam na myśli nie tylko poprawę jakości metod obrazowych, ale również czułość badań markerów nowotworowych z krwi. Obecnie, znajdując komórki nowotworowe we krwi, wiemy, że potencjalnie nowotwór istnieje, ale nie potrafimy go jeszcze zlokalizować, bo jest za mały i nie daje żadnych objawów ani dolegliwości. Niemniej do zachorowania już doszło. Takiego pacjenta można obserwować, wykonując mu dostatecznie często badania całego ciała, a kiedy ujawni się nowotwór – wyleczyć go we wczesnym stadium. Można też założyć, że nowotwór wywodzi się z jakiegoś miejsca, i to miejsce profilaktycznie poddać leczeniu. Takie postępowanie już w niedległej przyszłości będzie standardem.

**KB:** Jaka będzie ta przyszłość polskiej i zachodniej onkologii w perspektywie najbliższych dziesięciu lat? Czy nowoczesne terapie będą dostępne dla elit bardziej zasobnych finansowo, czy raczej medycyna stanie się egalitarna?

**KS:** Myszę, że medycyna pójdzie drogą egalitaryzmu, bo każda metoda na początku przekracza zasobność kieszeni pacjenta czy systemu ochrony zdrowia, a z czasem tanieje, czyli powszechnieje, nie tracąc nic ze swojej skuteczności. Często utożsamiamy innowacyjne metody z cudownym lekiem, remedium, ale czegoś takiego nie ma. Odkrycia w farmakoterapii onkologicznej są jak drobne kroczki, z pozoru nawet niezauważalne, które jednak posuwają do przodu skuteczność leczenia. Tyle że nadal przedłużają okres przeżycia tylko o tygodnie, a nie o lata. Tymczasem ludzie czekają na lek, który sprawi, że po jego zażyciu rak zniknie na zawsze. Poza tym proszę pamiętać, że już dziś, stosując skuteczne metody na dany nowotwór, osiągając pełne wyleczenie bądź wydłużając przeżycie pacjenta o wiele lat, nie mamy żadnej gwarancji, że po jakimś czasie nie wróci on do nas z nowym rozpoznaniem kolejnego raka, niemającym żadnego związku przyczynowego z poprzednim leczeniem. Tak może się stać, gdy nie zrezygnuje z niezdrowego stylu życia. Zawsze namawiam moich pacjentów z rakiem jamy ustnej czy gardła do rzucenia palenia, bo mają duże szanse na pełne wyleczenie. Przestrzegam ich, że jeżeli nie rzucą palenia, to możemy spotkać się znowu, tym razem z rozpoznaniem raka płuca. Część pacjentów wierzy mi i rzucą palenie, ale część uważa, że skoro pokonali raka, to są już nieśmiertelni i nic im nie

grozi. Niestety, spotykamy się znowu, nawet wcześniej niż po 10 latach, a każde kolejne zachorowanie trudniej się leczy i szanse na pełne wyleczenie są znacznie mniejsze.

**KB:** Na fali wzmożonych badań nad szczepionką mRNA na koronawirusa pojawiła się informacja, że trwają prace nad szczepionką mRNA na raka.

**KS:** Szczepionki na raka istnieją już od dawna. Przykładem jest szczepionka na raka szyjki macicy, która jest ukierunkowana na wirusa brodawczaka ludzkiego, będącego czynnikiem sprawczym choroby. W fazie badań klinicznych jest szczepionka na raka gardła wywołanego wirusem z tej samej rodziny. Jeżeli czynnikiem sprawczym choroby jest czynnik zewnętrzny – wirus, który wywołuje chorobę w sposób przewidywalny, to znaczy, że wywołane przez niego nowotwory są do siebie podobne i zawierają w sobie materiał genetyczny tego wirusa. Zatem konstruując szczepionkę przeciwko wirusowi, niszczymy również komórki rakowe niejako przy okazji. Gorzej jest z rakiem, którego czynnik sprawczy jest nieznany, albo gdy nowotwory są niestabilne molekularnie. Przykładem nowotworów o takiej niestabilności molekularnej są raki wywołane licznymi kancerogenami zawartymi w dymie tytoniowym. Znalezienie wspólnego mianownika dla tych nowotworów jest często niemożliwe, w związku z czym nie ma szansy na skonstruowanie leku, który byłby skuteczny dla populacji osób z tymi chorobami.

Być może postęp w nanotechnologii i subkomórkowej detekcji sprawi, że pobierając próbkę komórek nowotworowych od pacjenta, będziemy potrafili wyprodukować dla niego lek czy aut szczepionkę. Będzie to w pełni spersonalizowana terapia onkologiczna. Jednak jest to jeszcze kwestia dalekiej przyszłości, bo rak jest diabłem wcielonym o niejednorodnej budowie. Jeżeli wyobrazimy sobie guz nowotworowy jako bryłę, to w każdym jej miejscu mogą być różne komórki wywodzące się z różnych klonów, które – chaotycznie się rozmnażając – powielają odmienne cechy ulegające dalszym modyfikacjom. Przez to leczenie ukierunkowane na dany typ komórek wyizolowany z pobranej próbki może być skuteczne niejako wybiórczo, pozostawiając inne komórki nowotworowe nienaruszone. Jeżeli na podstawie próbki pobranej od pacjenta dobraliśmy lek, po którym guz znika, to musimy pamiętać, że może on zniknąć tylko pozornie, bo subklinicznie przeżyły te komórki, które nie znalazły się w próbce i nie zostały zidentyfikowane, choćby było ich o wiele mniej. I to one spowodują odrost nowotworu, na który ten lek już nie zadziała. Jedynie radioterapia i chirurgia są w stanie unicestwić wszystkie komórki. Radioterapia dlatego, że nie rozróżnia komórek i penetruje wszystkie, natomiast chirurgia usuwa całą zmianę nowotworową, ze wszystkimi jej komórkami.

## Warto podkreślić, że w czasie pandemii żaden ośrodek onkologiczny nie zaprzestał leczenia pacjentów.

**KB:** Pandemia koronawirusa spowolniła leczenie wielu innych chorób.

**W trakcie trzeciej fali powiedział pan publicznie, że statek tonie. Jak pan ocenia pracę onkologów w tym trudnym czasie?**

**KS:** Statek wprawdzie nie zatonął, ale nabrał dużo wody i wolniej płynie. Onkologia jest uzależniona od całej medycyny, bo to u innych specjalistów pacjent dowiadyuje się, że ma raka, i przez nich jest kierowany do nas na leczenie. Niemal wszyscy specjaliści – okuliści, laryngolodzy, neurologi itp. – są w stanie rozpoznać nowotwór złośliwy. To oni są odpowiedzialni za postawienie diagnozy. A potem albo sami zabierają się za leczenie, a w każdym razie je rozpoczynają, albo wysyłają pacjenta do onkologa. Medycyna specjalistyczna była sparaliżowana przez COVID-19, a pacjenci, wystraszeni pandemią, często zwlekali z diagnozowaniem innych chorób. Zresztą nawet jeżeli chcieli się leczyć, to był kłopot z dostępem do lekarzy i badań, bo oczekiwanie na wizytę u specjalisty i wykonanie diagnostyki wydłużyło się kilkukrotnie. A nowotwór nie czekał, tylko się rozwijał. Skutki są opłakane – do naszej kliniki trafiają teraz pacjenci z guzami wielkości głowy dziecka. W takiej sytuacji trudno zdziałać cuda...

Z jednej strony dobrze, że ponad 50 proc. społeczeństwa zaszczepiło się przeciwko COVID-19, a z drugiej niedobrze, bo zaledwie ponad połowa społeczeństwa jest zaszczepiona. I nie chodzi mi o to, czy ktoś wierzy w szczepionkę, czy nie. Ten, kto się nie szczepi, zakłada, że nie zachoruje na COVID-19, ale już nie zakłada, że nie zachoruje na nowotwór. A jeśli zachoruje na nowotwór i rozpocznie leczenie lub diagnostykę przed leczeniem, to ten proces potrwa wiele tygodni. Jeżeli w tym czasie przyplącze mu się zakażenie SARS-CoV-2, nawet o lekkim przebiegu, to leczenie onkologiczne zostaje przerwane, pacjent musi zostać odizolowany i traci szansę na ratunek przed śmiertelną chorobą. Warto o tym pomyśleć, kiedy jest się jeszcze zdrowym.

Trzeba w tym miejscu podkreślić, że w czasie pandemii żaden ośrodek onkologiczny nie zaprzestał leczenia pacjentów. Wyłączenia poszczególnych oddziałów i zakładów były krótkie i spowodowane zakażeniem SARS-CoV-2 personelu. W naszym Instytucie zaszczepiło się ponad 90 proc. pracowników, więc mam nadzieję, że takie przestoje nie będą już miały miejsca. Tym bardziej że medycy mogą przyjąć trzecią dawkę szczepionki, aby podnieść liczbę przeciwciał, a co za tym idzie – odporność na COVID-19.

**KB:** Stara zasada w medycynie mówi, że lepiej zapobiegać niż leczyć. Chciałbym zapytać o profilaktykę. Na ile jest ona kluczowym czynnikiem powodzenia w walce z chorobami nowotworowymi? Jak przekonać do niej Polaków?

**KS:** Uważam, że Polacy są przekonani do celowości badań profilaktycznych, natomiast brakuje procedur i sprawnej organizacji,

które doprowadziłyby do realizacji takich badań. Należy wykorzystać potencjał lekarzy pierwszego kontaktu oraz placówki medycyny pracy. Osobiście uważam, że choroby nowotworowe nie da się uniknąć, chodzi raczej o to, aby została wykryta jak najwcześniej, kiedy jest w 100 proc. uleczalna. Aby wykrycie komórek rakowych

we krwi za pomocą ultraczułych metod skłoniło lekarza do szukania ogniska nowotworowego. Jeżeli uda się zdiagnozować ognisko o bardzo małych rozmiarach, czyli w fazie bardzo wczesnej, to leczenie będzie skuteczne.

Choć wiedza w społeczeństwie na temat nowotworów jest coraz lepsza, to nigdy dosyć promowania zdrowego stylu życia, przekonywania do właściwego odżywiania i unikania używek.

**KB:** Otrzymał pan tytuł Promotora Polski na Śląsku, przyznawany przez Fundację „Teraz Polska”. Czy ten region miał wpływ na pańską działalność?

**KS:** Nie urodziłem się na Śląsku, ale wszystko, co pamiętam od dziecka, jest już związane z tym regionem. To Śląsk stworzył szansę chłopakowi, który pochodził z typowej rodziny peerelowskiej, bez korzeni lekarskich czy naukowych, aby mógł studiować, a później otrzymać pracę w wymarzonej dziedzinie i wspinać się po szczeblach kariery w sposób demokratyczny, czyli bez układów i znajomości. Głównymi promotorami mojego awansu były wiedza, nauka i zdolności.

**KB:** Śląsk jest zwykle postrzegany przez pryzmat przemysłu ciężkiego, wydobywania węgla, a w istocie jest to region wielu specjalności, zaś wśród kluczowych można na pewno wymienić medycynę. Czy będzie ona kołem zamachowym dla rozwoju całego Śląska?

**KS:** Myślę, że tak. Mieliśmy ostatnio spotkanie rektorów uczelni wyższych ze Śląska, podczas którego przedstawiłem pomysł na promocję regionu. Wspomniał pan o węglu kamiennym. Mnie też chodzi o węgiel, ale radioaktywny, o ciężkie jony związane z radioonkologią. To najdroższa, ale też najbardziej skuteczna i skomplikowana forma radioterapii nowotworów złośliwych, które często są nieoperacyjne i nieuleczalne. Tę metodę stosuje się w kilkunastu ośrodkach na świecie i kilku w Europie. Polska służy na ośrodek terapii ciężkimi jonami, a ponieważ są to jony węgla, więc byłoby najbardziej właściwym, aby powstał na Śląsku. Pomysł zyskał poparcie wszystkich rektorów uczelni wyższych naszego regionu. Będziemy go przedstawiać władzom w celu akceptacji i znalezienia odpowiednich środków na stworzenie takiego ośrodka. Nieważne, w którym mieście powstanie, byle był. Przy czym nie będzie to jedynie ośrodek medyczny, ale również ośrodek nauk fizycznych, technicznych i inżynierskich – taki polski Heidelberg w dobrym tego słowa znaczeniu.

# Aby liczyć się w europejskiej i światowej nauce, **trzeba postawić na młodych ludzi**

- Zajmuję się szczególną grupą enzymów, tzw. proteazami. Kontrolują one niemal wszystkie procesy komórkowe.
- Gdy pojawił się SARS-CoV-2, metoda, nad którą pracowałem w latach 2013–2015, została błyskawicznie wykorzystana do stworzenia nowych sond chemicznych pozwalających badać enzymy proteolityczne koronawirusa.
- Aby skutecznie walczyć z koronawirusem, wprowadzono ustawę, która de facto znosi konieczność zamówień publicznych. To był strzał w dziesiątkę.
- To, co było główną bolączką polskiej nauki, jeszcze się pogłębia – brakuje wykwalifikowanej administracji, która pomagałaby młodym aplikować o granty i realizować je w rzetelny sposób.

Z **Marcinem Porębą** rozmawia Kamil Broszko.

**Kamil Broszko:** Zajmuje się pan chemią biologiczną. To zapewne skomplikowana dyscyplina. Jak wytłumaczyć jej zawiłości czterolatkiowi?

**Marcin Poręba:** Zgadza się, pracuję w dziedzinie, którą nazywamy chemią biologiczną. Jak sama nazwa wskazuje, chodzi o połączenie chemii i biologii, o działanie na styku owych dwóch dyscyplin. Ja sam staram się zrozumieć procesy biologiczne zachodzące na poziomie całych organizmów, ale też na poziomie pojedynczych komórek.

Stosujemy narzędzia chemiczne, czyli na przykład związki fluorescencyjne, dzięki którym podglądamy aktywności danych enzymów. Od dłuższego czasu zajmuję się szczególną grupą enzymów, tzw. enzymami proteolitycznymi (proteazami). Kontrolują one niemal wszystkie procesy komórkowe, od wzrostu i różnicowania się komórek, poprzez ich metabolizm, aż po ich śmierć. Próbuję podglądać, jak te enzymy funkcjonują w komórce; tworzę w tym celu narzędzia chemiczne, aby wizualizować działanie enzymów i stwierdzać, czy jest prawidłowe, czy zaburzone.

Mój główny obszar badawczy jest związany z dociekaniem, czy określone parametry enzymów przekładają się na powstawanie, rozwój i przerzutowość nowotworów. Tworzymy więc markery chemiczne, aby podglądać owe złe funkcjonowanie enzymów, a to ma na celu tworzenie podstaw do spersonalizowanej diagnostyki.

**KB:** Czyli pana działalność nie służy jedynie rozszerzaniu wiedzy, ale ma też silny komponent wdrożeniowy.

**MP:** Oczywiście, przenosimy nasze wnioski na grunt medycyny. Wykorzystujemy naszą wiedzę podstawową do tworzenia spersonalizowanej diagnostyki. Jest to o tyle ważne, że choroba nowotworowa, podobnie jak wiele innych chorób, u każdego pacjenta przebiega inaczej. Dlatego od kilku lat kładzie się duży nacisk na stosowanie medycyny spersonalizowanej, a to w głównej mierze oznacza spersonalizowaną diagnostykę. Staramy się poznać jak najwięcej parametrów pacjenta, a następnie sprawdzić, jak one korelują z przebiegiem choroby, jej remisją, z odpornością i odpowiedzią na leczenie.

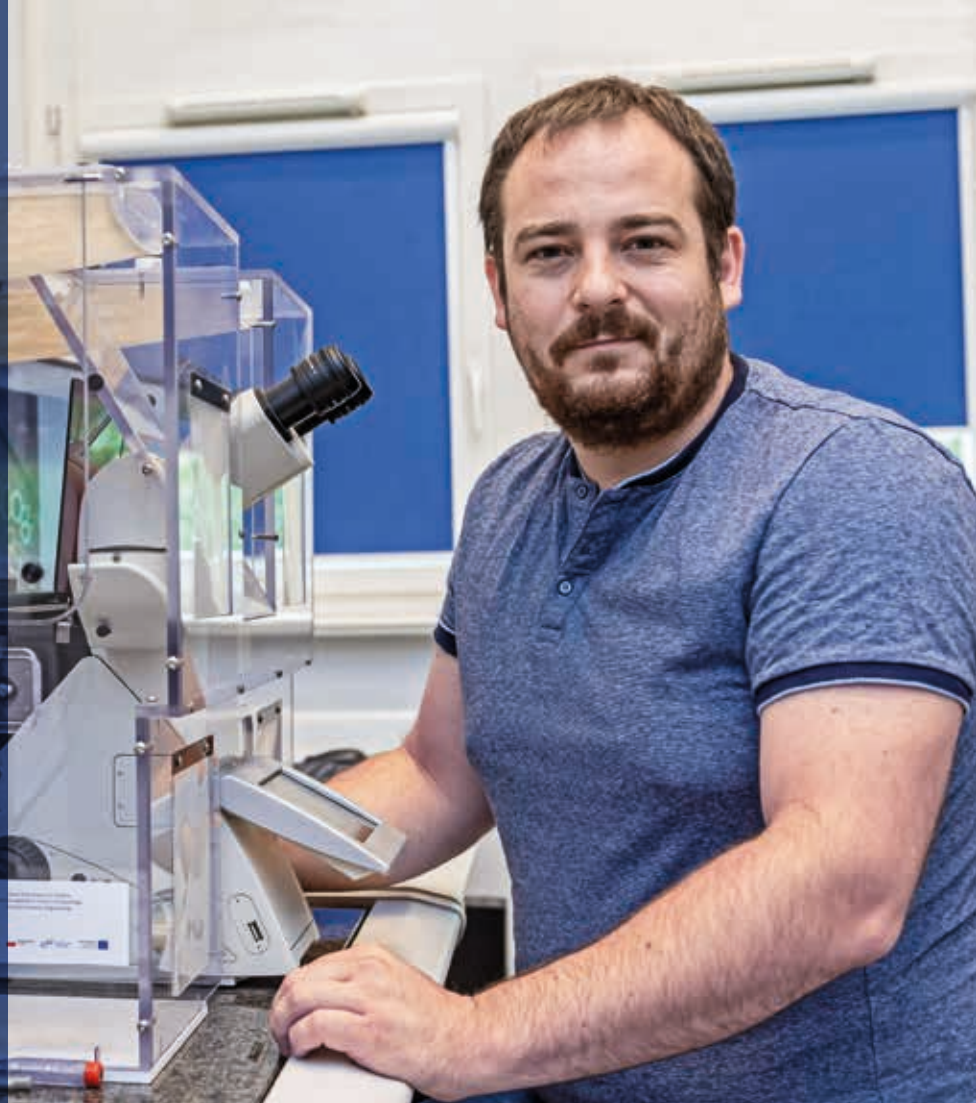
**KB:** Czyli państwa metody są już stosowane przez placówki służby zdrowia?

**MP:** Bardzo intensywnie nad tym pracujemy i wierzymy, że w niedługim czasie będzie to możliwe. Wyniki naszych badań są jak dotąd bardzo obiecujące. Wspólnie z lekarzami, np. z Dolnośląskiego Centrum Onkologii we Wrocławiu, realizujemy projekt, który skupia się na analizie nowotworów piersi. Inny projekt prowadzimy z Uniwersytetem Medycznym w Łodzi. W tym przypadku skupiamy się na neutropenii, czyli chorobie, która prowadzi do spadku liczby neutrofilów (komórek układu odpornościowego) we



Dr hab. **Marcin Poręba** jest chemikiem pracującym na Politechnice Wrocławskiej. W 2014 r. otrzymał stopień naukowy doktora w dziedzinie nauk chemicznych (promotor: prof. Marcin Drag). W 2015 r. jako pierwszy naukowiec z Polski otrzymał prestiżowe stypendium naukowe Marie Skłodowska-Curie Global Fellowship w programie Horyzont 2020. W ramach tego stypendium w latach 2016–2018 zrealizował staż podoktorski w Sanford Burnham Prebys Medical Discovery Institute w San Diego (USA) w laboratorium prof. Guya Salvesena, światowego autorytetu w dziedzinie badania mechanizmów śmierci komórki. Po powrocie na Politechnikę Wrocławską w 2020 r. otrzymał stopień naukowy doktora habilitowanego w dziedzinie nauk chemicznych.

Dr Marcin Poręba jest autorem ponad 50 artykułów naukowych w recenzowanych czasopismach zagranicznych z listy filadelfijskiej. W trakcie swojej pracy badawczej był wielokrotnie nagradzany za osiągnięcia naukowe. Otrzymał: Nagrodę Komitetu Chemii Analitycznej PAN za rozprawę habilitacyjną (2021), Nagrodę Polskiego Towarzystwa Chemicznego za habilitację (2021), Nagrodę Rektora Politechniki Wrocławskiej (2019, 2017), Nagrodę Uniwersytetu Zachodniej Australii (2019), stypendium Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego dla wybitnych młodych naukowców (2017) i doktorantów (2013), stypendium Start Fundacji na rzecz Nauki Polskiej (2014, 2013). Obecnie dr Marcin Poręba kieruje czterema projektami badawczymi z Narodowego Centrum Nauki oraz Narodowego Centrum Badań i Rozwoju.



krwi. Staramy się współpracować z lekarzami i wdrażać nasze badania do diagnostyki, bo na tym polega ich sens.

Spersonalizowana diagnostyka jest już prowadzona w oparciu o metody genetyczne i na tym polu notowane są duże sukcesy. Natomiast moja działalność służy zrozumieniu działania organizmu i choroby, ale od innej strony, czyli z perspektywy aktywności poszczególnych enzymów. W tym sensie obie wymienione metody są komplementarne, będą mogły być stosowane razem z badaniami genetycznymi – by tworzyć kolejną oś czy kolejny wymiar rozumienia choroby. Oczywiście chciałbym, żeby nasze metody stały się równie popularne, jak badania genetyczne.

**KB:** Skoro pana badania pośrednio dotyczą nowotworów, chciałem zapytać, czy śledząc światowe doniesienia na temat tej choroby, można mieć więcej nadziei na jej pełną wyleczalność.

**MP:** To jest bardzo ciekawe zagadnienie, bo w zasadzie z biologicznego punktu widzenia większość nowotworów jest wyleczalna. Natomiast główne pytanie dotyczy tego, kiedy je diagnozujemy i czy nie robimy tego zbyt późno. Niestety w przypadku nowotworów jesteśmy notorycznie spóźnieni z diagnozą. Dlatego kładzie się dziś tak duży nacisk na badania genetyczne. Otrzymujemy określenie prawdopodobieństwa tego, czy choroba się rozwija

albo w jakim stopniu się rozwinie – nawet jeśli jej jeszcze nie ma.

Owe badanie genetyczne jest takim najwcześniejszym testem sprawdzającym prawdopodobieństwo wystąpienia nowotworu. My staramy się później wprowadzić właśnie uzupełnienie tych badań. Zatem jeżeli badania genetyczne przewidują, że jakiś gen spowoduje mutację w jakimś białku i przez to owo białko będzie niefunkcjonalne, czyli nieaktywne albo wręcz przeciwnie – nadaktywne, to my naszą metodą faktycznie możemy określić stopień aktywności tego białka. Musimy więc śledzić wszystkie doniesienia naukowe dotyczące badań nad nowotworami. Gdy okazuje się, że genetycy zidentyfikowali nową mutację genu, który jest odpowiedzialny za produkcję białka, to wtedy takie białko jest naszym celem badawczym.

Badania, które wykonujemy, przebiegają dwutorowo. Pobieramy próbkę od pacjentów i analizujemy ją w laboratorium. Pierwszego typu analiz dokonujemy przy użyciu związków chemicznych, tzw. małowcząsteczkowych fluorescencyjnych markerów chemicznych. Mówią nam one właśnie o zaburzonej aktywności enzymów, które chcemy obserwować. Badania te wykonujemy np. za pomocą wysokorozdzielczego mikroskopu fluorescencyjnego lub specjalnych czytników fluorescencyjnych. Natomiast drugi typ naszych badań to cytometria masowa. Jest to kompletnie nowa technika, a nasze laboratorium na Politechnice Wrocławskiej jest jedynym w Polsce, które posiada cytometr masowy. W tym przy-

padku również skupiamy się na badaniach z wykorzystaniem markerów chemicznych, ale już za pomocą cytometru masowego. Tak więc te markery chemiczne, zamiast znacznika fluorescencyjnego, zawierają jeden ze stabilnych izotopów metali z grupy lantanowców. Dzięki temu możemy bardzo precyzyjnie powiedzieć, jaka jest ilość i aktywność enzymu w pojedynczej komórce, spośród milionów komórek, które analizujemy. Co więcej, dzięki cytometrii możemy zbadać nawet 40 enzymów w tym samym czasie, co jest niemożliwe przy wykorzystaniu mikroskopii fluorescencyjnej, gdzie możemy analizować jedynie 4–5 enzymów jednocześnie.

**KB: Odebrał pan odznaczenie państwowe za walkę z pandemią COVID-19. Na czym dokładnie polegała pana działalność?**

**MP:** To jest bardzo ciekawa sytuacja, ponieważ wspomniane odznaczenie odebrałem za pracę wykonaną w latach 2013–2015. Robiłem wtedy doktorat w laboratorium prof. Marcina Drąga. Razem z nim i dr Pauliną Kasperkiewicz – wtedy też doktorantką – opracowaliśmy metodę, która pozwala na bardzo dokładną analizę tzw. miejsca aktywnego każdego enzymu proteolitycznego. Wyobraźmy sobie, że enzym jest zamkiem. Stworzyliśmy metodę chemiczną, która pozwala bardzo szybko dopasować klucz do tego zamka. Gdy znamy miejsce aktywne enzymu, mamy otwartą drogę, by stworzyć sondy chemiczne do badania tego enzymu. Kiedy pojawił się wirus SARS-CoV-2, okazało się, że są w nim dwa enzymy proteolityczne, które są istotne dla jego wirulencji i inwazyjności. A my mieliśmy już gotową metodę, żeby szybko zmapować miejsce aktywne owych enzymów w tymże wirusie. Nasza metoda w odniesieniu do koronawirusa znalazła rozwinięcie przy tworzeniu narzędzia do testowania. Tak więc mimo że pracowałem nad tą metodą w latach 2013–2015, to gdy pojawił się SARS-CoV-2, została ona błyskawicznie wykorzystana przez prof. Marcina Drągę i jego grupę badawczą do stworzenia nowych sond chemicznych pozwalających badać enzymy proteolityczne koronawirusa.

W związku z tymi badaniami otrzymaliśmy również grant badawczy z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju w ramach konkursu „Szybka ścieżka – koronawirusy”. Na tym polu moja grupa badawcza zajmuje się analizą krwi ozdrowieńców. Wykorzystujemy w tym celu wspomnianą cytometrię masową, po to, żeby dokładnie zbadać system immunologiczny. Poszukujemy odpowiedzi na pytania, czy po przebyciu COVID-19 system immunologiczny wraca do formy i czy jest to skorelowane z przebiegiem choroby, a także jaką funkcję w tym procesie pełnią enzymy proteolityczne. Kolejnym naszym zadaniem badawczym jest pomiar stężenia przeciwciał, dzięki czemu stworzymy algorytm, by jak najszybciej identyfikować „najlepszych” ozdrowieńców, którzy mogą być donorami osocza dla ludzi zakażonych.

**KB: Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego realizuje cykl konferencji poświęcony roli koalicji nauki z biznesem i roli**

**innowacji w reformie służby zdrowia. Wiem, że zna pan główne tezy tych spotkań. Jak je pan ocenia?**

**MP:** Absolutnie zgadzam się z tezą, że nauka powinna być autonomiczna i nie może podlegać doraźnie rozumianej aplikacyjności. Podczas państwa debaty padła teza, że często pojawia się presja na szybkie opublikowanie określonych wyników badań ze strony różnych interesariuszy – władz wydziału, polityków czy biznesu. Tak się nie da robić nauki. Wymaga ona bowiem długofalowego podejścia. Tym bardziej, że co do zasady jej ustalenia nie powinny zaspokajać potrzeb określonych grup interesu, tylko służyć całemu społeczeństwu. Zgadzam się również z poglądem, że kluczowe jest dzisiaj dalsze umiędzynarodowienie badań, włączanie się do zespołów międzynarodowych, praca w zagranicznych ośrodkach. Są to ważne tezy, szczególnie dla młodych uczonych, a ich wartość jest szczególnie, bo wypowiedają je uznane autorytety naukowe, jak np. prof. Janusz Bujnicki.

**KB: Podczas pandemii uczeni – na czele z reprezentantami biologii, chemii i nauk ścisłych – stali się kluczowymi postaciami na największych medialnych frontach.**

**MP:** Mam wrażenie, że nigdy wcześniej naukowcy i nauka nie byli obecni w powszechnych mediach na tak wielką skalę. Chciałbym zwrócić uwagę na jeden zasadniczy fakt. Myślę, że żaden z naukowców nie bierze pod uwagę tego, że będzie musiał występować przed kamerami, tłumaczyć ludziom zawiłości swojej dyscypliny. Dotychczas po prostu skupialiśmy się na swojej działalności, na swoim obszarze badawczym.

Równocześnie w dobie COVID-19 nastąpiła ogromna mobilizacja i zjawisko bez precedensu – ogromna współpraca naukowców reprezentujących różne dyscypliny. I każda z tych dyscyplin ma swoją reprezentację w przekazie medialnym. Eksperci mówią o wynikach badań biologicznych, które skupiają się na mRNA, na enzymach, na układzie odpornościowym, ale także o społecznych czy psychologicznych konsekwencjach pandemii.

Z tym wszystkim wiąże się też inna kwestia. Wzrasta świadomość społeczeństwa, które poniekąd dzięki koronawirusowi zrozumiało, że pieniądze przeznaczone na badania podstawowe zwracają się w postaci środków niezbędnych do walki z przeciwnościami takimi jak koronawirus. Badania podstawowe mają to do siebie, że czasem nagle i nieoczekiwanie stają się podstawą nowych narzędzi, rozwiązujących poważne problemy ludzkości. Nasza politechnika była chyba jednym z pierwszych miejsc w Polsce, w którym zaczęto produkować maski, niezbędne w związku z eskalacją pandemii.

Oczywiście sama obecność naukowców w mediach i ich wola oraz talent do przekazania wiedzy nie wystarczą. Żeby przykładowo zrozumieć działanie szczepionek mRNA, trzeba rozwinąć pewien aparat poznawczy, a to nie zawsze jest możliwe, ale też nie zawsze potrzebne. Nie każdy może kończyć w liceum klasę o profilu biologiczno-chemicznym, nie każdy musi studiować nauki przyrodnicze. Jeżeli ktoś nie rozumie, jaki jest wpływ na





© KAMIL BROSZKO

**Marcin Poręba i Jan Krzysztof Duda, nominowani do tytułu Młodego Promotora Polski, podczas Gali „Teraz Polska”; Pałac Prezydencki w Warszawie, czerwiec 2021 r.**

organizm szczepionki mRNA, to oczywiście może się jej bać. A lęk jest jednym z powodów narastania hejtu.

**KB:** Jak ocenia pan odpowiedź krajowych instytucji finansujących naukę, czyli de facto państwa polskiego, na potrzebę finansowania badań związanych z COVID-19?

**MP:** Instytucje zareagowały dość szybko. Nasz zespół również pracuje dzięki finansowaniu z grantów Narodowego Centrum Badań i Rozwoju, przyznawanych w ramach konkursu „Szybka ścieżka – koronawirusy”. Do decyzji, żeby przyznać dodatkowe środki na granty i szybkie procedury konkursowe, nie można mieć zastrzeżeń. Natomiast osobnym problemem jest niewydolność administracji instytucji naukowych i przestoje związane z obsługą samych grantów. To są typowe krajowe problemy, które oczywiście mieliśmy już wcześniej.

**KB:** A czy przy okazji większej intensywności relacji pomiędzy ośrodkami władzy politycznej i nauki utrwali się jakiś nowy trend lepszej współpracy i wzajemnego zrozumienia?

**MP:** Chciałbym, żeby ten trend się utrzymał. Współpraca między nauką, medycyną, administracją i władzami państwowymi jest bardzo potrzebna. Teraz przy ministrze zdrowia działa specjalnie powołana rada konsultacyjna. Obecny minister zdrowia nie jest lekarzem, tylko menedżerem, ekonomistą. I nie musi być lekarzem. Ważne, aby politycy potrafili się otaczać ludźmi rzeczywiście mądrymi, a nie klakierami. Ważne, żeby zauważyli, że naukowcom można zaufać. A z tym wiąże się projekt upraszczania procedur grantowych i prawa zamówień publicznych, które w obecnym kształcie mocno przeszkadza nauce. Aby skutecznie walczyć z koronawirusem, wprowadzono ustawę, która de facto znosi konieczność zamówień publicznych. To był strzał w dziesiątkę. Nie da się inaczej usprawnić nauki i szybko reagować na sytuację. Jeżeli ten trend odchodzenia od zawiłych procedur się utrzyma, będzie to miało pozytywny skutek, nie tylko w aspekcie naukowym, ale też społecznym.

**KB:** Wspomniany wcześniej postulat umiędzynarodowienia nauki jest już dziś chyba coraz szerzej realizowany. Czego jeszcze brakuje, by młodzi polscy uczeni mogli uwolnić swój potencjał, a nasza nauka – znaleźć się w światowej awangardzie?

**MP:** W kwestii umiędzynarodowienia – nie ma już żadnych granic. Każda osoba zajmująca się nauką i odpowiednio zmotywowana znajdzie odpowiedni grant i ośrodek zagraniczny, który ją przyjmie. I sobie poradzi, bo okazuje się, że nasza edukacja, od tej wczesnoszkolnej aż po liceum i studia wyższe, daje nam dobre podstawy do tego, żeby rozbudowywać naukowy aparat poznawczy – w szczególności w dyscyplinach technicznych – i konkurować z uczonymi z innych krajów. To samo dotyczy również popularnej ścieżki kariery, w ramach której po doktoracie wyjeżdża się na kilka lat za granicę, aby zdobyć wiedzę i doświadczenie naukowe, a następnie wraca do kraju, by tworzyć własne laboratorium. Pracując w Polsce, można korzystać z tutejszych programów grantowych, ale także ze środków Unii Europejskiej i innych instytucji międzynarodowych przeznaczonych na naukę. Więc w tym sensie zmiana, która dokonała się w ostatnim dziesięcioleciu, jest potężna.

Natomiast w aspekcie „wykonawczym” niewiele się zmieniło. To, co było główną bolączką polskiej nauki, jeszcze się pogłębia – brakuje wykwalifikowanej administracji, która pomagałaby młodym aplikować o granty i realizować je w rzetelny sposób. Pod tym względem Zachód ma nad nami ogromną przewagę.

Młodzi polscy naukowcy poradzą sobie z badaniami, również na poziomie międzynarodowym. Potrzebujemy jednak większej pomocy administracji w kwestii aplikowania, realizowania i rozliczania grantów. Nawarstwia się wokoło nich coraz więcej przepisów, procedur, norm i żaden uczony nie poradzi sobie z równoczesną pracą badawczą, tworzeniem publikacji i pracą administracyjną przy grantach. Mówiąc to, staram się przedstawić ogólną sytuację młodych ludzi nauki w Polsce, bo akurat na mojej uczelni rektor prof. Arkadiusz Wójs i dziekan Wydziału Chemicznego prof. Piotr Młynarz doskonale rozumieją, że aby liczyć się w europejskiej i światowej nauce, trzeba postawić na młodych. A żeby tego dokonać, trzeba powiększać, szkolić i dbać o zespół ludzi, który z kolei pomaga młodym naukowcom aplikować o granty, realizować je, rozliczać i raportować. Młodzi naukowcy pozostawieni bez realnego wsparcia administracyjnego w pewnym momencie stają się przeciążeni pracą i zamiast skupiać się na nauce – wypełniają formularze. To zawsze rodzi frustrację i znacząco obniża motywację do pracy. Może to zabrzmieć jak banał, ale bez sprawnej administracji polska nauka nie ma szans, by dogonić świat.





# Twórzmy innowacje w medycynie!

Kluczowym czynnikiem zrównoważonego wzrostu gospodarczego i jakości życia jest nowoczesna, szeroko dostępna i przystępna cenowo opieka zdrowotna. Nowe technologie czy sposoby organizacji są niezbędne, aby likwidować luki w systemie ochrony zdrowia.

**D**laczego warto tworzyć innowacyjne rozwiązania w medycynie i je promować? Czego potrzebujemy, aby podnosić poziom innowacyjności polskiej medycyny? W jaki sposób upowszechniać innowacje w medycynie, aby przyczyniały się do poprawy jakości życia ludzi? Jakiego rodzaju innowacje wpłyną w największym stopniu na zdrowie i jakość życia w przyszłości? Na powyższe pytania podczas dyskusji panelowej pt. „Innowacje z Godłem »Teraz Polska«”, zorganizowanej przez Fundację Polskiego Godła Promocyjnego w ramach III Kongresu „Zdrowie Polaków”, odpowiadali laureaci Konkursu „Teraz Polska”: przedstawiciele firm technologicznych tworzących innowacyjne produkty do stosowania w medycynie oraz lekarze-naukowcy, którzy owe innowacje wykorzystują w praktyce, a także prowadzą własne badania naukowe, stanowiące przyczynek do następnych wynalazków.

W dyskusji udział wzięli (w kolejności alfabetycznej):

**Paweł Elbanowski**, członek zarządu, dyrektor zarządzający StethoMe Sp. z o.o.; dr inż. **Dawid Nidzworski**, prezes GeneMe Sp. z o.o., wiceprezes SensDx SA; **Krzysztof Przybył**, prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego „Teraz Polska”;

**prof. dr hab. n. med. i n. o zdr. mgr zarz. Piotr Skarżyński**, członek zarządu Centrum Słuchu i Mowy Medincus Sp. z o.o.; **prof. dr hab. n. med. Piotr Suwalski**, kierownik Kliniki Kardiologii CSK MSWiA w Warszawie; **prof. dr hab. n. med. Wojciech Zgliczyński**, zastępca dyrektora ds. kadr medycznych, prorektor Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego. Moderatorem dyskusji był dr **Jarosław Górski**, adiunkt WNE UW, doradca prezesa Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego.

Polska zajmuje 39. miejsce w światowym rankingu innowacyjności i 26. wśród krajów europejskich. Według Globalnego Indeksu Innowacyjności poziom innowacyjności medycyny w Polsce jest porównywalny do całokształtowego wskaźnika innowacyjności w naszym kraju. Nie jest to wynik zadowalający, aczkolwiek pozytywnym jest z pewnością podwojenie w ostatnich pięciu latach poziomu eksportu sprzętu medycznego, którego wartość obecnie wynosi 2,5 mld euro.

Innowacyjność w medycynie jest jednym z kluczowych warunków poprawy jakości życia obywateli, zwiększania dostępności

oraz przystępności cenowej opieki zdrowotnej. Nowe technologie czy sposoby organizacji opieki zdrowotnej są niezbędne, aby likwidować luki w systemie ochrony zdrowia. Niezbędne jest zatem wyznaczenie strategicznych celów oraz dobre zidentyfikowanie i zdefiniowanie potrzeb społecznych.

Według Krzysztofa Przybyła innowacje w medycynie stanowią papierek lakmusowy stopnia zaawansowania rozwoju gospodarki opartej na wiedzy. – *Nie ulega wątpliwości, że zawsze mieliśmy utalentowanych naukowców i inżynierów. Kiedy potencjał technologiczny polskiej nauki i gospodarki podniósł się, zaczęliśmy tworzyć innowacje, które nie ustępują światowym rozwiązaniom, a czasami są absolutnie pionierskie w swojej dziedzinie, również w skali międzynarodowej, jak choćby Światowe Centrum Słuchu w Kajetanach, które jest dziełem życia prof. Henryka Skarżyńskiego. Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego ma w swoim statucie wpisane zadanie promowania polskich osiągnięć, w szczególności na polu przedsiębiorczości czy nauki. Dlatego nagradzamy najlepsze polskie produkty, usługi i innowacje oraz promujemy twórców tych rozwiązań* – mówi Przybył. – *Chciałbym potwierdzić, że Godło „Teraz Polska” pomaga nam w działalności, bo wpływa na rozpoznawalność naszej marki, a pacjentom daje gwarancję jakości i rzetelności naszych procedur* – podkreśla prof. Piotr Skarżyński. – *Ważne jest mówienie o wynalazkach i ich nagradzanie tak, jak robi to Fundacja „Teraz Polska”, dzięki której wzmocnił się nasz wizerunek na arenie krajowej i międzynarodowej* – potwierdza dr inż. Dawid Nidzworski.

**Czego potrzebujemy, aby podnosić poziom innowacyjności polskiej medycyny, ale także upowszechniać znane nam zdobycze tej dyscypliny tak, by docelowo przyczyniały się one do poprawy życia pacjentów i społeczeństwa?**

Aby podnosić poziom innowacyjności rodzimej medycyny, trzeba przede wszystkim prawidłowo rozpoznać potrzeby społeczne i wyznaczyć cele strategiczne. Dopiero potem należy tworzyć zespoły innowatorów – naukowców, lekarzy i współpracujących z nimi inżynierów – w czym może pomóc wymiana doświadczeń i obserwacja dokonań w innych dyscyplinach. – *Innowacje należy dostosowywać do potrzeb. Tak robimy w Azji Środkowej, gdzie występuje wiele schorzeń w zaawansowanym stadium z powodu niedostatecznego systemu opieki zdrowotnej. Tam stosujemy rozwiązania, których w Polsce już nie potrzeba* – podkreśla prof. Piotr Skarżyński.

Bez innowacyjności nie ma postępu w medycynie, czyli w nauce medycyny, technologiach wytwarzania produktów i preparatów leczniczych, a także w diagnostyce i terapiach. – *Bardzo ważne jest stałe podnoszenie kwalifikacji lekarzy, co następuje dzięki kursom online organizowanym przez Centrum Medyczne Kształcenia Podyplomowego, dzięki którym lekarze mogą uzupełniać wiedzę w swoim miejscu zamieszkania czy zatrudnienia. Równie istotne są zajęcia praktyczne, które można realizować w centrach symulacji poszczególnych procedur medycznych. W Kajetanach działa ośrodek szkoleniowy wykorzystujący naturalne preparaty – kadawery, czyli*

*części ciała mrożone w temperaturze do minus 30 stopni C tuż po śmierci* – zwraca uwagę prof. Wojciech Zgliczyński.

Nagrodzony Godłem „Teraz Polska” elektroniczny stetoskop StethoMe został opracowany przez zespół inżynierów akustyków i informatyków specjalizujących się w sztucznej inteligencji. Jest to urządzenie do zdalnego monitoringu i samobadania w domu. Rozwiązanie opiera się na algorytmach sztucznej inteligencji, które automatycznie identyfikują nieprawidłowe dźwięki w układzie oddechowym, jak świsty, furczenia czy rżenia. W ten sposób można zweryfikować w domu, czy wystąpiły symptomy pogorszenia stanu zdrowia, czy trzeba włączyć leki lub zwiększyć ich dawkę. Urządzenie przesyła dane do lekarza, który również może ocenić, kiedy powinien interweniować.

– *Trzeba mieć wielkie pokłady cierpliwości i wytrwałości, bo jest wiele pomysłów na innowacje, ale tylko niektóre udaje się wdrożyć. Dlatego trzeba być gotowym na potknięcia, a nawet porażki. Ale dzięki gotowości świata lekarskiego do współpracy mieliśmy dostęp do pacjentów i mogliśmy nasze urządzenie testować, doskonalić i wdrożyć. Równie ważne jest pozyskanie finansowania typu venture capital czy dotacji pochodzących ze środków unijnych, jakimi dysponuje Narodowe Centrum Badań i Rozwoju. Dzięki grantowi mogliśmy przejść najbardziej ryzykowne fazy projektu, aby w finale powstało StethoMe* – przekonuje Paweł Elbanowski.

Według Narodowego Testu Zdrowia Polaków, w ramach którego przeprowadzono badanie ankietowe na próbie 400 tys. respondentów, nisko oceniamy swój stan zdrowia, bo na 62 punkty w 100-stopniowej skali. Mamy problemy z nadwagą, nie stosujemy się do zaleceń zdrowego stylu życia i odżywiania, za często sięgamy po używki, za mało jemy warzyw i owoców, a za dużo przyjmujemy suplementów, nie korzystamy z badań profilaktycznych czy przesiewowych. Co ważne, Polacy w większości deklarują, że chętniej sięgaliby po porady lekarskie, gdyby nie bariery finansowe i trudność z dostępem do lekarzy specjalistów. Uważamy, że nie stać nas na zdrowe życie.

– *Ważna jest nie tylko długość życia, ale przede wszystkim jego jakość. O tę jakość, a nie o przeżycie za wszelką cenę, często pytają kardiochirurgów pacjenci* – podkreśla prof. Piotr Suwalski. Nowoczesne technologie robotyczne w medycynie umożliwiają zastosowanie małoinwazyjnych procedur medycznych, co wiąże się z krótką rekonwalescencją pacjenta oraz szybkim dojściem do pełnej sprawności i dobrej jakości życia. Powinien przy tym ulec zmianie system szacowania kosztów procedur medycznych. W wielu krajach europejskich bierze się pod uwagę całkowity koszt dla całego systemu związany z daną procedurą medyczną. – *Nasza klinika wraz z ZUS i Agencją Oceny Technologii Medycznych zaczęła w ten sposób analizować realny koszt operacji robotycznych i okazuje się, że takie operacje są wręcz korzystne dla systemu, bo pacjenci wracają do zdrowia i do pracy, nie korzystają z zasiłków chorobowych, a wytwarzają dochód. Jeśli w ten sposób ocenialibyśmy realny wpływ nowych technologii na obniżenie kosztów dla systemu, to odważniej inwestowalibyśmy w innowacje,*

a lekarze mogliby z nich korzystać w większym stopniu – zauważa prof. Suwalski.

Popularyzacja nowych technologii, wskazywanie ich przewag i możliwości w terapii oraz korzyści ekonomicznych dla całociowego systemu to droga do ich upowszechniania. Jednocześnie trzeba pamiętać, że każda nowa technologia nie będzie mogła być rozwiązaniem tanim. Pierwszy komputer czy telefon komórkowy również sporo kosztowały. Upowszechnienie tych rozwiązań spowoduje obniżkę cen do poziomu porównywalnego z procedurami istniejącymi już na rynku. – *Zauważmy, jak drogie na początku pandemii COVID-19 były testy PCR. Cenę wygenerował potężny popyt, przewyższający znacznie podaż. Dzisiaj można już kupić taki test po cenach odczynnikowych* – twierdzi dr inż. Dawid Nidzworski. – *Szybka diagnoza i zareagowanie na ewentualne zakażenie oraz szybkie wdrożenie procedury izolacji pozwolą uchronić następne osoby przed zarażeniem i zmniejszyć koszty opieki ponoszone przez system* – dodaje.

### **Jakie są innowacyjne trendy w medycynie i jakie rodzaje innowacji wpłyną w największym stopniu na zdrowie i jakość życia ludzi w przyszłości?**

Ważnym czynnikiem zmniejszania kosztów opieki medycznej jest rozwój medycyny prewencyjnej, bo pod każdym względem lepiej zapobiegać niż leczyć. Lekarze powinni przekonywać pacjenta do profilaktyki, gdyż bez jego udziału nie osiągniemy innowacyjności w tym obszarze. Prof. Wojciech Zgliczyński przedstawia ten problem na przykładzie rejestru chorób rzadkich. – *W przypadku akromegalii, czyli choroby wywołanej guzem przysadki wydzielającej hormon wzrostu, w Polsce dochodzi do samorozpoznania choroby u 12 proc. pacjentów, podczas gdy w Europie – zaledwie u 2–3 proc. Dzieje się tak dzięki aktywnemu udziałowi pacjenta w prewencji i samoobserwacji stanu zdrowia* – tłumaczy profesor.

Kolejnym czynnikiem utrzymania ludzi w dobrym zdrowiu jest rehabilitacja, która pomaga utrwalić efekty lecznicze uzyskane operacyjnie. – *Jeżeli już trzeba podjąć leczenie operacyjne, to z pew-*

*nością robotyka jest technologią minimalizującą negatywne skutki dla pacjenta i zwiększającą możliwości chirurga. Nie należy przy tym zapominać o opiece nad pacjentem po terapii i o wdrożeniu prawidłowej rehabilitacji, aby utrzymać efekty lecznicze. System opieki rehabilitacyjnej również wymaga usprawnienia i dofinansowania* – mówi prof. Piotr Skarżyński.

Epidemia koronawirusa wymusiła liczne zmiany, przyspieszyła rozwój wielu technologii (np. e-pacjent czy teleporady). Zmieniło się też myślenie pacjentów, którzy zyskali świadomość, ile mogą zrobić dla poprawy swojego stanu zdrowia. – *Zastosowanie robota w kardiologii spowodowało, że w dobie pandemii koronawirusa mogliśmy się zająć pacjentami kardiologicznymi, gdyż operacje robotyczne nie wymagały intensywnej terapii i respiratorów, które były zajęte przez pacjentów chorujących na covidowe zapalenie płuc. Dzięki robotom przekonał się, że nawet po dużej, skomplikowanej operacji pacjent może opuścić szpital w ciągu dwóch dni, a po tygodniu – wrócić do pracy. Dzięki rozwojowi Internetu i technologii 5G marzenia o operacjach na odległość stają się rzeczywistością. Na równi z technologią robotyczną rozwijają się technologie cewnikowe, czyli zabiegi przez skórę lub przez naczynia krwionośne. Działając w połączonych zespołach internistów i chirurgów, możemy tą drogą wykonać zabiegi naprawcze w wielu narządach wewnętrznych* – podkreśla prof. Suwalski.

Rzeczywistość i teledyagnostyki sprawi, że pacjent będzie mógł w domu monitorować stan swojego zdrowia za pomocą różnego rodzaju testów. Paweł Elbanowski zwraca uwagę, że aby utrzymać się w dobrym zdrowiu, należy zmienić wyposażenie apteczki domowej. – *Nie wystarczy nam już termometr i ciśnieniomierz, który jeszcze 20 lat temu był w domu rzadkością. Następnym domowym urządzeniem medycznym powinien być elektroniczny stetoskop* – twierdzi. Kierunkiem rozwoju powinna być szybka, domowa dyagnostyka i możliwość komunikacji z lekarzem w stanie realnej konieczności. – *W ten sposób odblokujemy system opieki medycznej, otwierając go dla najcięższych przypadków* – podkreśla dr inż. Dawid Nidzworski.



## **Podsumowanie Krzysztofa Przybyły**

**P**rzez 30 lat istnienia Konkursu „Teraz Polska” wzięło w nim udział 5 tys. polskich firm, reprezentujących wszystkie branże krajowej gospodarki, spośród których Godłem „Teraz Polska” nagrodzono łącznie ponad 750. Podstawowym kryterium oceny jest jakość. O ile w latach 90. XX w. w Konkursie startowały przeważnie firmy wytwarzające produkty szybko zbywalne (do których należą artykuły spożywcze czy środki czystości), to w ostatnich latach większość

uczestników zgłasza produkty i usługi zaawansowane technologicznie, o wysokim stopniu innowacyjności. Jest to oczywiście odzwierciedlenie stanu polskiego biznesu, który zwiększa swoją konkurencyjność i innowacyjność dzięki rozwojowi gospodarki opartej na wiedzy.

Aby innowacje w medycynie przyczyniały się do poprawy jakości życia ludzi, potrzebna jest ścisła współpraca naukowców, biotechnologów, lekarzy i inżynierów, jak to miało miejsce w przypadku laureatów Godła „Teraz Polska” – firm

StethoMe czy GeneMe. Ponadto potrzeba systemu ustawicznego szkolenia lekarzy oraz, oczywiście, finansowania nowoczesnych terapii. Pacjent powinien mieć świadomość nowych możliwości leczenia, ale przede wszystkim powinien znać wagę profilaktyki, biorąc w niej aktywny udział. Obywatel w dobrym stanie zdrowia oznacza mniej wydatków państwa na leczenie, rehabilitację oraz na zasiłki chorobowe. Zaslugujemy na życie dobrej jakości, dlatego twórzmy innowacje w systemie ochrony zdrowia.





© ARCHIWUM RENATY KAŁUŻY

# Sport jest piękny, bo przynosi wiele niespodzianek

- Zawsze byłam aktywna, bo moi rodzice bardzo zwracali uwagę na kulturę fizyczną. Od dziecka chodziliśmy w góry, jeździliśmy na nartach, graliśmy w piłkę nożną, biegaliśmy.
- W 2007 r. złamałam kręgosłup. Sportem zawodowym zainteresowałam się po wypadku. Po prostu siedziałam na wózku i mnie roznosiło.
- Na początku jeździłam fatalnie, przegrywałam wszystkie zawody, miałam kiepskie wyniki.
- Każdy medal motywuje mnie do jeszcze cięższej pracy.
- Nas nie ma w mediach, nikt o nas nie rozmawia, mało osób wie, że istnieje coś takiego jak kolarstwo ręczne.

Z **Renatą Kałużą** rozmawia Kamil Broszko.

**Kamil Broszko:** Pani droga do mistrzostwa sportowego zaczęła się od dziecięcych marzeń o sporcie?

**Renata Kałuża:** Szczerze mówiąc, nigdy jako dziecko czy młoda osoba nie myślałam o sporcie w kategoriach profesjonalnych. Zawsze byłam aktywna, bo moi rodzice bardzo zwracali uwagę na kulturę fizyczną. Od dziecka chodziliśmy w góry, jeździliśmy na nartach, graliśmy w piłkę nożną, biegaliśmy. Jednak zawsze była to działalność rekreacyjna, dla przyjemności. Sportem zawodowym zainteresowałam się po wypadku. W 2007 r. złamałam kręgosłup, a później, również w celach związanych z rehabilitacją, zaczęłam szukać dyscypliny, która najbardziej by mi odpowiadała, dawała swobodę, niezależność, a zarazem nie kolidowała z moim urazem, pozwalała trenować

w dogodnej dla mnie pozycji, nie obciążała nierównomiernie organizmu. Tak właśnie odkryłam kolarstwo. Początkowo to była rekreacja, a może nawet bardziej – rehabilitacja. A później zaczęły się starty, pierwsze w maratonach i spotkaniach towarzyskich. Następnie zaczęłam szukać możliwości regularnego trenowania. W efekcie 10 lat temu poznałam mojego aktualnego trenera i po pewnym czasie rozpoczęły się regularne treningi, z rozpiskami na każdy dzień, a później pierwsze starty w zawodach, najpierw tych amatorskich, a z czasem również w najpoważniejszych zawodach zagranicznych w kolarstwie ręcznym. Od 2010 r. jestem w reprezentacji Polski. Dostałam propozycję od selekcjonera kadry, by jeździć z nimi na obozy, zawody i przekonać się, jak sobie poradzę. I ta przygoda trwa do dzisiaj.

**Renata Kałuża** – parakolarzka. Trenuje kolarstwo ręczne na rowerze typu handbike (klasa sportowa: WH3). Od 2010 r. jest zawodniczką kadry narodowej. Zdobyła m.in. złoty i srebrny medal Pucharu Świata oraz dwa srebrne medale mistrzostw świata w Kanadzie w 2013 r. W 2014 r. została mistrzynią świata w parakolarstwie (Greenville) oraz najlepszym polskim sportowcem niepełnosprawnym w plebiscycie „Przeglądu Sportowego”. W 2015 r. zwyciężyła w Pucharze Europy w kolarstwie ręcznym (Rzeszów). W 2016 r. brała udział w igrzyskach paraolimpijskich w Rio de Janeiro, na których zajęła 4. i 5. miejsce. W 2017 r. zdobyła srebro i brąz na mistrzostwach świata w Pietermaritzburgu w RPA, zaś w 2019 r. – srebro i brąz na mistrzostwach świata w Emmen w Holandii. 31 sierpnia 2021 r., reprezentując Polskę na paraolimpiadzie w Tokio, zdobyła brązowy medal w jeździe indywidualnej na czas.

**KB:** Ale to przejście do profesjonalizmu przyszło z czyjejś inspiracji czy wynikało z zupełnie indywidualnego pomysłu?

**RK:** To był mój własny plan. Nikim się nie inspirowałam. Mój mąż jest bardzo aktywny – chodzi w góry, wspina się, jest też ratownikiem górskim. Kierowaliśmy się też tym, że każde z nas potrzebuje rozwijać się w jakiejś dyscyplinie, w której czuje się dobrze. Ale to coraz mocniejsze wchodzenie w sport wynikało przede wszystkim z mojej wewnętrznej potrzeby. Po prostu siedziałam na wózku i mnie roznosiło. Bardzo potrzebowałam sportu.

**KB:** I gdy zaczynała pani z kolarstwem na poważnie, pod okiem trenerów, to oni od razu zauważyli, że jest potencjał? Że mają do czynienia z przyszłą medalistką i mistrzynią?

**RK:** Na początku jeździłam fatalnie, przegrywałam wszystkie zawody, miałam kiepskie wyniki. Natomiast mój trener od samego początku bardzo doceniał moje zaangażowanie i zdyscyplinowanie. Żadnego treningu nie odpuszczałam, ciągle dawałam z siebie więcej i więcej. Trener, mimo kiepskich wyników początkowych, był bardzo cierpliwy i wyrozumiały, zabierał mnie na zawody, żebym zdobywała doświadczenie. Uznał, że mój wielki zapał do sportu, moje emocje z nim związane i wysiłek, który wkładam, z czasem przyniosą rezultaty.

**KB:** W kolarstwie amatorskim i zawodowym obserwujemy niesamowity postęp techniczny. Jak ta sprawa wygląda w przypadku rowerów typu handbike?

**RK:** Podobnie – sprzęt niesamowicie ewoluuje. Bardzo ciężkie aluminiowe rowery sprzed kilku lat zostały zamienione na prawdziwe rakiety. Rowery są lekkie, bo wykonane z karbonu, a przy tym bardzo aerodynamiczne – zawodnicy zmienili pozycję z siedzącej na leżącą. Osprzęt jest taki sam jak w kolarstwie, czyli od zwykłych linek przeszliśmy teraz do sprzętu bezprzewodowego, zasilanego elektrycznie. Sprzęt ten jest na naprawdę wysokim poziomie. Rowery dla parakolarstwa są robione na wymiar. U nas nie ma wystandaryzowanych rozmiarów. Uzgadniamy je, bezpośrednio kontaktując się z producentem, który zbiera nasze parametry, mierzy nas, waży, a następnie konstruuje rowery, które są coraz lepsze, szybsze i lżejsze – co dla nas jest najważniejsze. Sprzęt jest teraz bardzo dobry. I niestety – bardzo drogi.

**KB:** Jak drogi?

**RK:** Ceny zaczynają się od 30–40 tys. zł za taki prawdziwy rower wyścigowy. W Szwajcarii czy Danii, gdzie produkowane są bardzo dobre rowery typu handbike, trzeba się liczyć z kosztem kilkunastu tysięcy euro. Pomijam już dodatki, osprzęt i koła.

**KB:** Osiąga pani sukcesy sportowe od 2014 r. Jak się pani czuje na podium? Czy odczucia związane ze zwycięstwem wiążą się wyłącznie z satysfakcją i motywacją? A może powodują lęk o to, czy uda się znów potwierdzić swoje mistrzostwo?



© ARCHIWUM RENATY KALUZY

**RK:** Każdy medal motywuje mnie do jeszcze cięższej pracy. Do tej pory udało mi się zdobyć na mistrzostwach świata jedno złoto, a później dużo srebrnych i brązowych medali. Więc cały czas marzę, żeby powtórzyć sukces i jeszcze raz założyć żółtą koszulkę. Po zdobyciu srebrnych czy brązowych medali – które przecież też są sukcesem – zawsze odczuwam niedosyt. Bo przecież mogłam zrobić więcej. Ale idzie kolejny rok, jest kolejna szansa, więc robię wszystko, aby jej nie zaprzepaścić. A samo podium to jest jedyna w swoim rodzaju nagroda, zwieńczenie ciężkiej pracy przez cały sezon albo kilka lat. Ale też pewnego rodzaju ulga, bo po zdobyciu medalu jest naturalny czas na odpoczynek. Odczucia związane ze staniem na podium są trudne do opisanie. To są niedające się z niczym porównać euforia, wdzięczność i radość, bo ja wiem, ile mnie to wszystko kosztowało. Sport to duże poświęcenie, bardzo duże zaangażowanie, nie tylko moje, ale też mojej rodziny i wielu osób z mojego otoczenia. Więc naprawdę liczę na to, że wystartuję w kolejnych igrzyskach i będę walczyć dalej. Jestem bardzo zmotywowana.

**KB:** Czyli w planie są dalsze sukcesy i pewnie znów nowy sprzęt. Tu chciałbym przejść do wątku sponsoringu. Jak on wygląda w sporcie paraolimpijskim?

**RK:** Ogólnie sport paraolimpijski jest sportem niszowym. Nie jest obecny w mediach tak silnie, jak zwykle dyscypliny olimpijskie, chociaż w tym roku akurat było lepiej niż podczas poprzednich olimpiad. Jeżeli chodzi o parakolarstwo, to sprawa naprawdę kiepsko wygląda. Nie mamy żadnego finansowania, poza stypendiami z Ministerstwa Sportu i Turystyki, ale te nie zawsze nam przysługują – trzeba spełnić odpowiednie kryteria, aby zostać stypendystą. W moim konkretnym przypadku sponsoring w ogóle nie istnieje. Kiedy wygrałam mistrzostwa świata w 2014 r., byłam bardzo zmotywowana; myślałam, że wszystko pójdzie z górki i że skoro zostałam mistrzynią świata, to przedstawiciele firm, do których się wcześniej zwracałam w sprawie sponsorowania, zaproponują mi jakieś wsparcie. Nic bardziej mylnego. Nie było żadnego odzewu, więc trochę się zniechęciłam i później już nie składałam żadnych papierów o sponsorowanie. W naszej kadrze też właściwie nikt nic nie dostaje, poza zwykłym stypendium i jakimiś drobnymi świadczeniami. Mogłam zacząć uprawiać mój sport i osiągać sukcesy dzięki mężowi, który jest lekarzem i dość dobrze zarabia. Inaczej

nie mogłabym startować, bo wyjazdy i sprzęt pochłaniają dużo pieniędzy. Później, kiedy już osiągałam wyniki, dostałam stypendium z Ministerstwa Sportu i Turystyki, ale też nie co roku, bo nie zawsze udawało mi się spełnić wszystkie kryteria. Oczywiście pieniądze ze stypendium w ogóle nie idą na życie, wszystko jest pompowane w sport. Od kilku lat mam jakieś dodatkowe źródła dochodu, ale ogólnie, jeżeli chodzi o sport paraolimpijski i naszą dyscyplinę, czyli parakolarstwo, to jest źle. Nie mamy żadnych zewnętrznych sponsorów.

**KB:** A mają państwo jakiś związek albo grupę inicjatywną zajmującą się sponsoringiem? Wydaje się, że bez zorganizowanych i proaktywnych działań nie może być mowy o sponsoringu.

**RK:** My podlegamy pod Polski Związek Sportu Niepełnosprawnych „Start”. Prezes Łukasz Szeliński tak naprawdę cały czas jest aktywny w pozyskiwaniu sponsoringu, współpracy z fundacjami itd. Tyle że on musi rozparcelować uzyskane pieniądze i przydzielić je do poszczególnych dyscyplin. A nasza grupa kolarska jest niewielka i „robimy” mało wyników. W tym roku tylko ja zdobyłam medale, w poprzednim roku – podobnie. A w lekkoatletyce mniej więcej jedna trzecia zawodników przywozi medale. Więc tak naprawdę wszystkie pieniądze – od sponsorów czy stowarzyszeń – są kierowane do grup, które mają szansę na najlepsze wyniki i zdobycie największej liczby medali. My jako kolarze sami nie występowaliśmy o dodatkowe wsparcie. Nasz trener w ogóle nie ogarnia tematu, nie jest zainteresowany takimi sprawami jak pozyskiwanie jakichś środków. Jeżeli sami o siebie nie zadamy, nie mamy szans, by zdobyć wsparcie. Mój kolega, z którym jeżdżę w zespole, Rafał Wilk, był żużlowcem, ma spore wsparcie i wielu sponsorów, ale sam mi powiedział, że gdyby nie znajomości, jeszcze z czasów poprzedniej dyscypliny, to tak naprawdę nikt nie byłby zainteresowany jakimkolwiek finansowaniem. Nas nie ma w mediach, nikt o nas nie rozmawia, mało osób wie, że istnieje coś takiego jak kolarstwo ręczne. Nie jestem osobą specjalnie aktywną w mediach społecznościowych, być może działania w tym obszarze byłyby pomocne, ale Facebook czy inne tego typu platformy nie są dla mnie naturalnym obszarem aktywności – czuję wobec nich pewien opór. Cały ten świat *social media* nie przemawia do mnie i może też przez to tracię. Zaś przede wszystkim – nie mam na to czasu.

**KB:** A dzisiejsi nastolatki, o czym mówią psychologowie i pedagodzy, spędzają zbyt wiele czasu przed ekranami. Mogłaby ich pani zachęcić, żeby zamiast tego poszli do lasu, potrenowali trochę?

**RK:** Jeżeli ktoś tego nie czuje i tego nie chce, to ciężko kogoś zmusić. Natomiast sport jest naprawdę genialny. Myślę, że warto spróbować i poczuć ten zew. Pobiegać po lesie, po plaży, poczuć, że wysiłek naprawdę pomaga w wielu kwestiach.

Na pewno ważnym argumentem jest utrzymanie wagi, formy, a przede wszystkim zdrowia. Ale też nasze problemy trochę maleją podczas uprawiania sportu – człowiek jest bardziej zmęczony, ma mniej czasu na myślenie, na roztrząsanie swoich spraw. Sport pomaga w radzeniu sobie ze wszystkimi problemami, bo polega na przełamywaniu barier. Najpierw uważamy, że nasze ciało nie poradzi sobie z jakimś wyzwaniem, ale ono sobie jednak radzi, i to doskonale. Kiedy odbywają się zawody i dochodzi do rywalizacji o najwyższe podium, to nieraz dokonujemy rzeczy, które potrafią nas zaskoczyć. Faktycznie w przypadku młodego pokolenia coraz mniej ludzi uprawia sport, ale nie mam jednoznacznej recepty, jak ich zachęcić do aktywności.

**KB:** A co doradziłaby pani tym, którzy są na początku drogi, trenują sport zawodowo, ale mają świadomość, że prawdziwy sukces będzie udziałem jakiegoś minimalnego promila całej tej sportowej społeczności? Mimo tego, że sukces jest tak niepewny, warto to robić?

**RK:** Oczywiście, że warto. Sport to jest przede wszystkim duży proces. Trzeba mieć wiele cierpliwości i wytrwałości. I nie tracić nadziei, bo nigdy nic nie wiadomo. Sport dlatego jest taki piękny, bo przynosi wiele niespodzianek. Nieraz nam się wydaje, że nie mamy szans, a później wygrywamy i uzyskujemy naprawdę niesamowite i przełomowe wyniki. Nigdy nie należy się poddawać. Pomimo tego, że czasami w sporcie, tak jak i w życiu, zdarzają się różne trudności. Dobrze jest mieć cel, dobrze o tym celu myśleć, marzyć, skupić się na nim. Nawet jeżeli sukces miałby przyjść za 10 czy za 15 lat, to trzeba do niego dążyć, nie załamywać się i pracować. Bo sport to ciężka praca. Zatem polecam cierpliwość, pracę i wiarę we własne siły. To, co w sporcie zawsze było najważniejsze, wciąż jest w nim kluczowe. Jeżeli są charakter, skupienie i pasja, to nic nie stanie na drodze do osiągnięcia wyników. I trzeba przede wszystkim kochać to, co się robi.

**KB:** Zawsze sobie coś wizualizujemy odnośnie przyszłości naszych dzieci. Chciałaby pani, żeby syn został kiedyś sportowcem?

**RK:** Chciałabym, żeby uprawiał sport. Nie jestem pewna, czy chciałabym, żeby był sportowcem, bo jednak jest to ciężki kawałek chleba, istnieje dużo trudnych aspektów, np. kwestie finansowe. Sport wyczynowy, wbrew popularnym przekonaniom, nie ma niestety zbyt wiele wspólnego ze zdrowiem. Widzę to po sobie, pojawiają się coraz to nowe bóle, odzywają się dawne kontuzje itd. Ale na pewno bardzo bym chciała, żeby syn uprawiał sport, żeby znalazł dyscyplinę, która będzie go pasjonować, nawet na poziomie amatorskim. I przede wszystkim – żeby się ruszał. Mam nadzieję, że będziemy dla niego, ja i mój mąż, jakąś inspiracją, bo my nie potrafimy żyć bez sportu, bez ruchu. Syn poniekąd jest na to skazany, bo w każde popołudnie albo ja zabieram go na rower, albo mąż na skały. Może przesiąknie, miejmy nadzieję.





# Teraz Polska sportowa

## Debata o roli sportu na 100 dni przed igrzyskami w Pekinie

27 października br. w Muzeum Sportu i Turystyki w Warszawie, na 100 dni przed zimowymi igrzyskami w Pekinie, odbyła się debata „Teraz Polska sportowa”, zorganizowana przez Fundację Polskiego Godła Promocyjnego.

W spotkaniu uczestniczyli: dziennikarz sportowy i były senator **Andrzej Person**, prezes PLS **Artur Popko** oraz medaliści olimpijscy: **Tomasz Majewski**, dwukrotny mistrz olimpijski i wiceprezes PZLA, i **Konrad Niedźwiedzki**, brązowy medalista olimpijski, dyrektor sportowy PZŁS i szef misji olimpijskiej w Pekinie. Dyskusję poprowadził czterokrotny mistrz olimpijski **Robert Korzeniowski**. Zaproszeni goście rozmawiali o roli sportu w promocji kraju oraz o roli sponsora w rozwoju sportu.

Tegoroczne igrzyska w Tokio okazały się zwycięstwem idei olimpizmu nad zagrożeniem, jakie sprowadziła na świat pandemia koronawirusa. Mogliśmy obserwować, co znaczą harmonijny



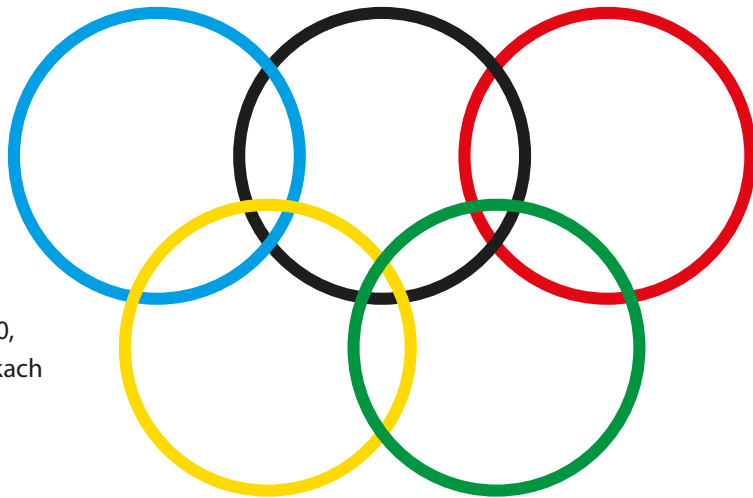
Robert Korzeniowski

rozwój człowieka, radość z wysiłku, poszanowanie uniwersalnych zasad etycznych oraz odpowiedzialności społecznej. MKOl stara się przybliżyć światu te idee, wprowadzając do programu igrzysk również dyscypliny uliczne, takie jak jazda na deskorolce, koszykówka 3x3 czy wspinaczka sportowa. Sukces olimpiady to zasługa organizatorów z Japonii i MKOl, którzy tak przygotowali procedury bezpieczeństwa, że rozgrywki toczyły się bez przeszkód. To także zasługa sportowców, którzy

mimo braku możliwości odpowiedniego przygotowania z uwagi na ograniczenia epidemiczne zdołali utrzymać najwyższą formę sportową. Kibice na całym świecie mogli śledzić zmagania sportowców, zapominając o kłopotach dnia codziennego. – *Igrzyska*

## Olimpijskie sukcesy Polaków

8 sierpnia zakończyły się 32. Letnie Igrzyska Olimpijskie w Tokio. Polska drużyna przywiozła z nich 14 medali (cztery złote oraz po pięć srebrnych i brązowych), co jest najlepszym wynikiem w XXI w. Ostatni raz tyle samo medali Polacy wywalczyli na igrzyskach w Sydney w 2000 r. Najwięcej medali, bo aż 30, zdobyliśmy w Moskwie w 1980 r. Na poprzednich igrzyskach w Tokio, rozgrywanych w 1964 r., zdobyliśmy 23 medale (7 złotych, 6 srebrnych i 10 brązowych).



*należały się ludzkości, niosły przesłanie nadziei na normalność. Pokazały, że sport jest bardzo ważnym elementem naszego życia – powiedział Robert Korzeniowski.*

Alte czegoś tym razem zabrakło – kibiców na trybunach, wrzawy doping, wymiany energii i dzielenia się emocjami między zawodnikami a publicznością. Mimo to poziom startów lekkoatletów był „kosmiczny”, jak go określił Tomasz Majewski. – *Sportowcy to profesjonaliści, więc dostosują się do wymogów imprezy, codziennego testowania w kierunku zakażenia koronawirusem, reżimu pewnej izolacji. Nowa sytuacja rozgrywek bez kibiców nie miała wielkiego wpływu na poziom sportowy, ale na same widowisko wpływ miała kolosalny. Jednych sportowców widok wielkich*

*hal i stadionów wypełnionych kibicami paraliżuje, innych – dopinguje. Jednak był to smutny obrazek, kiedy po zwycięstwie nie było dla kogo robić rundy honorowej. Być może nie przywieźlibyśmy 14 medali, może mniej, może więcej, ale widowisko z kibicami byłoby pełniejsze. Jedno jest pewne: gdyby te igrzyska się nie odbyły, polska lekkoatletyka znalazłaby się w dużo gorszej sytuacji, bo wielu zawodników zakończyłoby karierę sportową – podkreślił Tomasz Majewski. Warto w tym miejscu dodać, że drużyna lekkoatletyczna odniosła historyczny wynik, zdobywając dziewięć medali i pokonując tym samym legendarny Wunderteam, który w Tokio w 1964 r. wywalczył osiem medali.*

Niestety, polscy siatkarze znów nie powtórzyli sukcesu drużyny Huberta Wagnera, która w 1976 r. na igrzyskach w Montrealu wywalczyła złoty medal. – *Start w Tokio, który zakończyliśmy w ćwierćfinale, nadal odczuwamy jako klęskę, bo ten zespół stać było na znacznie więcej. Ale w sporcie zawsze trzeba mieć pokorę i respekt przed przeciwnikiem. Potencjał naszej drużyny jest ogromny, co udowodniliśmy, zdobywając miesiąc później brązowy medal na mistrzostwach Europy – mówi Artur Popko. Polska siatkówka jest polską marką narodową i eksportową. Polski Związek Piłki Siatkowej stworzył efektywny system szkolenia, który zapewnia nam sukcesy już w sporcie młodzieżowym, o czym świadczą choćby zdobyte*

*w tym roku tytuły mistrzów świata U19 i brązowych medalistów U21. – Jeżeli chcemy myśleć o sukcesach w 2024 r., to dziś musimy przyglądać się zawodnikom 21-letnim, którzy będą mieli przed sobą trzy lata intensywnego grania i mogą osiągnąć szczyt formy w następnym roku olimpijskim. Proces szkoleniowy trwa około 10 lat i jest obciążony ryzykiem kontuzji oraz niepewnością, czy wystarczy talentu – dodaje Popko.*

Polska Liga Siatkówki jest z pewnością naszą marką eksportową. Gra w niej około 40 zawodników zagranicznych, reprezentantów swoich krajów, którzy są mistrzami świata i mistrzami olimpijski. – *A jeżeli na co dzień grasz w drużynie z mistrzem świata, to automatycznie podnosisz swoje umiejętności i zdecydowanie łatwiej jest grać na arenach międzynarodowych – podkreśla Artur Popko. – A propos marki eksportowej, w tym roku rozpoczęliśmy sprzedaż transmisji meczów Polskiej Ligi Siatkówki kobiet i mężczyzn za granicą. Można je już oglądać na Bałkanach. Uruchomiliśmy też streaming do zakładów bukmacherskich spoza terytorium kraju. A nasze najbliższe plany to organizacja, wraz z Holendrami, mistrzostw świata kobiet w przyszłym roku, bo dzięki takim imprezom pokazujemy światu, co mamy najlepszego – piękny kraj i emocje naszych kibiców – kwituje Popko.*

Na 100 dni przed zimowymi igrzyskami warto zastanowić się, czy jedynie skoki narciarskie mogą cieszyć zimą serca kibiców. Odnieśliśmy przecież historyczny sukces na igrzyskach w Vancouver, zdobywając brązowy medal w biegu drużynowym pań w łyżwiarstwie szybkim. Był to pierwszy od 50 lat, czyli od medali Elwiry Seroczyńskiej i Heleny Pilejczyk wywalczonych w Squaw Valley, medal olimpijski zdobyty przez łyżwiarzy.

– *W skokach narciarskich świetnie wykorzystano sukcesy Adama Małysza, aby zbudować strukturę i zaplecze techniczne, dzięki czemu prowadzone są ustawiczne szkolenia i doczekano się świetnych zawodników, którzy każdego roku odnoszą sukcesy. Nas niestety sukces zaskoczył. W Soczi zdobyliśmy aż trzy medale: złoty Zbigniewa Bródki, srebrny w biegu drużyny kobiecej i brąz w biegu drużynowym panów, który wywalczyliśmy we trójkę ze*



Tomasz Majewski



Artur Popko





Konrad Niedźwiedzki

Zbigniewem Bródką i Jankiem Szymańskim. Dopiero po tym sukcesie związek rozpoczął działania marketingowe. Teraz mamy hale do trenowania i rozgrywania zawodów oraz plan marketingowy. Przed nami jeszcze tworzenie struktury, która byłaby w stanie pozyskiwać i pielęgnować młode talenty tak, aby doczekać się mistrzów na miarę dokonań naszych siatkarzy. Obiecującą wyglądają starty naszych zawodników w wieku do 13–15 lat – jesteśmy liderem na zawodach europejskich w tej grupie wiekowej. W tej chwili short track przeżywa apogeum sławy i to on będzie wizytówką polskich łyżwiarzy, gdyż mamy niezwykle utytułowaną zawodniczkę Natalię Maliszewską. Jako ciekawostkę mogę dodać, że francuski zawodnik Diane Sellier tej zimy będzie walczył o kwalifikację olimpijską dla naszego kraju. Otrzymał już oficjalną zgodę, dzięki której wzmocni reprezentację short tracku. Pozyskaliśmy go dzięki francuskiemu trenerowi, który obecnie pracuje z naszą reprezentacją, a znał go jako juniora i wiedział, że chce zrezygnować ze sportu, gdyż źle znosi atmosferę treningów we Francji – mówi Konrad Niedźwiedzki.

Kibice piłkarscy ostatnio żyją tym, że Matty Cash, Anglik o polskich korzeniach, zasili zespół naszej reprezentacji narodowej. Wiele związków sportowych rozgląda się po świecie za uzdolnionymi zawodnikami polskiego pochodzenia, ale ich pozyskanie nie jest łatwe, gdyż są związani z lokalnymi klubami i rodzinami. Natomiast warto rozwiązać inny problem. Mianowicie przyjeżdża i osiedla się w naszym kraju wielu Ukraińców, Białorusinów, Wietnamczyków o podwójnym obywatelstwie. Ich trenujące sport dzieci często były już zarejestrowane zawodnikami w rodzimych klubach w kraju ojczystym, ale teraz chciałyby trenować u nas i reprezentować Polskę.

## Jak tworzyć skuteczną strukturę sponsorską wokół dyscypliny

Niezwykle istotne dla długofalowej polityki związku sportowego jest pozyskanie sponsora strategicznego zapewniającego stabilne dofinansowanie, dlatego zaangażowanie spółek Skarbu Państwa, szczególnie dla dyscyplin niekomercyjnych, jest kluczowe, bo daje możliwość rozwoju sportu wyczynowego na odpowiednim poziomie. Pozyskane środki zwykle są przeznaczane na poszerzanie bazy sprzętowej, organizację obozów przygotowawczych czy szkolenie kadry trenerskiej. Dla każdego sponsora (państwowego czy prywatnego) istotna jest wartość jego ekspozycji, zaś dla sportu najważniejsze jest pozyskanie partnera, który jest gotowy na długoterminową współpracę, bo umowy roczne czy dwuletnie nigdy nie będą efektywne, a przez to nie dadzą satysfakcji żadnej ze stron. – W tej chwili jesteśmy w trakcie realizacji siedmioletniej

umowy z Plusem i czteroletniej umowy z Tauronem. Mamy wielkie szczęście od 1998 r. pracować z firmą Polkomtel, właścicielem marki Plus. Żaden z nowych prezesów firmy nie zakwestionował tej współpracy, a wręcz przeciwnie – dołożył swoją cegiełkę. Jest to wzorcowy projekt sponsoringu sportowego

– zaczęliśmy współpracę od jednego meczu Ligi Światowej w Katowicach, a doszliśmy do tego, że firma jest sponsorem reprezentacji, ligi oraz największych wydarzeń organizowanych przez nasz związek – potwierdza Artur Popko.

– W obszarze działań każdego związku jest miejsce dla strategicznego sponsora państwowego, jak i dla mniejszej firmy, która zechce wesprzeć poszczególne zawody czy szkolenie młodzieży. Oczywiście ważna jest rola samorządów, na terenie których są usytuowane obiekty sportowe, bo to one są kuźnią talentów – dodaje Konrad Niedźwiedzki.

Korzyści dla samorządów z inwestowania w sport potwierdził także Andrzej Person. – W zeszłym roku Włocławek zorganizował 96. Mistrzostwa Polski Seniorów w Lekkoatletyce. Koszt imprezy wyniósł 300 tys. zł, a ekwiwalent reklamowy – 16 mln zł, co pokazuje, jak wielka uwaga kibiców była skupiona na tym wydarzeniu, a więc i na Włocławku. Oczywiście pomógł w tym fakt, że na skutek pandemii odwołano wiele imprez sportowych – stwierdził.



Andrzej Person

W rozwoju sportu pomogłyby także rozwiązania prawne umożliwiające firmom sponsorującym odpisy podatkowe od kosztów ponoszonych na rzecz sportu. – Mogłoby to przynieść wymierne korzyści w postaci medali zdobytych na igrzyskach i zamiast 14 moglibyśmy przywieźć do kraju nawet 20. Trzeba też pamiętać, że inwestowanie w medale olimpijskie jest długoterminowe. Żeby na regatach wioślarskich pojawiła się ósemka reprezentująca poziom olimpijski, najpierw musi znaleźć się ze stu młodych chłopaków, którzy będą chcieli ten sport trenować przez 8–10 lat, co pozwoli wyłonić tych ośmiu najlepszych – zauważa Person.

– Sport ma rolę kulturotwórczą i integrującą lokalne środowiska, dla których każdy utytułowany i wywodzący się stamtąd zawodnik jest niekłamanym bohaterem i wzorem do naśladowania, który potrafi pociągnąć za sobą następnych miłośników swojej dyscypliny. Przykład polskiej siatkówki dowodzi, że potrafimy wykreować markę eksportową, która wyróżnia się pod względem organizacji imprez, ale także osiąganych wyników sportowych – podsumowuje Robert Korzeniowski. – O fenomenie sportu, a piłki nożnej w szczególności, niech świadczy fakt, że na mecz z drugorzędną drużyną San Marino na PGE Narodowy przybyło 56 tys. kibiców, spragnionych naszych zwycięstw i goli Lewandowskiego. Radości tych ludzi nie da się przełiczyć – kwituje Andrzej Person.



# Kiedy chciano w Kaszubów uderzyć, wyciągano trzy „strachy”: **separatyzm, katolicyzm i filogermanizm**

- Świadomość historyczna, którą w Polsce wynosimy ze szkoły, jest warszawsko-krakowsko-centryczna. Nasza historia – kaszubska – była zupełnie inna.
  - Kategoria pogranicza jest tutaj jedną z kluczowych.
  - Bodaj najczęściej przywoływaną cechą Kaszubów jest upartość. Mówimy: „uparty jak Kaszuba”.
  - W Gdańsku Kaszubi byli uważani za gorszy sort, za ludzi prymitywnych, przeznaczonych do podrzędnych prac.
  - Nie doświadczyliśmy całego dzieła polskiego oświecenia. Proszę sobie to wyobrazić: jest rok 1772, jesteśmy w granicach zaboru pruskiego. Wkracza Fryderyk Wielki i zaczyna się zupełnie inna historia.
- Zanim doszło rozstrzeliwań w Palmirach, tutaj już wymordowano tysiące ludzi. Nie było rodziny, w której ktoś nie zostałby zamordowany, ale o tym w ogóle się nie mówiło.
- Z początkiem roku 1945 wkroczyła Armia Czerwona, która szła od Kołobrzegu do niemieckiego Gdańska. Zaczynają się gwałty kobiet, zniszczenia, wywózki kilkudziesięciu tysięcy osób na Wschód. Nazywamy to klęską wyzwolenia.

Z **Cezarym Obrachtem-Prondzyńskim** rozmawia Kamil Broszko.

**Kamil Broszko:** Kim są Kaszubi? Co ich wyróżnia?

**Cezary Obracht-Prondzyński:** Kiedyś koleżanka zaprosiła mnie do szkoły, w której pracowała, na spotkanie z dziećmi. To była szkoła podstawowa w małej wsi pod Wejherowem. Nie zapomnę tej wizyty, bo była jedną z trudniejszych. Musiałem w prosty sposób wyjaśnić tak trudne sprawy jak historia i tożsamość Kaszubów. Było to bardzo specyficzne przeżycie, ale oczywiście dosyć ważne, bo dotyczyło tego, kim w ogóle są Kaszubi – problemu ich tożsamości. A pytanie krąży właściwie od 200 lat. Nie tylko w świecie nauki, ale i w debacie publicznej.

Gdyby ktoś przyjechał na Kaszuby, na przykład z Gdańska do mojego Bytowa, żeby znaleźć jakieś wyróżniki zewnętrzne, to z pewnością natrafiłby na nie w przestrzeni. Zobaczyłby choćby czarno-żółte flagi, gryfy i napisy po kaszubsku. Na pewno przyjeżdżąc do różnych miejscowości zauważyłby podwójne nazwy

na tablicach. Tych zewnętrznych przejawów kaszubszczyzny mamy tutaj całkiem sporo. Pewnie spotkałby się także z folklorem. Może trafiłby też do jakichś instytucji kultury – na Kaszubach jest ich dużo.

Natomiast gdyby przyjrzał się ludziom, to nie dostrzegłby żadnego zewnętrznego symbolu kultury kaszubskiej, bo na co dzień nie chodzimy w strojach regionalnych. Takich strojów zresztą kiedyś nie było. Obecny strój, folklorystyczny, jest strojem świetlicowym, opracowanym w latach 30. i 50. XX w. Dopiero gdyby ktoś tutaj posiedział dłużej, to miałby szansę zetknąć się z odrębnością językową, jednak musiałby wiedzieć, gdzie i kogo słuchać. Na pewno język jest symbolem naszej odrębności, inności.

Wcale jednak nie trzeba mówić po kaszubsku, aby uważać się za Kaszubę (przyp. red.: Kaszubi powiedzą „ten Kaszuba”, a nie „ten Kaszub”). I tu jest drugi element, który nas wyróżnia: dosyć złożona

tożsamość. Większość z nas uważa się za Kaszubów albo za Polaków – nieważne, w której kolejności. Niektórzy najpierw czują się Polakami, a dopiero potem Kaszubami, ale są też i tacy, którzy uważają się tylko za Kaszubów, a jeszcze inni mówią o narodzie kaszubskim. Jest to dość złożony temat. Nie brakuje również w Polsce, a zwłaszcza za Odrą, ludzi, którzy uważają się za Niemców o korzeniach kaszubskich.

Z całą pewnością tym, co jeszcze nas odróżnia od ludzi spoza Kaszub, jest pamięć historyczna. Świadomość historyczna, którą w Polsce wynosimy ze szkoły, jest, powiedzmy, warszawsko-krakowsko-centryczna. W jakiejś mierze nas ona dotyczy, ale ta nasza historia – kaszubska – była zupełnie inna.

Trzeci wymiar odrębności ma charakter mentalny, dotyczy stereotypów. To są cechy, które sami sobie przypisujemy bądź też inni nam przypisują. Nie zawsze się one potwierdzają. Na przykład jedną z najczęściej przywoływanych cech Kaszubów jest upartość. Mówimy: „uparty jak Kaszuba”. Kolejna cecha to zamknięcie, pewna nieufność, co oczywiście wynika ze specyficznych doświadczeń historycznych. Wszystkie małe grupy wykazują przecież nieufność wobec tych, którzy są na zewnątrz, bo tak je nauczyła historia. Inny stereotyp, bardzo silny zresztą, to pracowitość. I też zaradność. Na ziemiach, gdzie są „laski, piaski i karaski”, czyli las, piasek i karasie w jeziorach, trzeba było być bardzo zaradnym, żeby przetrwać. Właśnie te ciężkie warunki przyrodnicze i historia nauczyły nas zaradności. Jednym słowem jest taki syndrom mentalny, którego my może nie zauważamy wewnątrz swojej grupy, ale ludzie z zewnątrz od razu to wychwytyją, kiedy się z nami spotykają.

**KB:** Określa się Kaszubów mianem ludzi pogranicza, a ta kategoria bynajmniej nie jest przypisana wyłącznie do nich, bo ludzi pogranicza na terenie Polski znaleźlibyśmy więcej. Czy bycie na pograniczu też ma wpływ na tożsamość?

**COP:** Z całą pewnością. Dlatego że pogranicze, na którym my mieszkamy, Pomorze, w procesie historycznym było miejscem styku różnych państw, z których każde realizowało odmienną politykę etniczną, gospodarczą, kulturową i społeczną oraz wprowadzało swoje regulacje prawne. W ciągu stuleci to się zmienia-



© ANNA REZULAK

Prof. zw. dr hab. **Cezary Obracht-Prondzyński** – socjolog, antropolog, historyk. Pracuje w Instytucie Filozofii, Socjologii i Dziennikarstwa Uniwersytetu Gdańskiego, gdzie jest kierownikiem Zakładu Antropologii Społecznej, a w latach 2005–2012 był dyrektorem tegoż Instytutu. Jego zainteresowania badawcze dotyczą głównie problematyki mniejszości narodowych i etnicznych, kulturowych problemów współczesności, kultury Kaszub i Pomorza, polityki regionalnej. Jest autorem lub współautorem 30 książek, redaktorem lub współredaktorem ponad 20, autorem kilkuset artykułów naukowych, popularnonaukowych, publicystycznych. W latach 1995–2000 był redaktorem naczelnym miesięcznika „Pomerania”. Jest współzałożycielem, a obecnie prezesem Instytutu Kaszubskiego oraz członkiem kilku innych towarzystw naukowych: Gdańskiego Towarzystwa Naukowego, Towarzystwa Naukowego w Toruniu, Polskiego Towarzystwa Socjologicznego (członek Zarządu Głównego). Ponadto jest animatorem kultury oraz członkiem kilku organizacji społecznych, w tym przede wszystkim Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

właściwie pod każdym względem: politycznym, ekonomicznym, cywilizacyjnym, kulturowym. Przetrawanie społeczności kaszubskiej w takich warunkach było bardzo dużym wyzwaniem. Niekiedy mówi się wręcz o cudzie, ale to ludzie zdecydowali, że chcą przetrwać.

Kaszubi stykali się też z polskimi grupami, ale niekaszubskimi. Zarówno tymi, które były na Pomorzu, jak i osiadłymi nieco dalej. Mam na myśli nasze sąsiedztwa między innymi z Kociewiem, Borami Tucholskimi, ziemią chełmińską, ziemią malborską, Krajną, a przez nie dalej z Kujawami czy Wielkopolską. Z tym wiąże się nasze wspólne doświadczenie okresu zaboru pruskiego.

**KB:** Już sam rezultat zróżnicowania kulturowego wynikającego z faktu zamieszkiwania przodków na terenie różnych zaborów jest dla wielu współczesnych trudny do pojęcia, a co dopiero tak skomplikowane zaszłości.

ło, ale jedno było stałe: Pomorze było pograniczem kulturowym. Na tych terenach spotykały się różne etnosy – grupy ludzi o odmiennym poczuciu tożsamości.

Jeśli spojrzymy na historię Kaszub, to przecież we wczesnym średniowieczu nazwa Cassubia odnosiła się do zupełnie innych terenów od tych, na których dzisiaj żyjemy. W marcu obchodzimy Dzień Jedności Kaszubów na pamiątkę pierwszego przywołania nazwy Cassubia w dokumencie pisany. On wcale nie dotyczył terenu, na którym dzisiaj się znajdujemy, ale części Pomorza Zachodniego w okolicach Białogardu. A więc ta pradawna kaszubska kraina położona była dalej na zachód od nas. Patrząc na Pomorze Zachodnie, mówimy – nawiązując do tytułu wielkiego reportażu Józefa Kisielewskiego – że to jest ziemia, która gromadzi prochy. W wyniku zetknięcia z innymi grupami i w związku z wielowiekowym sąsiedztwem kaszubsko-słowiańsko-germańskim przybrała taki właśnie kształt – różnokulturowy. Niemcy na Pomorzu też nie byli jednorodni, monolityczni kulturowo, i to bardzo długo. Co ważne, stosunki między Kaszubami a ludnością niemiecką nigdy nie były równe. Przez setki lat Niemcy stanowili grupę dominującą,

**COP:** Cały dyskurs polityczny w Polsce o niezrozumieniu naszej kaszubskiej specyfiki pokrywa się z tym, jak nie rozumiano również tego, co powiedział kiedyś prezydent Poznania Jacek Jaśkowiak: że łączy nas – na Pomorzu i w Wielkopolsce – zabór pruski, albo też XIX-wieczne doświadczenie pruskie. Uznano, że gloryfikuje prusactwo, co jest absurdem. Mówił właśnie o tym, że doświadczenie rywalizacji z nim to coś, co wyróżnia zachodnie dzielnice. To jest specyficzne przeżycie, o którym w Polsce się za dużo nie wie. My nazywamy to pruską drogą do kapitalizmu. Doświadczaliśmy tego na naszym północnym pograniczu, które przez bardzo długi czas było przez elity polskie, warszawskie, krakowskie, lwowskie, zupełnie nieznane. Wręcz zapomniane i niedostrzegane. Dlatego też ta kategoria pogranicza jest tutaj jedną z kluczowych kwestii. To pogranicze ukształtowało nas i nasze rodziny. Zarówno w sensie językowym, mentalnym czy kulturowym, jak i cywilizacyjnym. Przecież cywilizacja techniczna przychodziła z Zachodu. To ma ogromne znaczenie, bo gdy wkroczyła cywilizacja przemysłowa, bardzo szybko zaczęła zanikać dawna kultura tradycyjna.

Czasami zadaję takie pytanie: dlaczego pierwszy skansen na dzisiejszych ziemiach polskich powstał we Wdzydzach na Kaszubach, a nie gdzieś na Polesiu, Podlasiu czy Podkarpaciu? Odpowiedź jest bardzo prosta. Bo tam to wszystko bardzo długo trwało, do dzisiaj jeszcze w wielu przypadkach trwa. Kiedy jedziemy na Podlasie, to widzimy wsie, które są pięknymi skansenami, czyli drewnianymi osadami zachowanymi tak, jak to dawniej wyglądało (co nie jest oceną, tylko opisem). U nas one po prostu zniknęły. Już na początku XX w. dawnych chałup, budowanych w tradycyjnym modelu, było bardzo niewiele. Proces modernizacji przebiegał tutaj bardzo intensywnie. Wynika to też z wielu innych czynników, jak chociażby z faktu, że jest to pogranicze, w bardzo dosłownym rozumieniu. Mam na myśli granice, które dzieliły nas w dwudziestolecie międzywojennym, o czym często się zapomina i czego się kompletnie nie rozumie. Przykładem tego niezrozumienia są błąkające się ciągle w propagandzie wypowiedzi o tym, jakim to skandalem jest postawienie znaku i nadanie węzłowi komunikacyjnemu przy obwodnicy Gdańska nazwy „Rondo Graniczne Wolne Miasto Gdańsk – Rzeczpospolita Polska (1920–1939)”. Wielu pytało: czemu to ma służyć? Czy rehabilitacji zaszczości historycznych? Jest to oczywiście absurd, bo ludzie, którzy tam mieszkają, cały czas mają w tym miejscu swoje korzenie. To była ich inicjatywa, bo dla nich ta granica i fakt, czy ich rodzina znajdowała się po tej stronie granicy, czy po tamtej, miały kolosalne znaczenie. Nie tylko w okresie międzywojennym, ale i w czasie wojny, i po wojnie. To samo dotyczy terenów po zachodniej stronie granicy polsko-niemieckiej z okresu międzywojennego.

Ja mówię do pana z części niemieckiej, czyli tej, która była w granicach Niemiec, a więc nominalnie na Ziemiach Zachodnich i Północnych, bo mieszkam na ziemi bytowskiej. Ale dla

Kaszubów, którzy tutaj mieszkali, tworzyli Związek Polaków w Niemczech, otwierali polskie szkoły, to doświadczenie bycia po tej stronie granicy było bardzo ważne nie tylko w okresie międzywojennym. W czasie wojny zapłacili ogromną cenę za swoją tożsamość i przywiązanie do polskości. Byli wtedy straszliwie mordowani, więzieni, wyrzucani ze swoich gospodarstw itd. Ale równie tragiczne jest to, że po wojnie byli często nierozumiani, przez co znaczna ich część wyjechała do Niemiec. Zresztą podobnie jak gdańszczanie, którzy w 1945 r. zdecydowali się pozostać w swoim mieście. Oczywiście w Polsce albo się tego nie wie, albo nie chce się tego wiedzieć.

**KB:** Czy stąd, że „nie wiedzą albo nie chcą wiedzieć” biorą się też takie trochę nieprzychylnie komentarze części publicystów i polityków odnośnie deklarowania dwutorowej tożsamości czy identyfikowania się z mniejszością narodową lub etniczną w ostatnim spisie powszechnym?

**COP:** Dlaczego zastrzegamy, że trochę nieprzychylnie? Z Kaszubami to jeszcze jest pół biedy. W poprzednim spisie w 2011 r. część osób, trochę ponad 16 tys., zadeklarowała wyłącznie tożsamość kaszubską, natomiast zdecydowana większość, około 216 tys. – tożsamość kaszubską i polską. I powiedzmy, że to jest jeszcze do przełknięcia, aczkolwiek bardzo długo się staraliśmy, wręcz walczyliśmy, o to, żeby w ogóle była możliwość składania podwójnej deklaracji. Zobaczymy, jak będzie teraz. Wiedzieliśmy z badań socjologicznych, że tożsamość kaszubska jest złożona, więc powinno być możliwe wypełnienie deklaracji zgodnie z faktycznymi odczuciami i poczuciem przynależności. Wystarczy porównać wyniki z 2002 r., kiedy podczas spisu nie było takiej możliwości i trzeba było wybrać tylko jedną tożsamość. Wtedy 5 tys. osób zaznaczyło narodowość kaszubską. Państwo polskie, tak konstruując spis, zafundowało sobie powstanie narodowości kaszubskiej! A gdy w 2011 r. pojawiła się możliwość podwójnego złożenia deklaracji, od razu sytuacja się zmieniła i tożsamość kaszubską zadeklarowało wielokrotnie więcej osób.

Na Kaszubach od dawna istnieje stowarzyszenie osób narodowości kaszubskiej Kaszëbskô Jednota. Zostało zarejestrowane i funkcjonuje w ramach polskiego porządku prawnego, a przecież naród kaszubski nie jest uznawany przez państwo polskie jako odrębny naród. W ustawie o mniejszościach narodowych i etnicznych z 2005 r. nie jest on wymieniony. Zatem w świetle ustawy z 2005 r. Kaszubi nie są narodem czy mniejszością narodową, ale organizacją narodową funkcjonującą. Natomiast Ślązakom państwo polskie konsekwentnie i z ogromną determinacją tego odmawia. Jak można pogodzić te sytuacje w ramach tego samego porządku prawnego? To jest dla mnie zupełnie niezrozumiałe. Ta odmowa wynika zapewne z jakiegoś ogromnego przewrażliwienia, nie boję się powiedzieć, że o charakterze nacjonalistycznym.

My na szczęście jesteśmy w innej sytuacji, mamy określony status – jesteśmy uważani za grupę używającą języka regionalnego.



Części osób to nie satysfakcjonuje. Ale dlaczego odmawia się statusu języka regionalnego Ślązakom? Albo Wilamowiczanom, którzy są naprawdę nieliczni? Zamiast się cieszyć, że ktoś ten język w ogóle zna, rozumie, pielęgnuje i kultywuje – odmawia się im prawa do uznania tego języka za język regionalny.

**KB:** Mieliśmy i mamy w pewnym sensie ujednoliconą narrację historyczną w edukacji odnośnie wpływu zaborów na naszą późniejszą historię. Powiedziałbym, że w szkole średniej koncentrujemy się na zaborze rosyjskim, z racji dominującego ducha Mickiewiczowskiego. Później, na studiach, ze względu na wpływ intelektualny na całą naukę XX w. uczonych z Uniwersytetu Lwowskiego i Uniwersytetu Jagiellońskiego i de facto repolonizację tych uczelni po połowie XIX w., poznajemy konteksty zaboru austriackiego i specyfikę Galicji. A na zabór pruski brakuje trochę czasu. Pojawiają się wprowadzie w mainstreamie objaśniające dzieła kultury, jak choćby „Kamerdyner” Filipa Bajona czy przede wszystkim twórczość Güntera Grassa, ale jak widać, nawet osoby wykształcone mają problem ze zrozumieniem wpływu Kaszubów i Pomorzan na ten pejzaż, który określamy mianem polskiej kultury.

**COP:** Zgadzam się. Nadal się nie rozumie, jak wielka praca została tu wykonana i jak specyficznie ona przebiegała. Pierwsza rzecz, która nas bardzo różni, to fakt, że my na Pomorzu Gdańskim nie doświadczyliśmy Sejmu Wielkiego, Konstytucji 3 maja, Komisji Edukacji Narodowej – całego dzieła polskiego oświecenia. Epoka stanisławowska jest poza nami. Proszę sobie to wyobrazić: jest rok 1772, jesteśmy w granicach zaboru pruskiego. Wkracza tu Fryderyk Wielki i zaczyna się zupełnie inna historia. Inaczej wyglądają kwestie administracyjne, polityczne, ekonomiczne, podatkowe czy sprawy armii. Powiem więcej, tylko południowa część Pomorza, ziemia chełmińska, znajduje się na krótko w Księstwie Warszawskim. Wobec tego my całego oświecenia w kulturze i edukacji nie doświadczamy. Nasi, jeśli służą, to tylko w armii pruskiej. Jak robią karierę, to w pruskiej administracji. Zresztą Prusacy stworzyli specjalne szkoły kadetów w Słupsku i Chełmnie, aby przyciągać szlacheckich synów i czynić ich – poprzez możliwość kariery w armii – lojalnymi obywatelami i poddanymi. A potem zaczynają się wielkie reformy pruskie, które wprowadzają m.in. obowiązek szkolny. W Prusach Zachodnich był on już w latach 20. XIX w. Bardzo szybko nastąpił proces alfabetyzacji, jednak w języku niemieckim. A więc my wkroczyliśmy w kulturę języka pisanego poprzez szkołę niemiecką. Tu w bardzo ograniczonym stopniu uczyło się języka polskiego, sprowadzając to z czasem przede wszystkim do nauczania religii, co również konsekwentnie redukowano. Powstały natomiast gimnazja – klasyczne, niemieckie gimnazja, które dawały maturę. Potem można było kontynuować naukę na świetnych uniwersytetach, ale to wszystko były studia niemieckie.

Tak weszliśmy w kulturę światową, bo Niemcy, zwłaszcza po wojnie w latach 1870–1871, stały się najpotężniejszym państwem



© WITOLD PIKIELNAC

w Europie. I to nie jest żadna afirmacja, tylko stwierdzenie faktu. Pod względem cywilizacyjnym i kulturowym, w dziedzinie filozofii, literatury i wielu innych. Niemcy stały się ogromną maszyną zysującą młodych ludzi. Można było robić wielką karierę pod jednym warunkiem: trzeba było stać się Niemcem. Dla młodego wykształconego Kaszuby czy Pomorzanina były tylko trzy ścieżki, które pozwalały mu nie być Niemcem: mógł zostać księdzem, lekarzem albo adwokatem. Ten ostatni zawód nie cieszył się wtedy zresztą tak wysokim prestiżem jak dziś. Jeśli chciało się być nauczycielem, już od szkoły podstawowej trzeba było być Niemcem. Podobnie – urzędnikiem lub wojskowym. Takie osoby w organizacjach polskich mogły działać tylko konspiracyjnie, pod pseudonimem, a i to nie chroniło ich przed szykanami. Mówię o tym, żeby dać wyobrażenie poziomu determinacji tej młodzieży, która kształciła się na przykład w tajnych kółkach filomackich. Nasza inteligencja wykształciła się w kulturze polskiej w sposób nielegalny. Młodzież gimnazjalna albo studencka za uczestniczenie w tajnych kołach płaciła często swoją karierą, „skazą” na biografii lub po prostu trafiała do więzienia.

**KB:** Pan profesor bada proces narodzin rodzimej inteligencji kaszubskiej. Jaka była jej specyfika?

**COP:** Oczywiście znaczną część tej inteligencji stanowili księża. Jeśli się chciało być księdzem, trzeba było najpierw skończyć gimnazjum, mieć maturę, a jeszcze potem pójść do seminarium. To był efekt polityki – najpierw państwa pruskiego, a potem niemieckiego. Znaczna część osób uczących się w seminarium szła na studia uniwersyteckie. To byli bardzo dobrze wykształceni, świetnie zorientowani w ówczesnej kulturze ludzie. Jest jeszcze jedna rzecz, która różni kaszubską inteligencję nawet od wielkopolskiej, nie mówiąc już o pozostałych częściach kraju. Mianowicie miała ona głównie pochodzenie ludowe. Po prostu ziemiaństwa pol-



Kaszubscy rybacy  
podczas defilady.  
Powyżej kaszubska  
kapela gra i śpiewa  
pieśń „Nie damy  
morza i Pomo-  
rza”; Wejherowo,  
17.10.1937 r.

Kaszub. W rękę  
widoczna „krzy-  
wula”, znak władzy  
wójtowskiej.



© NAC



skiego i większej szlachty było na Kaszubach bardzo niewiele. To są synowie gburów, czyli bogatych gospodarzy, których stać było, aby wykształcić swoich synów, a z czasem również córki. A trzeba pamiętać, że za edukację powyżej szkoły elementarnej trzeba było płacić. W 1848 r. powstało Towarzystwo Pomocy Naukowej, które miało ogromne zasługi w wykształceniu inteligencji kaszubskiej i polskiej na Pomorzu.

Rok 1848 to kolejna data, która w historii Polski jest właściwie nieobecna, ale dla Wielkopolski i Pomorza jest jedną z najważniejszych. U nas z Wiosną Ludów związany jest nie tylko proces odrodzenia narodowego, ale też pojawienie się „sprawy kaszubskiej”, co było związane z wystąpieniem Floriana Ceynowy – ojca regionalizmu kaszubskiego.

**KB:** Jaki wpływ na postrzeganie kaszubskości i Kaszubów miał Günter Grass?

**COP:** Jego genealogia jest dosyć złożona. Ewidentnie ma kaszubskie korzenie po stronie matki. Pochodziła ona z Kaszubów, którzy przybyli do Gdańska, ówczesnej wielkiej metropolii, która przyciągała ludzi nie tylko z terenów nadbałtyckich. Tam była praca i szansa na awans. Stykały się różne etnosy i religie, na przykład wyznania protestanckie i katolicyzm. To też jest specyficzne dla Pomorza. Na naszym terenie nie można było powiedzieć, że Polak to katolik, a Niemiec to ewangelik, bo było też tutaj całkiem sporo Niemców wyznających katolicyzm i Polaków-Kaszubów będących ewangelikami.

W Gdańsku Kaszubi byli jednak uważani za ten gorszy sort, za ludzi prymitywnych, przeznaczonych do podrzędnych prac. Mieszczańska kultura Gdańska miała w sobie silny komponent wyrażania wyższości wobec przybyszów, szczególnie tych z prowincji.

Stąd właśnie u Grassa podwójny opis i zdystansowanie się do tej „wielkiej” kultury mieszczańskiej Gdańska. Uważał, że zdra-

dziła ona swoje ideały i uległa zhitleryzowaniu. Pisarz zatem przyjął w „Błaszanym bębenku”, swojej najważniejszej powieści, podwójną perspektywę: z jednej strony osoby niepełnosprawnej, wykluczonego Oskara, a z drugiej – kaszubską. Celowo rzucił gdańszczanom w twarz: *Ich bin eine Kaschuben* – „Jestem Kaszubą”, wyraźnie akcentując, że jest z tych najgorszych, z tych podległych, niezauważanych. Grass, wykorzystując element kaszubskości, bardzo trafnie określił swoją tożsamość i narrację, przyjmując postawę sprzeciwu albo – lepiej – kontrapunktu dla dawnych tradycji Gdańska. I oczywiście nadał temu wyjątkowy charakter artystyczny, który stał się czymś niezwykle ważnym dla samych Niemców, ponieważ Gdańsk był pewnym symbolem, często nierozumianym – przez ową swoją złożoność – również w Niemczech. I oto nagle przychodzi ktoś, kto opisuje w „Błaszanym bębenku”, ale też w innych tekstach, jakieś dziwne rzeczy kaszubsko-polsko-niemiecko-bałtyckie... I Bóg wie jeszcze jakie. To jest swego rodzaju zamknięty kosmos. Ale kiedy już to poszło w świat, okazało się przekazem uniwersalnym. I jednocześnie niezwykle nośnikiem zainteresowania Kaszubami.

Zauważyłem taki proces: dawniej Niemcy wywodzący się z Gdańska, na przykład katolicy, oraz ich rodziny w Gdańsku uciekali od kaszubskości, właśnie po to, żeby nie być stygmatyzowanymi. A potem, gdy przyszła moda na kaszubskość i stała się ona popularna, ciekawa, a nawet intrygująca – było to na początku lat 90. XX w. – nagle zaczął się proces odwrotny. Dobrze było podkreślić, że „moja babcia to była z Wejherowa” albo „z mojej rodziny do Gdańska ktoś przybył z Kartuz”. Okazało się, że kaszubskość może być zasobem kulturowym, do którego warto się odwołać i przyznawać. Nawet jest czymś ciekawym, z czym możemy się identyfikować i co nie jest już dziwne, prymitywne.

Można powiedzieć, że Grass działał na dwie strony. Na pewno dzięki niemu Kaszubi stali się rozpoznawalni w Niemczech. Jego



pisarstwo stało się swego rodzaju pomostem, który umożliwił lepsze zrozumienie tego, co się działo w tej części świata. Poza tym wielu Niemców zaczęło się przyznawać do swoich korzeni.

Ale oczywiście to było bardzo ważne również dla Kaszubów. No i dla gdańszczan. Niezależnie od tych wszystkich kontrowersji, które były związane z biografią pisarza, fakt, że wprowadził on Kaszubów do kultury światowej, miał dla nich, dla nas, wielkie znaczenie. Poza tym wojenne doświadczenia i trudne wybory Günтера Grassa, których się potem wstydził, stały się asumptem do pisania i pokazywania rzeczy, które są niejednoznaczne, których nie da się prosto rozstrzygnąć w kategoriach białe – czarne, bo nic takim nie jest. Zwłaszcza na pograniczu.

**KB:** Ofiara Kaszubów za deklarowanie polskości mieści się w tej dyscyplinie, którą bada pan profesor, a która zwie się kulturą pamięci kaszubskiej.

**COP:** Wyjdę może tutaj od hasła, które swego czasu bardzo silnie rezonowało w opinii publicznej: „dziadek w Wehrmachcie”. Wbrew pozorom ono nie dotyczyło konkretnego polityka, ale dziesiątek, jeżeli nie setek tysięcy nie tylko Kaszubów, ale w ogóle Pomorzan. I nikt nas za to nie przeprosił. A wszyscy staliśmy się ofiarami tej manipulacji. W czasach okupacji inaczej się sprawy miały w Wolnym Mieście Gdańsku, inaczej na terenie województwa pomorskiego, które należało do Rzeczypospolitej przed 1939 r., a jeszcze inaczej na ziemiach, które znajdowały się w Republice Weimarskiej i III Rzeszy. Jeżeli analizujemy sytuację w Wolnym Mieście Gdańsku, to kaszubszy czy polscy członkowie Polonii gdańskiej już w pierwszych godzinach od wybuchu wojny płacą ogromną daninę krwi. Są więzieni, trafiają do Victoriashule, potem idą do Stutthofu, gdzie budują pierwszy obóz koncentracyjny na terenie dzisiejszej Polski, który działał najdłużej, bo do maja 1945 r. Jednocześnie obywatele Wolnego Miasta Gdańska automatycznie stają się obywatelami Rzeszy, o czym w Polsce się nie wie. Nie dawano im wyboru. Po klęsce pod Stalingradem Niemcy szukają żołnierzy i sięgają oczywiście po tych, których do tej pory prześladowali. Wielu dostało wtedy powołanie.

Kiedy wybuchła afera z „dziadkiem z Wehrmachtu”, zadzwoniła do mnie dziennikarka z Warszawy i zapytała: „Czy on mógł nie iść do armii?”. Odpowiedziałem jej: „Proszę pani, był obywatelem tego państwa. Chciał, nie chciał, dostał wezwanie do armii. Co miał powiedzieć? Gdyby się nie zgłosił, zostałby uznany za dezertera. Poszedłby pod ścianę, a jego rodzina do Stutthofu!”. Chciałbym zobaczyć tych dzisiejszych bohaterów, którym tak łatwo przychodzi mówić, że powinien zrobić to czy tamto. W okręgu Gdańsk-Prusy Zachodnie, włączonym do Rzeszy i nietraktowanym jako terytorium okupowane, jego gauleiter Albert Forster w marcu 1942 r. wydał dekret mówiący o obowiązku wpisania na niemiecką listę narodowościową (DVL). Kto jej nie podpisał, uznawany był za wroga Rzeszy. Każdy dostawał kwit i musiał do niego wpisać wszystkie swoje dane. Trafiały one do urzędników, którzy je analizowali



i decydowali, czy się ktoś kwalifikuje i do której grupy go wpisać. Jeśli urzędnik chciał się wykazać, to w jego powiecie blisko 90 proc. osób zostało wpisanych na ową listę (np. w chojnickim). Wpis wiązał się z tym, że młodzi mężczyźni byli przymusowo wcielani do wojska niemieckiego. W sumie z Pomorza było to kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Wielu z nich nigdy z tej armii nie wróciło. Wielu dezertowało i wkraczało do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, ale w takiej sytuacji zwykle zmieniano nazwiska. Dlaczego? Bo gdyby trafili do niewoli niemieckiej, to tutaj, na terenach administrowanych przez Niemców, całe rodziny zostałyby wymordowane. Żeby to zrozumieć i mówić coś na ten temat, trzeba wiedzieć, co się działo na Pomorzu.

Przywołał pan film „Kamerdyner”. Wielu ludzi nie rozumie tej sceny, kiedy są rozstrzeliwania, bo nie pada nazwa Piaśnicy. Tam ludzie chodzą w pasiakach albo w szpitalnym ubraniu. Trzeba wiedzieć, że w Piaśnicy mordowano tysiące ludzi, osoby niepełnosprawne umysłowo zwożone były prosto ze szpitali z całych Niemiec. Mordowano tam też miejscową inteligencję. Szacuje się, że na Pomorzu jesienią 1939 r. wymordowano kilkadziesiąt tysięcy osób. Dzisiaj używa się nazwy zbrodnie pomorska, my często mówimy: Krwawa Pomorska Jesień. Moja mama w okresie PRL, kiedy w telewizji w dzienniku padały informacje, że złożono kwiaty w Palmirach w miejscu pierwszych masowych rozstrzeliwań na ziemiach polskich – wychodziła z pokoju. Nie dlatego, że nie przejmowała się Palmirami, ale dlatego, że zanim doszło do pierwszego rozstrzelania w Palmirach, tutaj już wymordowano tysiące ludzi. Nie było rodziny, w której ktoś nie zostałby zamordowany, ale o tym w ogóle się nie mówiło. Proszę sobie to wyobrazić. Nauczyciele, listonosze, urzędnicy, wojskowi, policjanci, księża, samorządowcy, członkowie Polskiego Związku Zachodniego. Zdarzało się i tak, że przyszedł sąsiad Niemiec – a proszę pamiętać, że tu była





Kaszub podczas gry na skrzypcach. Obok mały chłopiec.

Grupa Kaszubów w odświętnych strojach we wsi Wdzydze.



© NAC (2)

silna mniejszość niemiecka – i powiedział: „Uciekaj, bo jutro po ciebie przyjdę”. Ale to były rzadkie przypadki. Częściej nie było żadnego ostrzeżenia. Wszędzie są miejsca masowych zbrodni. W ślad za tym szło odbieranie gospodarstw, rzemieślniczych warsztatów, kamienic, mieszkań. Ludzie byli stąd wyrzucani. Ponad sto tysięcy osób z Pomorza zostało wysiedlonych, wywiezionych, na przykład na Podlasie. Wielka wdzięczność dla tych ludzi na Podlasiu, którzy sami będąc biednymi, zaopiekowali się tymi, którzy zostali właściwie wypędzeni z Pomorza. To są wszystko fakty praktycznie nieobecne w ogólnopolskiej świadomości.

**KB:** A jak było w 1945 r.?

**COP:** Z początkiem roku wkroczyła tutaj Armia Czerwona, która szła od Kołobrzegu do niemieckiego Gdańska. Zaczynają się gwałty kobiet, zniszczenia, wywózki kilkudziesięciu tysięcy osób na Wschód. My to nazywamy klęską wyzwolenia. Dramat polegał na tym, że czasami ludzie wychodzili z więzienia niemieckiego czy ze Stutthofu, by zaraz trafić w ręce sowieckie, a następnie zostać wywiezionym do dalekiego, obcego kraju. Ponieważ nie można było wówczas napisać, że ktoś umarł po wywiezieniu na Sybir, to w nekrologach publikowanych w prasie pomorskiej używano właśnie tej frazy: umarł w dalekim, obcym kraju.

Co więcej, wobec tych, którzy byli obywatelami Rzeszy, działaczami Związku Polaków w Niemczech albo Gminy Polskiej w Wolnym Mieście Gdańsku, państwo polskie postanowiło przeprowadzić proces weryfikacji. Ci, których rodziny siedziały w więzieniach hitlerowskich, musieli teraz iść do komisji weryfikacyjnej, żeby udowodnić swoją polskość. A jeśli chciano im odebrać gospodarstwo albo warsztat, to uznawano ich za Niemców i wysiedlano. Natomiast na tych, których wpisano na niemiecką listę narodowościową na byłym obszarze województwa pomorskiego,

czekała rehabilitacja (już samo to słowo pokazywało, że muszą oni udowodnić lojalność wobec Polski).

Losy ludności na tym terenie po 1945 r. bywały bardzo trudne, zwłaszcza tzw. autochtonów, a więc dawnych obywateli Niemiec czy też Wolnego Miasta Gdańska. Doświadczyli tak wielu krzywd, że po 1956 r. z byłego Wolnego Miasta za Odrę wyjechało ponad 15 tys. osób. I często były to rodziny zasłużone dla polskości, ale miały już dość tego, co je spotykało po wojnie.

Przytoczę jeden przykład, ale takich sytuacji było dużo więcej. W Gdańsku działała specjalna komisja, która zbierała relacje od mieszkańców. Oto na początku 1947 r. pewien gdański kupiec, działacz Polonii gdańskiej, już wcześniej pozytywnie zweryfikowany, został zaaresztowany przez UB pod zarzutem „przynależności do partii hitlerowskiej i mordowania Polaków”. Dopiero później okazało się, jakie były prawdziwe powody. Relacjonował tortury, jakim został poddany, aby wydał resztki swojego majątku. Opis jest straszny – chcąc wydobyć informacje o kosztownościach, bito ofiarę po wszystkich częściach ciała i przypiekano żelazną sztabą. A nawet gdy pod wpływem męczarni oddał, co posiadał, to i tak nadal przez sześć miesięcy był przetrzymywany w obozie pracy, gdzie znów znęcano się nad nim. Zwolniono go dopiero w wyniku interwencji komisji weryfikacyjnej. Najważniejsze jednak, jak tłumaczyli oprawcy konieczność odebrania mu kosztowności. Zacytuję relację: „Oficer ten wyjaśnił mi jeszcze, że Polacy są biedni i dlatego wszystkie złoto i wszelkie wartościowe rzeczy na odbudowę państwa są przeznaczone i dlatego zarekwirowane”. W ten sposób zwykły bandytyzm tłumaczono interesem państwa!

To są wstrząsające relacje, które oczywiście w wyniku cenzury nie wydostawały się na światło dzienne. Ale ci, którzy mieli wiedzieć, wiedzieli. A suma takich doświadczeń spowodowała,

że po kilku latach spędzonych w PRL znaczna część gdańszczan wyjechała. A dodam, że prześladowania czy przykre sytuacje nie były tylko skutkiem działań UB. Także nowych polskich sąsiadów, którzy nie rozumieli lokalnej specyfiki.

Dlatego kiedy słyszę dzisiaj ludzi wzmożonych patriotycznie, którzy mówią, że w Gdańsku pielęgnuje się tradycję Wolnego Miasta Gdańska, a winno się pielęgnować tradycję polską – robi mi się niedobrze. Bo właśnie tacy wzmożeni nacjonalistycznie ludzie wyrządzili wiele krzywdy tym, którzy przetrwali tutaj wojnę. A na pograniczu sytuacja zawsze jest złożona.

Podobnych opowieści mógłbym przytoczyć wiele także z drugiego końca Kaszub, z ziemi bytowskiej. Stąd z kolei masowo migrowano w latach 70. XX w. I choć motywy były głównie ekonomiczne, to jednak towarzyszyło temu ogromne rozczarowanie życiem w Polsce.

**KB:** Jakie zatem określenie najlepiej oddaje kaszubską kulturę pamięci: zapomnienie, pamiętanie, pojednanie, niezgoda?

**COP:** Zawsze w takich sytuacjach przywołujemy bardzo ważne i symboliczne wystąpienie Lecha Bądkowskiego – żołnierza polskiego Września '39, kawalera Orderu Virtuti Militari, opozycjonistę, literata i kaszubskiego działacza, jednego z liderów ruchu kaszubskiego. Otóż 1 września 1979 r. Lech Bądkowski był na posiedzeniu PEN Clubu w Warszawie. Na tym wystąpieniu, w rocznicę wojny, powiedział – zacytuję, bo to wyjątkowe słowa: „Dla bojaźliwych nie ma litości. Chcę zatem powiedzieć wyraźnie, świadom odpowiedzialności, w czterdziestolecie początku wojny narodów świata, w którą wejść musieliśmy dla obrony Rzeczypospolitej Polskiej: czas na rzeczywiste pojednanie między Polakami i Niemcami. (...) Chciałbym, aby obchód wybuchu wojny, jak też jej końca, umacniał w nas wolę wzajemnego zrozumienia, które jest podwaliną pokoju i pogodzenia się, i chciałbym, żeby nie rozjrzęzał w nas uczuć wrogich – przeciw komukolwiek; żeby najgorsze w historii Polski doświadczenie nie porażało naszej wyobraźni, która wespół z rozumem musi pracować na rzecz przyszłości. Pamiętać o wszystkim – tak, nienawidzić – nie”. Zapomnienie byłoby dla niego oznaką słabości. Ale pamięć nie powinna prowadzić do nienawiści. To słowa niezwykle ważne także dzisiaj. Również dlatego, że wojna była najtragiczniejszym doświadczeniem, jakie spotkało Kaszubów. Cały czas żyjemy w jej cieniu, bo jej skutki stale nas dotykają.

Przez cały okres PRL Kaszubi, w tym działacze skupieni w Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskim, byli stygmatyzowani przez władze, które traktowały nas bardzo podejrzliwie. Kiedy chciano w nas

uderzyć, to wyciągano trzy „strachy”. Pierwszym był separatyzm. Drugim – katolicyzm i religianctwo. Trzecim – filogermanizm. A jak się separatyzm połączyło z filogermanizmem, to wychodziła niemieckość. W 1961 r. przeprowadzono akcję SB skierowaną przeciwko działaczom kaszubskim, m.in. Janowi Rompskiemu, który był żołnierzem Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski” i polskim konspiratorem, za co siedział w Stutthofie. W obliczu rewizji i oskarżeń napisał dramatyczny list, w którym twierdził, że to, iż oskarżają go o separatyzm, jeszcze by zniósł, ale że go jako członka „Gryfa”, torturowanego w Stutthofie za sprawę polską, oskarżają o sprzyjanie Niemcom, tego znieść nie może.

Podchodzimy realistycznie do relacji z Niemcami, bo wiemy, co Pomorze zawdzięcza modernizacji w ramach państwa niemieckiego. Ale mamy też pełną świadomość, jak trudna, i często katastrofalna, była historia relacji z Niemcami. My tego nie zapominamy, ale ciągle się nas podejrzewa o sprzyjanie im, nadmierną skłonność wobec tego, co niemieckie. Widać to też dzisiaj w absurdalnych oskarżeniach wobec Gdańska. Są dziennikarze, którzy potrafią napisać, że gdy przyjeżdżają do Gdańska, to wszędzie dostrzegają niemieckość... A już szczególnie to widać, gdy piszą i mówią o Donaldzie Tu-

sku, który jest stale oskarżany o bycie Niemcem. Co jest wręcz niedorzeczne, choćby dlatego, że jego rodzina przeszła proces weryfikacji. Ile jeszcze razy ma udowadniać swoją polskość i lojalność wobec państwa polskiego? A nawet gdyby nie uważał się za Polaka, to co z tego? Czy polskim patriotą i dobrym polskim obywatelem nie może być Rosjanin, Ukrainiec, Niemiec, Rom czy ktokolwiek inny? Nie może być? To jest absurdałne. Ale też każe zapytać, co się z nami dzieje.

Ilu już ludzi wyjechało z Polski, bo źle się tutaj czuło? To było doświadczenie mojej

młodości: cały czas ktoś wyjeżdżał do Niemiec. Mnóstwo osób z mojej rodziny, wielu moich przyjaciół tam mieszka. Często się śmiejemy z tego wzbudzania paniki antyniemieckiej, ale jednocześnie nas ona przeraża, bo jest nieprzyjemna i wręcz niebezpieczna. Jak nas wywala z tej Unii albo my sami z niej wyjdziemy, albo zawieszą nas w strefie Schengen, to rodziny, dziś rozdzielone niewidoczną granicą, przeżyją szok. Dzisiaj możemy bez problemu pojechać w odwiedziny do bliskich w Bremie czy Hamburgu – i to jest ważne. Pomijam samorządy czy biznes. Gdy więc zawali się Schengen – będzie katastrofa. Niechęć wobec Niemców i Niemiec, naszego głównego partnera, działa absolutnie na szkodę Polski. Zarówno w sensie społecznym, kulturowym, jak i ekonomicznym. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Daleko odeszliśmy od spraw kaszubskich. Ale może nie. Bo to jest także nasze doświadczenie. Nasze obawy. I nasze poczucie odpowiedzialności za bieg spraw polskich.

Często się śmiejemy z tego wzbudzania paniki antyniemieckiej, ale jednocześnie nas ona przeraża, bo jest nieprzyjemna i wręcz niebezpieczna.





# Teatr mój widzę śląski

© PRZEMYSŁAW JENDROSKA

- Śląsk wszędzie rezonuje.

Wszędzie z zainteresowaniem przyglądają mu się mniejszości czy lokalności.

- Nieraz przykleja nam się łatkę separatystów czy też ukrytej opcji niemieckiej. A my z uporem maniaka chcemy opowiadać o tym, że Śląsk ma niesamowitą, wielokulturową historię.

- Spotykają się tu wpływy polskie, czeskie, niemieckie, austro-węgierskie, słowackie.

Myszę, że to może być atrakcyjne.

- Niezwykle ważna jest dla mnie publiczność.

Traktuję ją jako partnera w rozmowie o sprawach elementarnych.

- Śląsk czasem mnie irytuje. Szaleństwa mi brak w Ślązakach i odwagi.

- Dezindustrializacja i dekarbonizacja dzieją się na naszych oczach i przez najbliższe lata będziemy świadkami zmian epokowych, podważających sens istnienia tego regionu w kształcie, który znamy od pokoleń.

Z **Robertem Talarczykiem**  
rozmawia Kamil Broszko.

**Robert Talarczyk** – reżyser, aktor, dramaturg. Ślązak.

W latach 2005–2013 dyrektor naczelny i artystyczny Teatru Polskiego w Bielsku-Białej, od września 2013 r. dyrektor Teatru Śląskiego w Katowicach. Zrealizował między innymi:

„Testament Teodora Sixta”, „Żyda”, „Bitwę o Nangar Khel”, „Miłość w Koenigshutte”, „Himalaje”, „Morfinę”, „Pod presją”, „Czarny ogród”, „Wujek 81. Czarną balladę”, „Spójrz na mnie”, „Pokorę”, „Miłość Fedry”, „Niezidentyfikowane szczątki ludzkie”, „Piątą stronę świata”, „Sztukę mięsa”, „Dracha”, „Krzyk wg J. Kaczmarzkiego”, „Nikaj”, „Cholonka”, „Western”.

Jest laureatem m.in. Specjalnej Złotej Maski za kreatywność i wszechstronność umiejętności adaptatorskich, aktorskich i reżyserskich, trzech Złotych Masek za najlepsze spektakle oraz Złotej Maski za reżyserię. Jego spektakle nagrodzono na Festiwalu Teatrów Moraw i Śląska, Festiwalu Teatrów Europy Środkowej „Sąsiedzi” oraz Festiwalu Zderzenie Teatrów. Otrzymał nagrodę za najlepsze przedstawienie podczas XIX edycji Ogólnopolskiego Konkursu na Wystawienie Polskiej Sztuki Współczesnej oraz na Festiwalu Polskich Sztuk Współczesnych R@Port. Na XIV Festiwalu Teatru Polskiego Radia i Teatru Telewizji Polskiej „Dwa Teatry” – Sopot 2014 uhonorowano go nagrodami za reżyserię. W grudniu 2013 r. otrzymał Cegłę z Gazety – Nagrodę im. Janoscha, w 2019 r. – Nagrodę im. Wojciecha Korfanteo, a w 2021 r. – Nagrodę im. Zygmunta Hübnera „Człowiek Teatru”.

Jest dyrektorem Międzynarodowego Festiwalu Open The Door, dedykowanego wykluczonym.



**Kamil Broszko:** W prasie fachowej piszą, że dla pana artystycznym drogowskazem jest Śląsk. Cóż to oznacza?

**Robert Talarczyk:** Śląsk jest punktem wyjścia dla różnych moich poczynań artystycznych, ale także miejscem, które mnie określa emocjonalnie. Więc siłą rzeczy te moje spektakle, które mają jakiś związek ze Śląskiem, najbardziej rezonują. Jest to jednak jakieś 15 proc. wszystkich przedstawień, które zrealizowałem jako reżyser, a łącznie było ich około 50. Natomiast faktycznie są one najgłośniejsze, zdobyły najwięcej nagród, zostały też najprzychylniej przyjęte przez publiczność – w całej Polsce i oczywiście na Śląsku. Więc mogę powiedzieć, że Śląsk jest punktem odniesienia, ale też muszę wspomnieć, że tytuł cyklu, który stworzyliśmy w Teatrze Śląskim, „Śląsk święty / Śląsk przeklęty” nie wziął się z niczego, bo on jest wypadkową jakichś fascynacji i przekleństwa, którym jest to miejsce dla mnie. Ono mnie określa i czasem determinuje w sensie negatywnym. Stąd może trafna jest metafora drogowskazu – idę we wskazanym kierunku, ale nieraz trafiam na przeszkodę albo ktoś mi podstawia nogę. Niemniej znów się podnoszę i ruszam w wyznaczoną stronę.

**KB:** Wszędzie na świecie są miejsca w jakiś sposób odrębne, szczególne, określające silnie tożsamość mieszkającej tam grupy. Czy pana opowieść o Śląsku jest odbierana za granicą, a może i w Polsce, jako opowieść uniwersalna?

**RT:** Oczywiście tak. Śląsk wszędzie rezonuje. Wszędzie z zainteresowaniem przyglądają mu się mniejszości czy lokalności, w dobrym tego słowa znaczeniu – nie chodzi tu o sprawy separatystyczne, tylko o podkreślenie własnej specyfiki. A o niej na Śląsku potrafimy mówić, nie mamy z tym problemu. Zaś z perspektywy ogólnopolskiej problem się pojawia, bo nieraz przykleja nam się łatka separatystów właśnie czy też ukrytej opcji niemieckiej. A my z uporem maniaka chcemy opowiadać o tym, że Śląsk ma niesamowitą, wielokulturową historię. Jest atrakcyjny, bo jest odrębny, inny, nie daje się łatwo wpasować w jakąś ogólną definicję. Ktoś zauważył, że „piąta strona świata” – czyli świat z książki Kutza, ale też spektaklu na podstawie tej książki – to swoisty odpowiednik Macondo Gabriela Garcíi Marqueza ze „100 lat samotności”. Jest to oczywiście dla nas pochlebające. Myślę, że zawsze spotyka się z atencją opowiadanie o kawałku globu, który ma swoją specyfikę, który jest inny od reszty. Śląsk nie jest pępkiem świata, ale jest osobnym bytem, ma wiele różnych kolorów, co nie zmienia faktu, że takich miejsc na świecie jest mnóstwo. I ludzie chcą się z nim utożsamiać. Do tego trzeba dodać, że jest to miejsce wielokulturowe, z wpływami polskimi, czeskimi, niemieckimi, austro-węgierskimi, słowackimi. I to wszystko na jednym małym kawałku ziemi. Myślę, że to może być atrakcyjne.

**KB:** Krytycy są raczej pod wrażeniem pana przekazu, publiczność też, podkreślając, że kontakt z pana sztuką pogłębia rozumienie Śląska. Więc gdzie się pan spotyka z zarzutami o separatyzm?

**RT:** Nie jest tajemnicą, kto używa takich określeń. Ale też żadna władza w tym kraju nie rozumiała i nie będzie rozumieć Śląska. Nikt nigdy nie uzna języka śląskiego. Nie łudźmy się. Natomiast faktycznie dla publiczności i krytyków to, co robimy na Śląsku i o nim, jest atrakcyjne i ciekawe. Stąd też wynika pewnie Nagroda im. Zygmunta Hübnera „Człowiek Teatru 2021”, którą otrzymałem niedawno. Być może doceniono fakt, że Śląsk to atrakcyjne miejsce do artystycznej peregrynacji. Chcę wierzyć, że dostrzeżono moje 20-letnie starania, żeby śląska lokalność stała się uniwersalna i rozumiała w całym kraju. I że niezwykle ważna jest dla mnie publiczność. Traktuję ją jako partnera w rozmowie o sprawach elementarnych. I myślę, że to też w jakiś sposób zostało docenione, bo w ostatnich latach zdarzało się, że publiczność była przez artystów traktowana instrumentalnie, ja zaś staram się z publicznością rozmawiać, uprawiać dialog, jak równy z równym. Oczywiście z różnym skutkiem, ale to jest dla mnie bardzo istotne, że rozmawiam z ludźmi o tym, co jest tożsame dla mnie i dla nich. Nieraz mówię, że jesteśmy z tego samego plemienia. Sądzę, że takie widzenie teatru jest interesujące dla ludzi w całej Polsce.

**KB:** A czy dziś trend nie jest wręcz odwrotny? Czy bycie zrozumianym przez odbiorcę sztuki nie jest dla artysty wręcz rodzajem ujm?

**RT:** Teatr jest rodzajem sztuki niesłyszanie pojemnej, więc myślę, że współistnieją w nim różne wizje. I bardzo dobrze. Tak samo jest w filmie, muzyce czy sztukach plastycznych. Można patrzeć na widza z różnych perspektyw, czego dobrym przykładem jest ostatni film Smarzowskiego. Część ludzi przegląda się w nim jak w lustrze. Inni odrzucają ten obraz i mówią o manipulacji, nieprawdziwym przedstawieniu rzeczywistości. Myślę, że niezależnie od tego, czy artyści podobają się opinii widzów, krytyków, kolegów po fachu, czy nie – powinien być konsekwentny. I taki jest np. Wojtek Smarzowski. Uczciwość wobec widzów i samego siebie jest najistotniejsza w kształtowaniu siebie przez lata, przez ten czas, kiedy mamy możliwość komunikowania się z odbiorcami swojej sztuki. Niektórzy oczywiście widza olewają, widzą ich nie interesuje. Chociaż przyznam, że podczas pandemii, po okresach lockdownów, zauważyłem, że bardziej szukamy kontaktu z drugim człowiekiem, w różnych formach, również poprzez sztukę. Widz teraz częściej staje się partnerem w poszukiwaniach artystycznych. Dla mnie jest to jeden z niewielu pozytywów, które przyniosła pandemia.

**KB:** Powiedział pan, że Śląsk bywa przekleństwem.

**RT:** Śląsk bywa oczywiście zaściankowy, ksenofobiczny, jest często zamknięty w różnych ramach, nie do końca współcześnie uzasadnionych, przez które trudno się przebić. Pewnie niewiele pan widział spektakli czy filmów, w których Śląsk jest bohaterem. Artyści słabo ten region penetrują, a daje on całą masę możliwości podejmowania artystycznych peregrynacji, od traumatycznych,



© PRZEMYSŁAW JENDROSKA

### „Drach”

jak tragedia górnośląska, do komediowych. Trzeba oczywiście wymienić Mariana Makulę, który robi przeróbki i śpiewogry znanych utworów literackich – wystawił m.in. „Zemstę”, która w jego adaptacji miała tytuł „Pomsta”. Uczestniczyłem zresztą w paru jego projektach. Zbyszek Stryj robi przedstawienia związane z naszym regionem w Rudzie Śląskiej, w tamtejszym domu kultury. Oczywiście jest spektakl „Mianujom mie Hanka” z Grażyną Bułką, wyreżyserowany przez Mirosława Neinerta w Teatrze Korez. Ale to są pojedyncze przypadki. Z tej perspektywy można powiedzieć, że tylko w moim teatrze Śląsk zaistniał w pełni jako temat poważnej rozmowy z widzem o tutejszej historii i tożsamości, rozmowy popartej znaczącymi przedstawieniami, że wymienię tylko „Piątą stronę świata”, „Morfinę”, „Czarny ogród”, „Skazanego na bluesa”, „Dracha” czy „Pokorę”. Na szczęście w przypadku literatury jest wręcz przeciwnie. Wszyscy znają oczywiście twórczość Szczepana Twardocha, ale ostatnio triumfuje również Zbyszek Rokita, który zdobył Nike za „Kajś”. A są jeszcze przecież Ingmar Villqist, Zbigniew Kadłubek, Anna Dziewit-Meller czy Leszek Libera ze swoim genialnym „Utopkiem”. Uważam, że trwa obecnie pewnego rodzaju boom na nasz region, przekładający się właśnie na sztukę wysoką.

Dziesięć lat temu mieliśmy tzw. śląską wiosnę, związaną ze słynnymi słowami, że jesteśmy ukrytą opcją niemiecką, a potem spisem powszechnym, w którym ujawniło się 800 tys. ludzi deklarujących narodowość śląską. Ale myślę, że obecny boom jest ciekawszy pod względem artystycznym. Co nie zmienia faktu, że Śląsk czasem mnie irytuje, nawiązując do pana pytania. Ciągłe matki naszych młodych Ślązaków chcą, by ich dzieci wybierały bezpieczne ścieżki kariery. Zawodówki górnicze zamieniły na politechnikę lub uniwersytet ekonomiczny. Brakuje szaleństwa połączonego z otwarciem na świat, i tu się niewiele zmienia od lat. I często nasza potrzeba budowania tożsamości ogranicza się

do tego, że się trochę odważniej godo na ulicy i zamiast zostać w domu na niedzielną roladę – idzie się do knajpy, a w sklepie kupi się koszulkę z napisem „szmaterlok” albo „klopsztanga”. A żeby i kulturze stało się zadość – przeczyta się jedną książkę Twardocha i nic poza tym. To mnie wkurwia strasznie. Szaleństwa mi brak w Ślązakach i odwagi.

#### **KB: Ostra diagnoza.**

**RT:** Żeby tylko nie narzekać, trzeba przyznać, że teraz artyści śląscy są na fali wznoszącej, zostaliśmy nagrodzeni, pojawiły się interesujące nazwiska, które promują region poprzez sztukę. Ale znów z drugiej strony niewielu artystów w naszym regionie wykrzystało ostatnie 10 lat na rzecz inwestowania w naszą lokalność. I nie do końca wyzbyliśmy się wstydu, że jesteśmy Ślązakami. Gdy pracuję w Warszawie, to zauważam, że moi koledzy może nie tyle ukrywają, co nie eksponują, skąd pochodzą i że potrafią godać. Wyczuwam w tym jakiś rodzaj wstydu. Mamy wbite w łeb, że jesteśmy trochę prymitywni, zacofani. Zamiast się cieszyć i być dumnymi z faktu, że mamy swoją historię i jesteśmy skądś – staramy się to ukryć.

**KB:** Źródłem tematów dla artystów jest historia, a im bardziej skomplikowana, tym często tematy są ciekawsze. Inspiracją może być też przyszłość, a ona jest nieco niepewna, szczególnie zważywszy na perspektywę dekarbonizacji i dezindustrializacji. Życie tutaj przez dziesięciolecia było zespolone z industrią, praca i przemysł były silnym składnikiem śląskiej tożsamości. Czy ta niepewność rezonuje na Śląsku i jest odczytywana przez artystę jako źródło lęku?

**RT:** Dezindustrializacja i dekarbonizacja dzieją się na naszych oczach i przez najbliższe lata będziemy świadkami zmian epokowych, podważających sens istnienia tego regionu w kształcie, któ-



ry znamy od pokoleń. Musimy się z tym uporać, zarówno społecznie, mentalnie, jak i artystycznie. Od wielu lat poszukuję dobrego tekstu i interesującego sposobu na to, żeby opowiedzieć o tym, jak Śląsk będzie wyglądał w przyszłości. Co my z tym wszystkim, co już odchodzi w cień, zrobimy? Zbyszek Rokita, laureat Nike za książkę „Kajś”, napisał na moją prośbę sztukę teatralną „Nikaj”. To futurystyczna historia, która mówi o tym, co się może wydarzyć ze Śląskiem, Zagłębiem, szeroko rozumianą lokalnością w momencie nadchodzącej apokalipsy. Forma jest groteskowa, na przyszłość patrzemy z przymrużeniem oka, z dystansem, ale też prowadzimy bardzo poważny spór, którego tematem jest nasza zaściankowość, tradycja, stająca się martwą figurą. Ślązacy w sztuce Rokity lecą na Marsa, żeby tam zakładać cywilizację. No i właśnie – czy będzie tam tak, jak na Ziemi, czy jednak powstanie nowy Śląsk, inny niż to, co doskonale znamy? Zapraszam na ten spektakl, bo może on być przyczynkiem do rozmowy o tym, jaki Śląsk mógłby być. Natomiast nadal marzę o wielkim przedstawieniu – albo też książce lub filmie – które będzie opowiadało więcej o przyszłości naszego regionu. O tym, co się stanie z naszym dziedzictwem. Czy będziemy się potrafili od niego zdystansować i co będzie w zamian? Co będzie mogło kusić atrakcyjnością zarówno mieszkańców, jak i przyjezdnych? Czy będziemy na Śląsk patrzyli jak na miejsce awangardy, na miejsce przyszłościowego spojrzenia na Polskę i Europę? Na te odpowiedzi czekam z utęsknieniem, a na razie jeszcze nikt, kto potrafiłby zjawisko nazwać i opisać, się nie pojawił. Natomiast myślę, że zaraz ruszy fala interesujących młodych ludzi,

którzy dobitnie dadzą do zrozumienia, że kopalnia, huta i industria to dla nich śpiew przeszłości – nie mają one nic wspólnego z ich spojrzeniem na rzeczywistość dziś i jutro. Czekam zatem na tekst o przyszłości Śląska i myślę, że on się za jakiś czas pojawi.

**KB:** Pewnie wielu czeka, bo mówimy o wielkim wyzwaniu, przed jakim stanie liczna przecież społeczność. Czy dla artysty temat zmiany jest ciekawy, bo dojdzie do rozliczenia z tradycją, co też jest w pewnym sensie wątkiem uniwersalnym? I czy nie będzie tej śląskiej tradycji trochę szkoda?

**RT:** Jasne, że tak. Trzeba po prostu o tej przyszłości, o jej kształcie, gadać poprzez sztukę. Malować obrazy, tworzyć filmy, muzykę, robić spektakle i dyskutować. Im więcej tego powstanie, tym łatwiej będzie nam Śląsk opisać, zdefiniować, zdiagnozować – w sensie artystycznym. Jeżeli mamy tylko kilku twórców, którzy próbują się ową tematyką zajmować, to siłą rzeczy każdy zostanie zaszufadkowany, każdy będzie się chował w jakiejś szafie. A jeżeli powyciągamy wszystko z tej szafy na nasze śląskie podwórka między familokami i wszystko oczyścimy z patyny i kurzu, będziemy mogli zobaczyć, co nam zostanie, co zbutwiało, co spleśniało, a co może być zaczynem do tworzenia nowego spojrzenia.

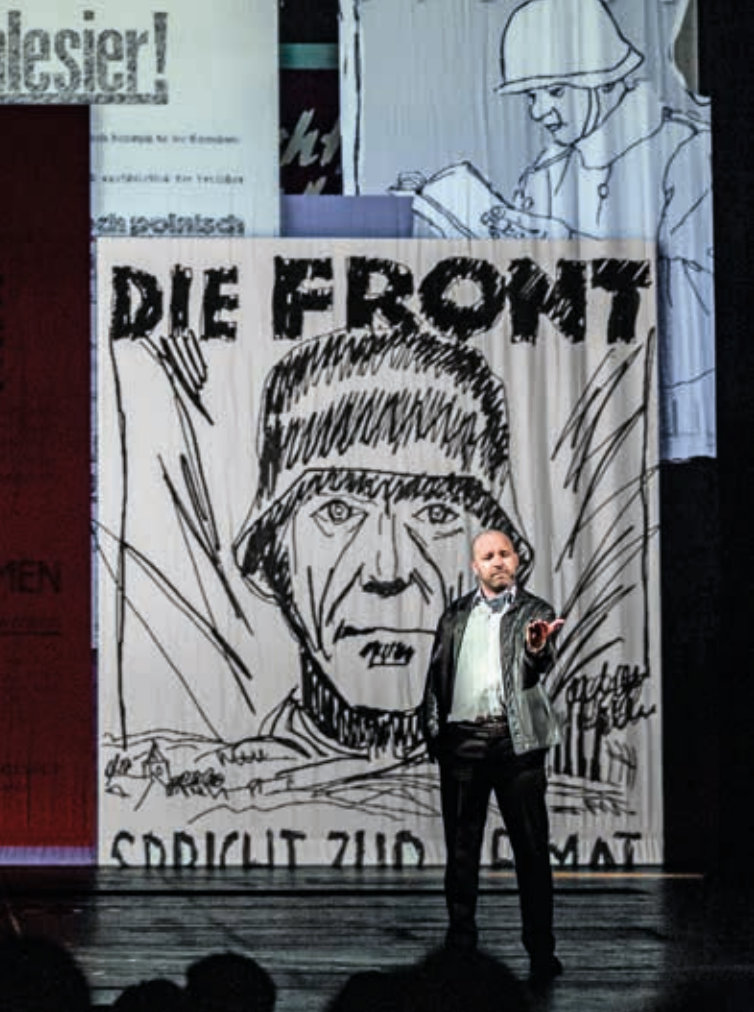
**KB:** Śląsk to szczególny etos pracy. Czy artyści, z którymi pan pracuje, również go wyznają?

**RT:** Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie, bo pracuję z ludźmi z różnych stron polski. Nie dzielę, nie segreguję. Mam też oczy-

„Inteligenci”







© PRZEMYSŁAW JENDROSKA (2)

### „Piąta strona świata”

wiecie wśród nich ulubionych aktorów, którzy doskonale godają, i z nimi się rozumiem na szczególnym poziomie. Możemy na próbach przechodzić na język śląski i wtedy pojawia się pewien rodzaj intymności, który wykracza poza stereotypowe rozumienie teatralnej próby, bo godka towarzyszy nam w trakcie pracy i poza nią. Cieszę się również, że udało mi się „zarazić” teatrem Szczepana Twardocha, Zbyszka Rokitę czy Miuosha. Ale to nie jest warunek – nie każdy, kto pracuje ze mną, musi godać. Dla mnie podstawowym wyznacznikiem jest to, że staram się otaczać ludźmi, z którymi się lubię, a nawet przyjaźnię, którzy są świetnymi artystami, ale mają w sobie odrobinę pokory. Bywają bardziej utalentowani ode mnie i wtedy to ja się od nich uczę. To jest czasem trudne, bo się w ich blasku widzi swoją małość i marność, ale dostrzega się też swój własny artystyczny i mentalny progres, gdy ocenia się go z perspektywy kilku lat. Dlatego też uważam, że warto zapraszać do współpracy osoby bardzo utalentowane. Ale przede wszystkim ważne dla mnie jest, że to są fajni, mądrzy ludzie. I ważne, żeby jakoś nasze energie się przecinały. Ja działam w taki sposób, że często w pierwszym okresie pracy nad spektaklem panuje spory chaos. Ci, którzy mnie znają, wiedzą, że w ciągu miesiąca wyłonią się z tego chaosu kierunek i program działania. Inni, którzy tego nie rozumieją, odpadają. Od lat pracuję ze swoją stałą ekipą, z którą się doskonale dogaduję. Wzajemnie się inspirujemy, nakręcamy i – co dla mnie najważniejsze – lubimy ze sobą być. Teatr jest wy-

padkową energią bardzo wielu ludzi. Mój styl pracy polega na tym, że nie jestem takim precyzyjnym kreatorem, który od początku do końca ma określoną wizję i wszyscy muszą się jej podporządkować. Podczas pracy czerpię z energii i wyobraźni ludzi, całej masy wątków, sytuacji, często przypadkowych, by w końcu po okresie poszukiwań konsekwentnie podążać do obranego przeze mnie celu. Ten cel jest określony na samym początku pracy, natomiast droga, która do niego prowadzi, może się zmieniać i przekształcać w trakcie. Dla mnie najfajniejsza jest podróż, nie meta, więc ostatnie próby generalne to raczej smutny czas, bo wiem, że podróż dobiega kresu. Dzięki Bogu, chwilę później wyruszam w kolejną, licząc na to, że też będzie fantastyczna.

**KB:** Jest pan szefem lubianym czy tolerowanym?

**RT:** Trzeba zapytać pracowników. Trudno mi powiedzieć. Myślę, że staram się tworzyć atmosferę, która jest po prostu ludzka. Jest taka anegdota, nad którą nieraz się zastanawiam. Zły szef jest beznadziejny pod każdym względem – nie potrafi podejmować decyzji, wcielić ich w życie itd. O dobrym szefie wszyscy pracownicy mówią, że jest genialny, że świetnie coś wymyślił. A znakomity szef to taki, gdy jego pracownicy mówią: „ale my to świetnie wymyśliliśmy”. Staram się tak pracować, aby moi ludzie byli kreatorami rzeczywistości i mieli satysfakcję z faktu, że sami tworzą rzeczy, za które są odpowiedzialni. Kiedy odbierałem Nagrodę im. Zygmunta Hübnera „Człowiek Teatru”, podkreślałem, że to jest nagroda dla wszystkich, z którymi robię teatr. Jest on wypadkową działania bardzo wielu osób: ludzi pracujących na recepcji, którzy witają widzów przed spektaklem, maszynistów, którzy obsługują i ustawiają scenografię, krawcowych przygotowujących stroje, administracji, która to wszystko rozlicza i – *last but not least* – aktorów, którzy wnoszą swoją energię i wrażliwość, by stworzyć najważniejszą rzecz, czyli spektakl.

**KB:** Proszę opowiedzieć o planach artystycznych.

**RT:** W styczniu zaczynamy próby do wyczekanego od dawna spektaklu Agaty Dudy-Gracz. Premiera będzie przesunięta w sumie o dwa lata, zamiast w marcu 2020 r. odbędzie się pod koniec kwietnia 2022 r. – wszystko oczywiście przez COVID-19. Obecnie zaczynają się próby do „Płatonowa” w reżyserii Małgorzaty Bogajewskiej, więc mamy taki kobiecy czas, z czego się bardzo cieszę. 26 listopada w Teatrze Żydowskim w Warszawie odbędzie się premiera reżyserowanego przeze mnie spektaklu „Jentl”, na podstawie utworu Isaaca Bashevisa Singera „Jentl, the Yeshiva Boy”. W obsadzie będzie ponad 20 osób, a zagramy na jednej z najciekawszych scen w kraju. Piękną muzykę napisał Hadrian Filip Tabęcki, cudowną scenografię i kostiumy zaprojektowała Katarzyna Borkowska, fantastyczną choreografię stworzył Jakub Lewandowski – moi przyjaciele. Gołda Tencer w ostatnich latach zaprosiła znakomitych reżyserów: Maję Kleczewską, Annę Smolar, Wiktora Rubina, Wojtkę Kościelniak. Cieszę się, że mogę być w takim gronie.



## NAUKA

**23** szkoły wyższe  
**5** uniwersytetów  
**35 000** absolwentów rocznie  
**130 000** studentów



## LOTNISKO

**2,6** mln pasażerów w 2020 r.  
**32** państwa  
**96** miast  
**145** kierunków  
**22** linie lotnicze



## ZIELEŃ

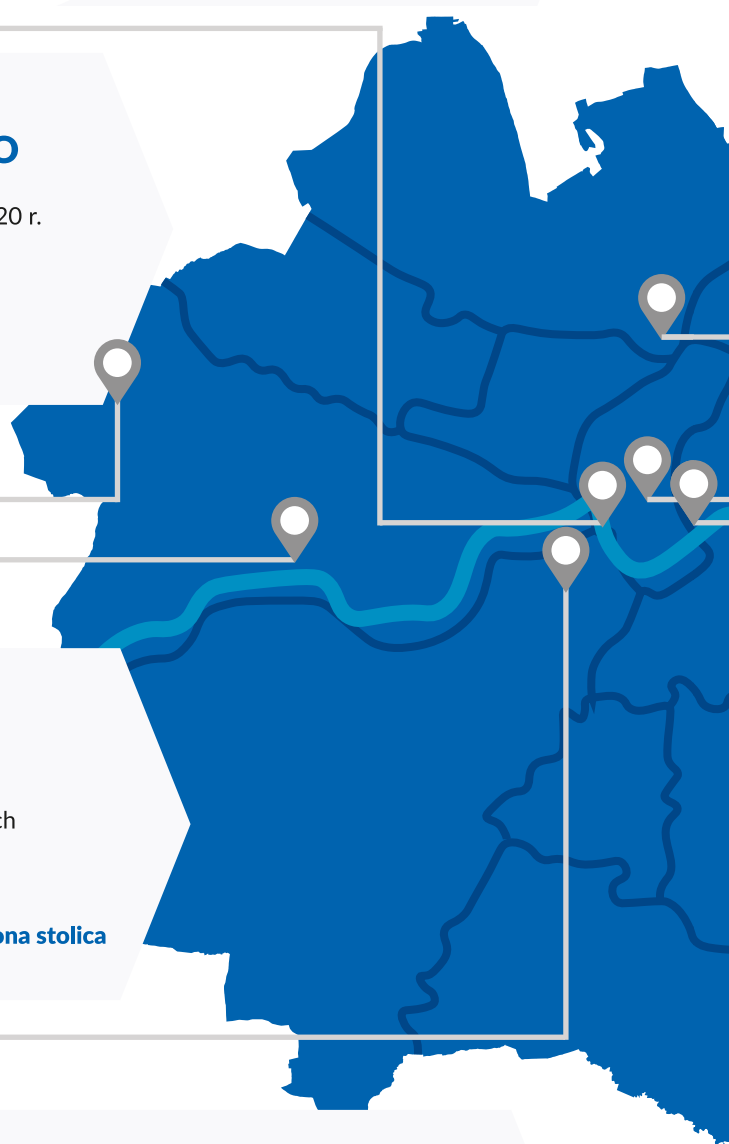
**53** parki  
**10** pasiek  
**12** ogrodów społecznych  
**26** parków krakowian  
**32** ha łąk kwietnych

Laureat konkursu „Zielona stolica  
Europy 2023”



## EVENTY

Centrum Kongresowe ICE - **3 200** miejsc  
Tauron Arena Kraków -  
**15 000** miejsc siedzących  
**9000** miejsc stojących na płycie  
**170** obiektów konferencyjnych





## BIZNES

**247** centrów  
**82 100** pracowników  
**1,6 mln** całkowite zasoby powierzchni biurowej  
**160 000 m<sup>2</sup>** powierzchnia w budowie  
**15,5 %** wskaźnik pustostanu  
**15 euro/m<sup>2</sup>/miesiąc** czynsze wywoławcze



## PRZYSZŁOŚĆ

Lokalizacja - Projekt „**Kraków – Nowa Huta Przyszłości**” zlokalizowany jest we wschodniej części Krakowa, w dzielnicy Nowa Huta  
Powierzchnia - **700 ha**  
W ramach projektu przewidziana została realizacja czterech zadań inwestycyjnych: **Park Naukowo-Technologiczny „Branice”, Centrum Logistyczno-Przemysłowe „Ruszcza”, Centrum Wielkoskalowych Plenerowych Wydarzeń, Kulturalnych „Błonia 2.0”, Centrum Rekreacji i Wypoczynku „Przylasek Rusiecki”**



## LUDZIE

**8 mln** w promieniu 100 km  
**1,2 mln** użytkowników miasta  
**781 000** mieszkańców  
**1,3 %** przyrost naturalny



## KULTURA

**200** festiwali i wydarzeń cyklicznych rocznie  
**400** wydarzeń kulturalnych rocznie

Kraków miastem UNESCO  
Europejska stolica kultury  
Miasto literatury UNESCO





# Prawdziwymi wartościami architektury są **trwałość, nieprzemijalność oraz służenie ludziom**

- Poszukiwanie w architekturze efektu wow jest obecnie modne i przez wielu wielbione, ale w istocie jest błędzeniem, bo architektura powinna być przede wszystkim funkcjonalna.
- Wszyscy szukamy oszczędności energii, rozwiązań proekologicznych, ekonomicznych. Obserwujemy też powrót do prefabrykacji.
- Wielu obawia się, że po pandemii nastąpi zmierzch budownictwa biurowego – my takich sygnałów nie mamy, wręcz przeciwnie.
- Głównym problemem, jaki pojawił się w budynkach o funkcji biurowej podczas pandemii, jest na pewno zbyt mała liczba wejść, które stają się wąskim gardłem, miejscem, gdzie ludzie się ściskają.
- Plany zagospodarowania powinny wyprzedzać potrzeby mieszkańców, jak to było w latach 70., kiedy plany tworzyło się na wiele dziesięcioleci naprzód.
- W mokatowskim „Mordorze” część starych budynków biurowych jest zamieniana na mieszkaniowe, a nowe obiekty zawierają w sobie już obie funkcje.

Z **Adamem Wagnerem** rozmawia Marzena Tataj.

**Adam Wagner** – architekt, współnik i prezes zarządu Polsko-Belgijskiej Pracowni Architektury Sp. z o.o., członek SARP i ZAiKS. Autor dwutomowej publikacji „Murwane budowle obronne w Polsce X–XVII w.”.

Ważniejsze projekty i realizacje w Warszawie: Warta Tower, Residence 1878, Mamaison Residence Diana Warsaw, Wyższe Metropolitalne Seminarium Duchowne, Hotel Hyatt Regency Warsaw, Plater 10 Residence, Warsaw Spire (we współpracy z Jaspers & Eysers), X2 Boutique Office, Spinnaker Tower. Ponadto stworzył projekt odbudowy Pałacu Saskiego w Warszawie i koncepcję rewitalizacji centrum Płońska w obszarze strefy pełnej ochrony konserwatorskiej.

W 2017 r. budynek Warsaw Spire został uznany za najlepszy biurowiec na świecie, o czym świadczy nagroda MIPIM Awards 2017 w kategorii Best office & business development.

**Marzena Tataj:** Czym wyróżnia się dobra architektura?

**Adam Wagner:** Dobra architektura to taka, która wolno się starzeje. Nie zwraca uwagi na efekt wow, krótkotrwały i przeważnie ulotny zachwyt czymś nowym i nieznanym. Obiekty, które nie utożsamiają się z danym miejscem, nie wpisują się w kontekst lokalizacji – szybko przemijają. Dlatego prawdziwymi wartościami architektury są trwałość, nieprzemijalność oraz służenie ludziom. Poszukiwanie w architekturze efektu wow jest obecnie modne i przez wielu wielbione, ale w istocie jest błędzeniem, bo architektura powinna być przede wszystkim funkcjonalna. To funkcja determinuje obiekt. Bez określenia miejsca, kontekstu, użyteczności trudno o dobry projekt, trudno też wyrazić siebie i swoje emocje.

**MT:** Czy architektura może być czynnikiem rozwoju gospodarczego danego miejsca lub regionu?

**AW:** Oczywiście, tak było zawsze z dobrą architekturą. Jeżeli powstanie obiekt funkcjonalny, który jest użytkowany przez wiele lat, to znaczy, że został dobrze zaprojektowany i spełnił oczekiwania w nim pokładane. Wokół dobrej architektury powstają kolejne obiekty, które przyciągają coraz więcej ludzi, a oni generują potrzebę nowych funkcji, nowych użytkowników i nowe pomysły. W ten sposób rozrasta się pierwotny kontekst budynku. Wtedy w architekturze może się przydać efekt wow, bo przyjeżdżają turyści, wokół budynku robi się głośno, budzi on ciekawość... Generalnie jednak to obiekty historyczne, wpisane w pejzaż historyczny miejsca, bardziej przyciągają turystów niż obiekty nowoczesne.

**MT:** Jakie trendy dominują w dzisiejszym budownictwie?

**AW:** Wszyscy szukamy oszczędności energii, rozwiązań proekologicznych, ekonomicznych, więc i projektanci starają się tworzyć takie obiekty. Obserwujemy też powrót do prefabrykacji, która jest obecnie uważana za rozwiązanie proekologiczne – choć w istocie ważniejszy jest tutaj czynnik ekonomiczny, bo z prefabrykatów po prostu buduje się szybciej.

Każdy – inwestor i architekt – na etapie projektu deklaruje zainteresowanie proekologicznymi rozwiązaniami, natomiast w miarę realizacji, kiedy trzeba szukać oszczędności, na pierwszy ogień idą właśnie wszelakie rozwiązania i materiały proekologiczne, które ciągle są niestety drogie.

Inwestor nie buduje dla siebie, ale na sprzedaż, więc de facto szuka rozwiązań najprostszych, które są najmniej kosztowne na etapie budowy. Rozwiązania ekologiczne są atrakcyjne wtedy, gdy skutkują lepszą ceną sprzedaży albo gwarantują budynkowi zielone certyfikaty. Na przykład obecnie jesteśmy w fazie projektu budynku, którego szklane ściany będą zarazem panelami fotowoltaicznymi. To świetne, ale drogie rozwiązanie. Stajemy przed dylematem, czy możliwość poboru czystej energii wprost ze ściany sprawi, że budynek lepiej się sprzeda.

**MT:** Kiedy architekt rozstaje się ze swoim projektem?

**AW:** Architekt tak naprawdę nigdy nie rozstaje się ze swoim projektem, ale – jak rodzic dziecka – dogląda obiektu przez całe życie. Powstał projekt, więc rozpoczyna się proces budowy, który wymaga nadzoru i rozwiązywania na bieżąco rozmaitych problemów. Następnie trzeba wziąć udział w odbiorach technicznych i procedurze uzyskania pozwolenia na użytkowanie, a potem to użytkowanie się zaczyna, ale wciąż obowiązuje czas gwarancji i rękojmi. Ludzie wracają do projektanta nawet po 20 latach, bo chcą coś w budynku zmienić lub ulepszyć, zgodnie ze zmieniającymi się potrzebami czy trendami – przykładowo zaprojektować dodatkowe wejścia, bo liczba dostawców lub odwiedzających jest większa, niż zakładano pierwotnie.

**MT:** Czy okres pandemii wpłynął na zmiany w budownictwie?

**AW:** Wszyscy się obawiają, że po pandemii nastąpi zmierzch budownictwa biurowego – my takich sygnałów nie mamy, wręcz przeciwnie. Natomiast otwarte pozostaje pytanie, jak pandemia wpłynie na funkcjonowanie biurowców i w jaki sposób zmieni się ich funkcja.

Starsze i mniejsze biurowce są przerabiane na budynki mieszkalne, szczególnie jeśli w pobliżu jest dużo nowoczesnych biur. Głównym problemem, jaki pojawił się w budynkach o funkcji biurowej podczas pandemii, jest na pewno zbyt mała liczba wejść, które stają się wąskim gardłem, miejscem, gdzie ludzie się ścisną. Jest także kwestia pionowych ciągów komunikacyjnych, w których trzeba rozwiązać problem płynnego przemieszczania się ludzi z uwzględnieniem dystansu społecznego. Rodzi się pytanie, jakie rozwiązania wybierać w celu zabezpieczenia się przed zarażeniem: czy stosować windy z ultrafioletem, filtrami przeciwwirusowymi, detektorami temperatury, czy budować więcej małych pomieszczeń, czy zmniejszać liczbę osób na każdym metrze kwadratowym powierzchni biurowej itd.

Niektóre firmy wpadły na pomysł, by po pandemii przenieść swoje siedziby na przedmieścia. Żeby nie funkcjonować w budynkach wysokościowych, nie musieć używać wind ani schodów i żeby pracować w mniejszych obiektach, co najwyżej dwukondygnacyjnych, blisko natury. Od razu pojawił się problem z terenem, bo duże firmy potrzebują dużo większego obszaru inwestycyjnego. Przeniesienie się na przedmieścia ułatwi życie części pracowników zamieszkających w pobliżu, bo nie będą musieli przemieszczać się do miasta. Jednak ci, którzy mieszkają po drugiej stronie miasta, będą musieli pokonywać odległość dwukrotnie większą niż wtedy, kiedy biurowiec stał bliżej centrum. To rozwiązanie może mieć sens jedynie w przypadku bardzo sprawnej i rozwiniętej komunikacji publicznej, miejskiej.

Ciekawe też, jaki model pracy utrwali się po pandemii. W naszej firmie wydajność pracy zdalnej była znacznie mniejsza niż pracy stacjonarnej... Architekci pracują w zespołach, rozmawiają i nego-



cjują z branżystami, muszą stale konsultować rozwiązania, zmiany projektowe. Kiedy wszyscy są na miejscu, a sprawy domowe nie rozpraszają – praca przebiega sprawniej.

**MT:** Jak należy ocenić zmiany urbanistyczne na warszawskiej Woli, gdzie powstaje gęsta i wysoka zabudowa?

**AW:** Dziś jest to jedyne miejsce w lewobrzeżnej Warszawie, gdzie może powstawać wysoka zabudowa. Trzeba również pamiętać, że to, co widzimy obecnie, to rezultat decyzji władarzy miasta podjętych na przełomie XX i XXI w., które spowodowały przesunięcie centrum biznesowego Warszawy na Wolę. Wówczas była to dzielnica słabo zagospodarowana, mająca dużo taniego i wolnego terenu przemysłowego. Zmiana charakteru zabudowy stała się szansą na rewitalizację dzielnicy. Kiedy oddaliśmy do użytku biurowiec Warsaw Spire, to z okien rozpościerał się bardzo smętny widok w kierunku zachodnim – na baraki i zaniedbane budynki wokół. Teraz okolica wygląda jak centrum dużego europejskiego miasta. Tak przebiega naturalny proces urbanizacji.

Aby ten rejon Woli nie stał się martwym centrum, muszą się pojawić nowe, pozabiurowe funkcje, a plan zagospodarowania terenu akurat na to pozwala. Jeżeli zostaną uwzględnione również funkcje mieszkaniowe, kulturotwórcze i rekreacyjne – będą też ludzie. W mokatowskim „Mordorze” część starych budynków biurowych jest zamieniana na mieszkaniowe, a nowe obiekty zawierają w sobie już obie funkcje. Takie działania nie wynikają jedynie z planów miejscowych – samo życie je wymusza. Plany zagospodarowania powinny wyprzedzać potrzeby mieszkańców, jak to było w latach 70., kiedy plany tworzyło się na wiele dziesięcioleci naprzód. Ale wtedy szybko się je zatwierdzało. Teraz, przy partycypacji społecznej, uchwalenie planu miejscowego trwa całe lata, a czasem dziesiątki lat. Nie ma już firm, ale w planie one zostają. Na przykład w planie obszar jest zdefiniowany jako nieuciążliwa strefa przemysłu, a w rzeczywistości stoją tam same budynki mieszkalne. Tak jest na Woli, na Pradze i w całej Warszawie...

**MT:** Kolejny wielki urbanistyczny temat stolicy – odbudowa Pałacu Saskiego.

**AW:** Temat wraca jak bumerang. Kilkanaście lat temu rozpisano konkurs na odbudowę Pałacu Saskiego i zachodniej pierzei placu Piłsudskiego. Wygrała nasza pracownia, rozpoczęto prace projektowe, archeologiczne i przygotowawcze. Jednak w 2008 r. podjęto decyzję o przerwaniu prac i zasypaniu odsłoniętych już piwnic. Powodem były rosnące koszty inwestycji, które przekraczały możliwości budżetu miasta. Przyjęta niedawno specustawa motywuje rząd do odbudowy, co jest chyba najlepszym rozwiązaniem, bo nawet berlińskiego samorządu nie było stać na samodzielną odbudowę pałacu Hohenzollernów. W Niemczech temat ruszył dopiero po decyzji Bundestagu o odbudowie z 2010 r. – prace trwały kilkanaście lat i pałac oddano do użytku w roku 2020. Dzięki przyjętej ustawie może uda się i u nas – nie tyle od-

Wieżowce zaprojektowane przez PBPA pod kierunkiem Adama Wagnera. Na pierwszym planie Warsaw Spire, w tle Warsaw Unit.



budować Pałac Saski, ile zbudować budynki w kształcie historycznym, również te od ul. Królewskiej. Niektórzy martwią się o rosnącą tam zielen, ale to jest mit, który upadł już kilkanaście lat temu. Przy odkopywaniu piwnic Pałacu Saskiego wycięto ponad sto drzew i widać było, że system korzeniowy miał zaledwie 80–90 cm głębokości. Drzewa rosły nie w gruncie rodzimym, lecz na gruzach budynków, które po wojnie zostały zasypane spychaczami. Natomiast historyczna strefa parkowa, znajdująca się poza strefą starej zabudowy, jest nienaruszalna.

**MT:** Berlin nie tylko odbudował pałac Hohenzollernów, ale także zrewitalizował duży fragment miasta zgodnie z przedwojennymi planami.

**AW:** Było to możliwe, bo zachowały się plany przedwojennej zabudowy i zgodnie z nimi po zjednoczeniu Niemiec postanowiono dokonać odbudowy historycznej części Berlina Wschodniego – a przynajmniej określono gabaryty odbudowywanych obiektów według przedwojennych pierwotników. W naszym przypadku nie było to możliwe, gdyż trzy czwarte zabudowy miasta spłonęło, a wobec braku planów kamienice inwentaryzowano po obrysach.





© PBPA PROJEKT

Co gorsza, część historycznej zabudowy, która ocalała z pożogi wojennej, wyburzono po wojnie.

Prowadzimy teraz rewitalizację kamienicy Wolfa Krongolda na rogu ul. Żelaznej i Złotej. To najbogatsza pod względem wystroju zewnętrznego kamienica na Woli, należąca dawniej do znanego spekulanta z przełomu XIX i XX w. Została wybudowana w stylu eklektycznym. Narożnik zwieńczono attyką ozdobioną rzeźbami dwóch półleżących postaci: starca, symbolizującego wiek XIX, i młodzieńca z lirą, oznaczającego wiek XX. Między rzeźbami umieszczono datę oddania budynku do użytku – rok 1899. Po wojnie, w 1953 r., usunięto ocalały z wojny wystrój sztukatorski, a na początku lat 60. zerwano kamienne i metalowe balkony. Dodatkowo usunięto bogato zdobione, ręcznie kute wrota bramy. Teraz te detale będziemy odtwarzać.

Podobnie po wojnie postępowano w Berlinie Wschodnim, gdzie wyburzano całe połacie historycznej zabudowy i zastępowano je nowymi budynkami. Tak oto w miejscu pałacu Hohenzollernów powstał pałac Republiki, który nie tylko był obiektem nieudanym architektonicznie, ale też przez dziesięciolecia nie wtopił się w urbanistyczną tkankę miasta. Decyzja o odbudowie pałacu Hohenzollernów to zatem skutek przywracania zarówno tożsa-

mości narodowej, jak i historycznej tkanki urbanistycznej miasta, czego u nas niestety nigdy nie zrobiono.

**MT:** Czy można wyróżnić polski styl w architekturze?

**AW:** Sięgając do czasów historycznych – tak. Możemy jednak mówić wyłącznie o stylu miejscowym: rzemieślnicy, cieśle, muratorzy z danego regionu budowali z miejscowego kamienia lub drewna, stosując specyficzny sposób obróbki materiału. Konkretny sposób budowania można odnaleźć tylko na danym terenie – już dwie włości dalej będzie on inny, gdyż muratorem był inny człowiek. Natomiast architektura dworska już wtedy była uniwersalna, gdyż magnateria wynajmowała architektów z Włoch czy Francji, którzy projektowali podobnie jak we Włoszech i sprowadzali włoskie marmury.

Dzisiaj można mówić o trendach lub osobach, ale nie o stylu, bo cały świat się globalizuje i w hiszpańskim nadmorskim miasteczku Torrevieja bez problemu kupimy płytki Tubądzina. Budownictwo mieszkaniowe Europy Północnej, Środkowej i Wschodniej również wygląda podobnie. Globalizacja się pogłębia, będziemy kupować w Internecie rzeczy masowo wytwarzane, o prostym wyglądzie i łatwe w transporcie. Niektóre urządzenia, jak panele fotowoltaiczne i grzewcze, staną się elementami architektury czy wystroju wnętrz nie tylko w Europie, ale na całym świecie.

Podhale najlepiej pokazuje, jak wykoślawiona została architektura regionalna. Góralska chałupa cechowała się określonymi gabarytami i swoistą formą. Gdzie do niej tym wielokondygnacyjnym budynkom, które obecnie spotykamy w Zakopanem i w innych miejscach Podhala! Są to budynki wykończone ośmiocentymetrowymi płazami, które mają udawać bale, i upstrzone fikuśnymi wycinankami, które w istocie nie mają nic wspólnego z regionalną ornamentyką. Dawniej regionalne budownictwo Podhala uszlachetnili swoimi projektami uznani architekci: Stanisław Witkiewicz czy Sas Zubrzycki, ale wtedy chodziło o to, żeby Polska niepodległa miała swoją tradycję w architekturze. Pałac Kultury otrzymał attyki naśladujące zamek w Krasicy, jednak był to tylko przykład poszukiwania śladów narodowej tradycji w internacjonalnym socrealizmie. To jest wykoślawienie tradycji, a nie jej uszanowanie.

**MT:** Mam przed sobą unikatowe dzieło ciężkiego kalibru, i to dosłownie. Monumentalne opracowanie „Murowane budowle obronne w Polsce X–XVII w.” pokazuje 2 tys. budowli na terenie całego kraju. Zawiera rzuty obiektów, rekonstrukcje wykonane na podstawie badań archeologicznych, plany sytuacyjne miast, a przede wszystkim kilkakset odręcznych rysunków. Jak powstała ta publikacja?

**AW:** To realizacja mojego młodzieńczego marzenia. Opracowanie składa się z dwóch tomów, a powstawało przez 20 lat. Drugą część poświęcę zamkom na Kresach. Zakładam, że zajmie mi to 2–3 lata, bo już wiem, jak to robić, i tak sobie obiecałem. A obietnic należy dotrzymywać.



© FAKRO

Ryszard  
Florek

*Współwłaściciel  
i prezes zarządu  
FAKRO Sp. z o.o.*

## Jak sięgać po sukces na rynku globalnym

**W** tym roku mija 30 lat od założenia firmy FAKRO. Bardzo dobrze pamiętam nasze początki. W 1989 r. upada komunizm. Ustawa Wilczka budzi usypianą przez lata PRL przedsiębiorczość Polaków, pozwalając nam rozwijać kraj.

W tym czasie w Polsce, w innych państwach Europy Środkowo-Wschodniej i w Chinach powstaje ponad 30 firm z naszej branży. Do chwili obecnej przetrwało niewiele z nich, a jedynie FAKRO dołączyło do światowej czołówki, osiągając pozycję wicelidera na globalnym rynku okien dachowych.

Jeżeli dziś miałbym powiedzieć, co było kluczem do tego sukcesu, to wymieniałbym trzy podstawowe czynniki: innowacyjność i rozwój, odpowiedzialność i wiarygodność w relacjach z partnerami biznesowymi oraz świadomość znaczenia korzyści skali w naszej branży.

Innowacyjność i rozwój od początku stanowią fundamenty działalności firmy FAKRO. Na rzecz rozwoju produktów FAKRO pracuje ponad 200 inżynierów, autorów ponad 180 patentów i zgłoszeń patentowych. Jesteśmy drugą prywatną firmą w Polsce pod względem ilości zgłoszonych patentów. Nieprzerwanie zwiększamy komfort mieszkania naszych klientów, ulepszając jakość i funkcjonalność naszych produktów.

Zaczynaliśmy od jednego typu okna, produkowanego w dwóch rozmiarach. Dzisiaj w naszej ofercie można znaleźć nie tylko różne rodzaje okien dachowych, ale także akcesoria do nich, okna do dachów płaskich, drewniano-aluminiowe okna pionowe Innoview, schody strychowe i bramy garażowe.

Sukces FAKRO to też praca zespołowa ludzi, dla których ważne są odpowiedzialność i wiarygodność. Współtwórcami naszego sukcesu są przede wszystkim nasi kontrahenci: architekci, dekarze, dystrybutorzy i klienci indywidualni. Udowodniliśmy, że polska firma z polskim kapitałem jest w stanie osiągnąć sukces na arenie międzynarodowej. Mam świadomość, że nie byłoby nas w tym miejscu, gdyby nie zaangażowani pracownicy. Ich praca i pasja przyczyniły się do obecnej pozycji FAKRO na rynku krajowym i globalnym.

Kolejnym elementem sukcesu FAKRO jest świadomość znaczenia efektu skali. Aby czerpać z niego korzyści, a więc przetrwać i się rozwijać, trzeba swoje produkty sprzedawać na całym świecie i mieć znaczący udział w globalnym rynku. Od początku istnienia FAKRO dążeniem założycieli jest nieustanny rozwój i powiększanie działalności. Na ten cel przeznaczaliśmy i nadal przeznaczamy wszystkie wypracowane zyski. Zdajemy sobie sprawę, że przedsiębiorstwo produkujące i sprzedające więcej jest w stanie działać efektywniej i obniżyć koszty. To dzięki temu możemy oferować naszym klientom wysokiej jakości produkt w konkurencyjnej cenie. I dzięki temu wyprzedziliśmy konkurentów, którzy startowali razem z nami, i doganiamy najlepszych w branży. A pamiętajmy, że sukces każdej polskiej firmy na światowym rynku przekłada się na dobrobyt całego polskiego społeczeństwa. Gdy firma produkująca w Polsce sprzedaje swoje produkty za granicę, otrzymuje za nie pieniądze, które trafiają do jej pracowników i podwykonawców tu, na miejscu. To wszystko napędza rodzimą gospodarkę i poprawia jakość życia Polaków.

Dlatego zaangażowałem się w działalność Fundacji Pomyśl o Przyszłości, która zajmuje się budowaniem kapitału społecznego. Kraje, w których poziom zaufania społecznego i współpracy jest wysoki, są bardziej zamożne. Dla rozwoju gospodarczego Polski ważne jest, aby Polacy ufali sobie i chcieli ze sobą współpracować. To pozwoli nam wykorzystywać tzw. efekt synergii. Jednak nie da się tego zrobić bez powszechnego zrozumienia podstawowych praw gospodarki, które przybliża Fundacja.

Firma FAKRO w gospodarczych mistrzostwach świata osiąga wyśmienite wyniki. Chciałbym, żeby miała je także cała Polska. Do tego trzeba jednak wspólnego wysiłku, zarówno zawodników, jak i kapitana czy sztabu trenerskiego. Dlatego dalej walczymy o silne rodzime firmy tworzące Polskę, w której żyje się zamożniej. I przede wszystkim – o korzyści skali. W tej kwestii wiele jeszcze przed nami. Mocniejsza reprezentacja FAKRO na rynkach Europy Zachodniej pozwoliłaby zwiększyć zatrudnienie i wynagrodzenie w naszej firmie o minimum 100 proc. I to jest nasz plan na kolejne lata.



Marcin  
Rosołowski

*Ekspert ds. public  
relations*

## Ekonomiczny analfabetyzm

**M**ałe dzieci są święcie przekonane, że pieniądze biorą się z bankomatu. Te same dzieci dwie albo trzy dekady później uważają, że ceny paliwa ustala według własnego widzimisię szef paliwowego koncernu albo minister. Co gorsza, niektóre z tych dzieci reprezentują nas w parlamencie. Publiczna debata nad cenami paliw pokazuje jedno: zamiast lekcji historii i teraźniejszości w polskich szkołach przydałyby się lekcje edukacji ekonomicznej. A zamiast wkuwania materiału na blachę – umiejętność korzystania ze źródeł.

Ceny benzyny w Polsce niezmiennie należą do najniższych w Unii Europejskiej. Rozumiem doskonale, że nie jest to żadna pociecha dla tych, których pensje również nie należą do najwyższych w UE. Niemniej fakty są następujące: niezależnie od tego, jak by się przy tych cenach majstrowało, nie wrócą one w cudowny sposób do poziomu sprzed kilkunastu miesięcy. Z wielu powodów, ale wymieńmy tylko trzy najważniejsze. Po pierwsze, od marca 2020 r. cena baryłki ropy na światowych rynkach wzrosła ponad dwa razy. Po drugie, akcyza i VAT na paliwo nie są kształtowane wedle widzimisię państw człon-

Kierowca tankujący na stacji nie musi znać struktury podatków i opłat zawierających się w cenie paliwa. Ale polityk, który peroruje w Sejmie, powinien chociaż zadać sobie trud i sprawdzić, co na tę cenę wpływa. Kokietowanie postulatami zniesienia VAT czy radykalnej obniżki akcyzy jest miłe dla uszu wyborcy, ale równie dobrze można by obiecywać wszystkim szczęście i bogactwo.

Co więcej, politycy sprzedający marzenia – przynajmniej większość z nich – nie czynią tego z czystego cynizmu. Po prostu ich wiedza o prawidłach ekonomii i rynku jest nader wątpliwa. A wiedza zdecydowanej większości Polaków – bardziej niż wątpliwa. Wiedzę tę mogą zdobyć wszędzie, ale nie w szkole. Ot paradoks: w ustroju „kapitalistycznym” (świadomie w cudzysłowie) o prawidłach rynku w ogóle się nie uczy. Trudno się dziwić, że tylu Polaków pada ofiarą oszustw szytych bardzo grubymi nićmi.

Twórzmy ponadpartyjną, jak najszerszą koalicję na rzecz uczenia od najmłodszych lat podstaw ekonomii. To wiedza przydatna w codziennym życiu tak, jak podstawy matematyki czy fizyki. Dziwimy się, że Polacy, mimo sukcesywnie zwiększających się dochodów, nadal wleką się

Znajomość ABC ekonomii jest przydatna podwójnie: zarówno w zarządzaniu własnym majątkiem, jak i w omijaniu sidła zastawianych przez polityków. Bo ludzi, którzy wiedzą, czym są podatki i co wpływa na ceny towarów, trudniej złowić na demagogiczne obietnice.

kowskich. Minimalne stawki narzuca Bruksela, a w Polsce akcyza na diesla jest na najniższym możliwym poziomie, zaś na „dziewięćdziesiątkę piątkę” – na niewiele wyższym. Po trzecie, idące w górę ceny praw do emisji dwutlenku węgla i nakłady związane z obowiązkowym dodawaniem biokomponentów też sukcesywnie stanowią coraz większy koszt wytwarzanego paliwa. A jeśli faktycznie od 2023 r. obciążenia podatkowe narzucane przez Unię wzrosną, to paliwo w akceptowalnych społecznie cenach przejdzie definitywnie do historii.

w europejskim ogonie, jeśli chodzi o oszczędności. A ma to związek nie tylko z zarobkami wciąż znacząco niższymi niż w krajach starej Unii, lecz także z niezmiernie niską wiedzą o ekonomii, co przekłada się na polskie „jakoś to będzie”.

Znajomość ABC ekonomii jest przydatna podwójnie: zarówno w zarządzaniu własnym majątkiem, jak i w omijaniu sidła zastawianych przez polityków. Bo ludzi, którzy wiedzą, czym są podatki i co wpływa na ceny towarów, trudniej złowić na demagogiczne obietnice. Ale może o to właśnie chodzi.



# Wspaniali promotorzy

Fundacja Polskiego Godła Promocyjnego uhonorowała Promotorów Polski ze Śląska, Małopolski i Podkarpacia. Przyznano również tytuły Promotora Polski ze świata sportu.

**Promotorami Polski ze Śląska zostali:** prof. dr hab. n. med. **Krzysztof Składowski**, onkolog i radiolog; architekt **Robert Konieczny**, założyciel pracowni KWK Promes; prof. dr hab. **Maciej Pieprzycza**, reżyser filmowy i scenarzysta. Wyróżnienia wręczyli: prof. Jerzy Buzek, europoseł, były premier RP, przewodniczący europarlamentu, laureat tytułu Wybitnego Polaka; Wojciech Kuśpik, prezes Europejskiego Kongresu Gospodarczego; oraz Krzysztof Przybył, prezes Fundacji Polskiego Godła Promocyjnego.

**Promotorami Polski z Małopolski zostali:** **Anna Dymna**, wybitna aktorka i założycielka Fundacji „Mimo Wszystko”; prof. **Krzysztof Pyrc**, mikrobiolog i wirusolog, kierownik Pracowni Wirusologii Małopolskiego Centrum Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego; **Janusz Komurkiewicz**, członek zarządu i dyrektor marketingu FAKRO Sp. z o.o. oraz prezes Związku Polskie Okna i Drzwi; **Andrzej Bargiel**, narciarz wysokogórski, himalaista. Wyróżnienia wręczyli: Jerzy Muzyk, zastępca prezydenta Krakowa; Wiesław Jopek, prezes Krakowskiej Kongregacji Kupieckiej, członek Kapituły „Teraz Polska”; i Krzysztof Przybył.

**Promotorami Polski z Podkarpacia zostali:** **Tadeusz Ferenc**, były prezydent Rzeszowa; **Jan Nowara**, dyrektor Teatru im. Wandy Siemaszkowej; **Rafał Wilk**, mistrz paraolimpijski w handbike'u. Wyróżnienia wręczyli: Remigiusz Kopoczek, założyciel i prezes Kongresu 590; Krzysztof Przybył; Władysław Ortyl, marszałek województwa podkarpackiego.

**Promotorami Polski ze świata sportu zostali:** **Małgorzata Lubczyńska**, dyrektor marketingu firmy Blachy Pruszyńskiej, jedna z 10 najbardziej wpływowych kobiet w polskim sporcie, uhonorowana tytułem Marketera XXI wieku; **Andrzej Person**, dziennikarz sportowy, komentator wydarzeń z kilkunastu igrzysk olimpijskich i kilkudziesięciu mistrzostw świata i Europy, senator RP w latach 2005–2015; **Robert Korzeniowski**, czterokrotny mistrz olimpijski, trzykrotny mistrz świata, dwukrotny mistrz Europy, były rekordzista świata w chodzie sportowym, menedżer, mówca motywacyjny z ponad 20-letnim doświadczeniem.







© KAMIL BROSZKO  
© KAMIL BROSZKO



Promotorzy Polski  
ze świata sportu



Promotorzy Polski  
Podkarpacie

© KONGRES 590



© KONGRES 590



© KAMIL BROSZKO



# TWÓJ DOM TWÓJ WYBÓR



**30** LAT  
ROZWIĄZAŃ DLA DOMU

**FAKRO®**

**FAKRO**  
**smartHome**

FAKRO smartHome to kompleksowa oferta stolarki otworowej w wersji elektrycznej, przystosowana do zastosowania w budynkach inteligentnych. Już dziś możesz wybrać technologię **Z-Wave** lub **µWiFi**, w której będą pracować produkty FAKRO; okna, rolety, markizy, bramy garażowe i drzwi.

#### Dzięki FAKRO smartHome możesz:

- żyć wygodnie – zaprogramowane funkcje ułatwiają codzienne zarządzanie domem, obniżając koszty związane z jego użytkowaniem,
- zapewnić bezpieczeństwo – ochrona przed włamaniem, zalaniem czy pożarem oraz nadzorowanie domu z dowolnego miejsca na ziemi,
- zadbać o zdrowie – optymalna ilość naturalnego światła, odpowiednia temperatura i jakość powietrza.